

Marcin Wolski

Krawędź snu

1. Trup pojawia się, znika i wraca

Jeśli spojrzeć się pod właściwym kątem, Mleczna Droga ma kształt klepsydry. Wystarczy obserwować ją odpowiednio długo (powiedzmy miliard lat), by spostrzec, jak gwiazdny pył przesypuje się w tej klepsydrze od plus do minus nieskończoności... Albo odwrotnie!

Czwartego marca w kostnicy szpitala Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ulicy Wołoskiej w Warszawie umieszczono zwłoki kłopotliwego denata. Nie tylko był przybyszem znikąd, ale wkrótce miał zniknąć równie tajemniczo, jak się pojawił. Nieboszczyk otrzymał urzędowe nazwisko „Marszałkowski”, nie miało ono związku ani z jego rzeczywistymi personaliami, ani z wykonywaną funkcją. Zdecydowało miejsce znalezienia. Centralna aleja stolicy.

Przyczyna i skutek... Jakże niewielkie mogą być detonatory dziejów. Wojna peloponeska wybuchła, bo ktoś poodtrącał fallusy posągom na reprezentacyjnym placu Aten. Hekatombę pierwszej wojny światowej zapoczątkowało zabójstwo pewnego niemłodego już jegomościa z małżonką. Pechowym zbiegiem okoliczności był on arcyksięciem i następcą tronu cesarskiego. W naszym przypadku rolę piguły śnieżnej uruchamiającej lawinę zdarzeń, zrazu drobnych, a w finale globalnych, odegrał masywny gzyms zdobiący fasadę neogotyckiej kamienicy. Przetrwał Powstanie Warszawskie i socjalistyczną odbudowę; przez kilkadziesiąt lat trwał na swoim miejscu ze spokojem godnym stoika, a zdecydował się ukruszyć akurat w momencie, gdy wysoki mężczyzna rasy białej, ubrany w ciemną jesionkę, czarne włoskie półbuty i elegancki kapelusz, przystanął jak wryty pięć pięter niżej, najwyraźniej w celu przyjrzenia się przepięknie wymodelowanym łydkom młodej plastyczki krzątającej się na wystawie.

Anna Leśniewska (dziwnym kaprysem losu odegra jeszcze istotną rolę w naszej historii), pochylona bardziej niż przyzwoitej panience wypada, oczywiście nie miała pojęcia, że jest obserwowana i że zainteresowaniu jej łydkami mogą towarzyszyć dalej idące spekulacje na temat ukształtowania ud i wszystkiego pomiędzy. Pochłaniała ją praca. Dekoracje wystaw traktowała poważnie, mimo że była to jedynie fucha pozwalająca na kontynuowanie studiów na warszawskiej ASP i sponsorowanie narzeczonego Bogusia, osobnika o genialnym talencie do przepuszczania dowolnych sum w każdej walucie.

Być może właśnie grzeszne myśli przechodnia dotyczące łydek i ich Ulubionego Dalszego Ciągu sprawiły, że bezduszny kawałek gzymsu, mający do wyboru dwójkę rozgadanych studentów, kobietę z wózkiem, żebrzącą Rumunkę oraz izraelskiego turystę w tradycyjnym stroju chasyda, upatrzył sobie akurat mężczyznę nieznanego nazwiska, w czarnych włoskich półbutach i uczynił go „Marszałkowskim”.

W trosce o wytrzymałość czytelnika nie będziemy obliczać energii, jaką architektoniczny detal, za sprawą przyciągania ziemskiego i własnej masy, przekazał czaszce amatora smukłych łydek. Podkreślimy raczej skuteczność uderzenia. „Marszałkowski”, przewieziony do pogotowia na Hożą, zmarł po trzech godzinach niezbyt intensywnych zabiegów reanimacyjnych.

Co gorsza, zamiast pozostawić po sobie wyłącznie nieutuloną w żalu rodzinę przysporzył masę kłopotów wielu ludziom, od personelu pogotowia poczynając. Tragiczna śmierć jest, rzecz jasna, w pogotowiu zjawiskiem naturalnym i tak powszechnym jak karaluch w stołówce, jednakże denat nieznanego nazwiska wiąże się z dodatkowymi perturbacjami natury biurokratycznej. A przy

nieznajomym nie znaleziono żadnych dokumentów ani jakiegokolwiek przedmiotu mogącego sugerować, kim był, kogo należy zawiadomić lub kogo obciążyć kosztami. Parę lat wcześniej elegancki strój wskazywałby, iż „Marszałkowski” jest niechybnie cudzoziemcem. Dziś cała jego garderoba, od wspomnianego kapelusza po bawełniane gatki sięgające do pól uda, jest dostępna na rynku krajowym.

A ile dodatkowych zajęć spadało na przepracowaną i tradycyjnie nie dofinansowaną policję? Ta zdecydowała się, rzecz jasna, na parę działań rutynowych — zdjęcie odcisków palców i przekazanie lakonicznego komunikatu mediom: „Tragiczny wypadek, mężczyzna w średnim wieku o nie ustalonych personaliach”. Kropka. Nie rozpowszechniono nawet zdjęcia nieboszczyka.

Może dlatego w ciągu następnej doby nikt nie upomniał się o „Marszałkowskiego”. Nikt nie zgłosił jego zaginięcia. Byłoby to zrozumiałe w wypadku bezdomnego ćpuna czy cygańskiego żebraka. Jednak ofiara neogotyku nie wyglądała na człowieka z marginesu. Charakteryzowało ją miękkie, słabo umięśnione ciało czterdziestopięciolatka reprezentującego na oko warstwę lekkopółśrednią. Na dodatek zwłoki nie posiadały znaków szczególnych. Trudno bowiem za znak szczególny uznać znamię po szczepieniu ospy. Zawartość żołądka pozwalała domniemywać, że na krótko przed wypadkiem „Marszałkowski” zjadł dobry obiad w którejś z renomowanych restauracji (wskazywał na to wybór sałatek) i popił go czerwonym winem.

Żadnego śledztwa nie wdrożono, zajęci większymi sprawami funkcjonariusze nie mieli czasu. Świadkowie potwierdzili przypadkowa działanie gzymsu. Był trup, nie dokonano zbrodni. Prędzej czy później ktoś musi zgłosić się po ciało oddane po sekcji do przechowania w kostnicy resortowego szpitala.

Podczas spisywania protokołu zwrócono przelotną uwagę na pewien drobiazg — ofiara, zanim wydała ostatnie tchnienie, dobre dwie godziny bełkotała w malignie.

— Wymieniał jakieś nazwiska? — ożywił się policjant.

— Bredził niewyraźnie i zupełnie nie po naszymu — odparła zmęczona lekarka.

Funkcjonariusz nie uznał za celowe przesłuchać pielęgniarki Magdy asystującej „Marszałkowskiemu” w ostatnich chwilach jego życia. A szkoda, dziewczyna wykazała się dużą przytomnością umysłu. Pozostawiona sam na sam z umierającym, włączyła dyktafon, na co dzień służący jej do nauki angielskiego, i nagrała bełkotliwy monolog ofiary.

Nazajutrz po południu zaniósła kasetę sąsiadowi z bloku, Jerzemu Złockiemu, dziennikarzowi popularnej popołudniówki.

— Nic z tego nie kapuję, ale może panu się przyda. Prosił pan przecież, żebym przynosiła ciekawostki z pogotowia.

— Dziękuję, Madziu.

Złocki w swoim trzydziestodzieściuletnim życiu przeżył wiele fascynacji. Przedostatnia,

Agnieszka Złocka, opuściła go przed rokiem z włoskim sprzedawcą makaronu. Obecnie pochłaniały go marzenia o karierze nowoczesnego, przebojowego dziennikarza. Dotąd nie miał zawodowego szczęścia. Z radia wymiótł go stan wojenny, w podziemiu zajmował się bardziej drukarstwem i odsiadkami niż publicystyką, a kiedy wolność wyniosła go ponownie nad ziemię, zdążył zaliczyć jednaście redakcji, które, lubo ambitne i zasłużone, kolejno plajtowały, zalewane wzburzoną falą młodego kapitalizmu.

Wrodzony optymizm nie dopuszczał wątpliwości, że w jego wieku trudno będzie się wybić, pracując w dziale miejskim „Najświeższego Wydania” — brukowca wydawanego przez kretynów dla idiotów za pieniądze zachodnich frajerów. Ale była to dla niego chyba ostatnia szansa wybicia się przed modnym w dziennikarskim zawodzie zawałem.

Nic dziwnego, że Jerzy ucieszył się z wizyty młodej sąsiadki. Obiecał gratyfikację, jeśli dostarczony materiał okaże się przydatny. Zrobił sobie kawy. To znaczy wygrzebał w zlewie szklankę mniej brudną od innych, nasypał do niej neski, zalał gorącą wodą z kranu, po drodze sypnął trochę dafni rybce samotnie kręcącej się po akwarium i siadł przy magnetofonie.

Podobnie jak lekarka z pogotowia odniósł wrażenie, że jest to bełkot, ale tak dziwny, że aż zmuszający do zastanowienia. Nie rozpoznawał wyrazów, ale bezsprzecznie były to słowa, zdania, frazy...

Szybko pojął, że sam nie da rady. Z języków obcych rosyjski znał w mowie, a angielski w piśmie. Ale od czego konsultanci? Wyciągnął z lodówki ledwie napoczęte pół litra „Wyborowej” i tak przygotowany udał się na czternaste piętro, gdzie w apartamencie przerobionym z dawnej pralni, w atmosferze kultury śródziemnomorskiej, zwykł przebywać ciałem, a niekiedy także duchem Robert Krystyniak, zwany Docentem, najwybitniejszy poliglota na osiedlu.

— Dziwne — powiedział językoznawca po wypiciu wstępnej dawki alkoholu i przesłuchaniu taśmy. — Bardzo dziwne — uściślił po następnej kolejce. — Niesamowite — zakończył budząc o świcie pana Jurka pukaniem w drzwi butelką piwa. — Czy wiesz, sąsiedzie, coś ty mi właściwie przyniósł?

— Nie mam pojęcia!

— To interesujące, albowiem po wysłuchaniu całości wypada mi powiedzieć to samo.

W istocie monolog umierającego okazał się czymś tak lingwistycznie bogatym, że *Finnegans Wake* Joyce’a przypominał przy nim klarownością wyrazu kwit z pralni. Czego tam nie było? Cytaty z Salomonowej *Pieśni nad Pieśniami* po hebrajsku mieszały się z archaiczną greką, zdania wypowiedane mową Wielkorusów — z językiem Koptów. Całe partie okazały się niemożliwe do sklasyfikowania...

— Bo ja wiem, może to po neandertalsku — wzdychał skacowany Docent. — W każdym razie ten facet to super-poliglota.

Satysfakcja przepełniła Złockiego. Nareszcie trafił na temat, mogący stać się przełomem w jego

dziennikarskiej karierze. W nagłym przyływie energii wziął kąpiel, ogolił się, oczyścił buty, w pawilonie opodal domu nabył czystą koszulę. Kiedy wychodząc do redakcji rzucił okiem w lustro, wyrzwał z niego Juruś, jakiego nie widział od pół roku. Co prawda, włosów mu nie przybyło, ale oko wydało się żywsze, a brzuch mniejszy.

Nie zauważył nawet, jak sekretarka Zuzia obdarza go pełnym zainteresowania spojrzeniem:

— Co się stało panu Jurusiowi, już południe minęło, a on dalej świeży i trzeźwy?

Naraz zapragnął stanąć twarzą w twarz ze zmarłym, tak jakby trup mógł okazać się gadatliwszy od żywego. Wykonał parę telefonów, a po dwóch godzinach znalazł się w kostnicy, w towarzystwie zaprzyjaźnionego profesora z Ortopedii.

— Tylko proszę nikomu nie mówić, że ja tu pana wprowadziłem — zastrzegał się lekarz pamiętający dobrze dawne czasy w resortowej klinice (czasy, które zawsze przecież mogły wrócić).
— Zaraz, który to był... Matko Boska, jego tu nie ma! Nie ma!

— Jak to nie ma! Panie profesorze...

— Nas też tu nigdy nie było — mruknął ortopeda i przypomniał sobie o czekającym go konsylium.

Tak oto Złocki stanął wobec kolejnego zdarzenia wykraczającego ponad sztabowe rozwiązania. W nocy z piątego na szósteo marca „Marszałkowski” zniknął. Co gorsza, wiele wskazywało, że osobiście ożył, otworzył od środka drzwi awaryjne i przeskoczył przez płot. Całkiem niezły wyczyn sportowy, jak na osobnika tuż po sekcji, pozbawionego serca i nerek (które być może znajdowały się już u spragnionych tych podrobów biorców).

Oczywiście do akcji wkroczyła Komenda Stołeczna, z natury niechętna zjawiskom nadprzyrodzonym. Dla funkcjonariuszy nie ulegało wątpliwości, że zwłoki skradziono. Przesłuchano wszystkich odwiedzających kostnicę. Sprowadzono psy, ale te dostawały kręcka od zapachu medykamentów i nieodmiennie gubiły ślad przy ul. Raławickiej. Udało się dotrzeć do wszystkich osób wizytujących przybytek śmierci, z wyjątkiem ostatniego, który odwiedził kostnicę późnym wieczorem.

— To był lekarz? — indagowali policjanci strażnika.

— Nie, ale miał przepustkę od ordynatora.

— Nie wystawiałem żadnych przepustek tego wieczoru! — zaklinał się ordynator.

Próbowano ustalić rysopis nocnego gościa. Ale strażnik nie przyjrzał się dokładnie jego twarzy.

— Wiem jedno, to był Żyd.

— Na jakiej podstawie tak uważacie? — naciskał prowadzący śledztwo.

— Takie rzeczy po prostu się czuje.

Złocki odszukał strażnika wkrótce po śledczych, ale mimo łapówki nie wycisnął z niego nic więcej. Kimkolwiek byłby ten gość, nie miał szans wynieść ciała. Rosły denat nie zmieściłby się nawet pod sutanną u zakonnicy olbrzymki. Może więc ostatni z odwiedzających poprzestał na oględzinach denata. Albo powiedział coś takiego, że nieboszczyk wolał wziąć nogi za pas...

W każdym razie policjantom udało się odszukać taksjarza, który przy skrzyżowaniu Raclawickiej i alej Żwirki i Wigury zabrał późnym wieczorem małymównego pasażera. Taksjarz nie zapamiętał twarzy ani szczegółów ubioru nocnego klienta, a jedynie silny zapach szpitalnych odczynników.

— Dokąd kazał się wieźć?

— Wsiadł na Marszałkowskiej, gdzieś między placem Konstytucji a rondem.

Gdyby ktoś sądził, że nocne zniknięcie poderwie na nogi całą strukturę MSW, byłby w błędzie. Wydarzenie nie poruszyło nikogo. Ot, urzędnik niższego szczebla rzucił do telefonu:

— A sprawdźcie, czy tam, kurde, u was nie prowadzą handlu kradzionymi zwłokami?

Wycisnąwszy parę informacji od zaprzyjaźnionego policjanta, Złocki udał się na ulicę Marszałkowską, jakby miał nadzieję, że chodzący trup będzie na niego czekał w miejscu swej gwałtownej śmierci. Wprawdzie klasycy powieści kryminalnej twierdzą, że przestępca wraca na miejsce zbrodni, ale nikt nie wspomina, że tak samo postępuje ofiara. Oczywiście „Marszałkowskiego” nie spotkał, natomiast dwie wystawy dalej wypatrzył szczupłą dziewczynę w dżinsach zajęta dekoracją witryny. Dziennikarz wypukał ją przez szybę.

— Pani Anna... Leśniewska?

— Tak?

— Jerzy Złocki z „Najświeższego Wydania”.

— Nie czytam.

— Nie szkodzi. Ja też. Natomiast chciałem zaproponować pani małą kawę i zadać parę głupich pytań.

— A nie myli mnie pan z kimś?

— WT przypadku tak pięknej dziewczyny pomyłka nie wchodzi w grę.

Udało się! Normalnie takie wystrzałowe laski (z Marszałkowskiej) budziły w nim zakłopotanie; czerwienił się, mamrotał pod nosem i zaciskał spocone ręce w kieszeniach. Była to jednak prywatna nieśmiałość. Co innego, kiedy rozmawiał z nimi zawodowo. Wtedy stawał się Egonem Kischem, Orianą Fallaci i Ryszardem Kapuścińskim równocześnie. Sprawdziło się i tym razem.

Dziewczyna nie widziała samego wypadku. Stojąc tyłem do ulicy, zajmowała się podłożem, z którego wyrastały manekiny. Wybiegła jednak, podobnie jak cały personel, aby obejrzeć ofiarę

wiosennych opadów tynków i tympanonów.

— Może pani opisać tego nieboraka?

— Lepiej narysuję.

Podsunał jej redakcyjny bloczek firmowy. Paroma kreskami wyczarowała lico „Marszałkowskiego”, typowego latynoskiego przystojniaczka: pociągnęła, lekko nalana twarz z wąsikiem.

— Jak pan myśli, czy to może być ktoś z mafii? — zapytała wpatrując się w Jurusia migdałowymi, nieprzyzwoicie wielkimi oczyma.

— Nie przypuszczam. Zresztą z tego, co wiem, dotąd nie ustalono personaliów nieboszczyka.

— Ciekawe, tyle uwagi poświęca pan zwykłej ofierze wypadku?

Bez namysłu opowiedział jej o dotychczas pozbieranych przez siebie informacjach,

— Ależ to niesamowicie fascynująca historia! — wykrzyknęła Anna. — Trudno nie zazdrościć panu pańskiego zawodu!

— A pani, plastycznego talentu. Świetnie pani uchwyciła tego biedaka, rzekłbym, tak... żywo.

— Ale to nie mój typ, wolę blondynów, takich jak pan, panie redaktorze...

— Mam na imię Juruś... znaczy Jerzy!

Służbowy czas mijał, wracała prywatna nieśmiałość. Kończąc rozmowę, wziął od Ani telefon i adres w Podkowie Leśnej i ucałowawszy jej szczupłą dłoń, oddalił się, zgarniając płaszczem zastawę z sąsiedniego stolika.

Aby przegnać z głowy natrętny obraz wspaniałych piersi i migdałowych oczu dziewczyny, oddał się intensywnej pracy myślowej. Dzięki informacjom wydobyтым od zaprzyjaźnionego inspektora (Franciszek Huba, lat 41, z Komendy Głównej) wiedział o wynikach sekcji oraz o tym, że zmarły miał w kieszeni jedynie niecały milion starych złotych. Pasowało to do wizerunku urzędnika któregoś z okolicznych biur lub cudzoziemca zamieszkałego w jednym z pobliskich hoteli. Wyręczając właściwe organa, Juruś odwiedził kolejno MDM, Metropol, Polonię... W Forum trafił.

— Poznają, to senior Juan Portillo Alvarez z pokoju 518 — powiedział recepcjonista. — Ale chyba nie ma go teraz w apartamencie, klucz leży w przegródce.

— A to pech. Muszę się pilnie z nim zobaczyć. Na długo ma rezerwację?

— Od pierwszego do dziesiątego. Ale może chce pan zostawić wiadomość.

Złocki nie skorzystał z propozycji. Nie zamierzał tłumaczyć recepcjoniście, że stosowniejszym

miejszem dla zostawiania *message* dla zmarłych są stoliki spirytystyczne niż przegródki z kluczami.

Chwilę pokręcił się po holu, po czym myknął do windy. Miał już gotowy plan działania. Najpierw zostawił na schodach płaszcz i sweter, a potem zapukał do pokojówki.

— Cholerka, ale gapa ze mnie, zatrasnąłem klucz w moim pokoju... w pokoju 518. Czy możesz mi jakoś pomóc, ślicznotko...?

Dziewczyna najwyraźniej nie zapamiętała Alvareza. Oczarowana komplementem, otworzyła Złockiemu apartament i posłała uśmiech promienny jak Costa del Sol.

Pokój był wysprzątny, bezosobowy, czysty. W łazience nie zostały żadne prywatne przybory toaletowe, w łóżku nie było piżamy, w szafie ani śladu walizek. Rzeczy Alvareza wyparowały równie precyzyjnie, jak jego ciało. Mijając recepcję, Juruś rzucił okiem na przegródki. Mógłby przysiąc, że pod numerem 518 obok klucza znajdowała się jeszcze niewielka książeczka. Paszport! Ba, ale jak się do niego dostać. Podpalić hotel?

Anna Leśniewska właśnie uporała się z kolejną wystawą, kiedy na progu sklepu znów pojawił się dociekliwy dziennikarz.

— Przepraszam, ale czy mogłaby mi pani pomóc? — zagadnął zdobywając się na maksimum służbowej odwagi. — Sprawa jest delikatnej natury, ale jeśli panią fascynują tajemnicze historie...

Kwadrans później do recepcjonisty w Forum podeszła szykowna dziewczyna.

— Jestem ze Swissairu — powiedziała pewnym tonem świadomej swej urody hostessy. — Wasz gość, a nasz klient, pan Juan Portillo Alvarez wynajął u nas awionetkę na pojutrze, nie możemy się skontaktować z nim telefonicznie, a brakuje nam paru jego danych z paszportu. Mógłby pan mi pomóc? Pan Alvarez podał nam, że mieszka w pokoju numer 518.

Recepcjonista sięgnął po paszport. Otworzył. I grymas zdziwienia przebiegł przez jego twarz. Trzymał w ręku pustą skórzaną obwolutę ozdobioną herbem Królestwa Hiszpanii...

„Juan Portillo Alvarez, urodzony dwudziestego piątego czerwca 1950 roku, zamieszkały w Barcelonie” — tyle udało się ustalić Leśniewskiej na podstawie książki gości.

— I co dalej? — spytała Złockiego, który odprowadził ją aż do przystanku kolejki WKD.

— Musi starczyć na początek. Mogło być gorzej... Gdyby zasugerowała mu wspólną podróż, pojechaliby z nią do podwarszawskiego przysiółka. Ba, ponieważ doszedł do wniosku, że mógł przecież zaproponować jej wspólną podróż własnym cinquecento. Ale taki pomysł pojawił się w jego głowie, kiedy wagoniki WKD zdążyły zniknąć w mroku tunelu.

— Co za dzień — mruknął, ruszając w stronę domu. — Co za dzień.

Dzień jednak się jeszcze nie skończył. Wewnątrz zamkniętego na zamki spółdzielni „Skarbiec” M-4 zastał wyraźne ślady czyjejś bytności. Jego jedyna przyjaciółka, rybka, kręciła się w szklanym kloszu wyraźnie podniecona. Kasetka z dyktafonu Magdy zniknęła. A na komputerze natychmiast po włączeniu Windowsów samoczynnie pojawił się napis: „Sprawa zakończona — ciekawość może drogo kosztować!”

— Ciekawe. Coraz ciekawsze — skomentował wydarzenie docent Krystyniak, tym razem zaproszony w charakterze konsultanta kryminalnego. — Twój gość musiał być bardzo utalentowanym włamywaczem. O ściśle ukierunkowanych zainteresowaniach, skoro nie zniknął ani Kossak, ani ten rokokowy zegar. I ta pogroźka świadcząca o doskonałej znajomości Microsoftu... No, no, no!

Wbrew pozorom, Złockiego nie łatwo było zastraszyć. Prywatnie bojaźliwy (na widok grupki pijaków wolał przechodzić na drugą stronę ulicy), w sprawach zawodowych odznaczał się duszą lwa. Przekonali się o tym ubecy nachodzący go w stanie wojennym z propozycjami zaniechania

antypaństwowego procederu. Aresztu bał się tylko za pierwszym razem, a kiedy już znalazł się za kratkami, postępował dokładnie według zaleceń samouczka opozycjonisty, który, nawiasem mówiąc, sam wydrukował pół roku wcześniej.

Teraz również zlekceważył ostrzeżenie i już o świcie siódmego marca zjawił się w redakcji z pierwszym odcinkiem artykułu: „Człowiek znikąd znika, czyli co się stało z Juanem Alvarezem”?

Dwie godziny później znalazł maszynopis na swym biurku z czytelną adnotacją: „Nie do druku”.

Zdenerwowany poleciał do sekretarki.

— Kto podjął taką decyzję?

— Pierwszy Sekretarz.

Tym mianem określano w zespole „Najświeższego Wydania” Ludwika Rozena. Zabawne, że jego tytuł był o wiele starszy niż sama popołudniówka. Za poprzedniego ustroju Rozen też sekretarzował, tyle że Podstawowej Organizacji Partyjnej w Delegaturze Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w jednym z większym miast wojewódzkich. Inna sprawa, że nazywał się wówczas Ludzimir Różyczko.

Metamorfoza, jakiej uległ w ciągu paru lat, była symptomatyczna. Ze słowiańskiego funkcjonariusza aparatu przeobraził się w rzutkiego Europejczyka. A jeśli idzie o zmianę nazwiska i powrót do aszkenazyjskich korzeni, nie był wcale w swoim posunięciu odosobniony. Kiedy przyjmował do pracy Złockiego, długo i głęboko patrzył mu w oczy.

— Złocki, Złocki, a jak przedtem?

— Co znaczy: przedtem?

— No, czy to jest nazwisko rodowe?

— Jak najbardziej. Do pradziadka należała wieś Złoczewo na Wołyniu.

— Jeśli on by był panem na Złoczewie, to on by się nazywał Złoczewski, a nie Złocki — triumfalnie zachichotał Rozen.

— Mam w archiwum domowym jego metrykę i papiery rodzinne jeszcze z osiemnastego wieku. Zresztą tacy Lubomirscy pochodzili z Lubowli, a nie z Lubomli, i nikomu to nie przeszkadzało.

— Też prawda. Moja matka Ruta też była z domu Lubomirska — zgodził się Pierwszy Sekretarz.
— Więc mówicie, macie pochodzenie narodowo—obszarnicze...?

— Rzekłbym raczej: szlachta pracująca.

— Szkoda. Wielka szkoda!

Dziś jednak, kiedy Złocki wtargnął do jego gabinetu, zachował się mniej sympatycznie.

— Czy pan nie widzi, że to jest prawdziwa bomba, panie Ludwiku? — przekonywał dziennikarz. — Facet umiera i wkrótce potem znika w tajemniczych okolicznościach, nasza redakcja odkrywa jego prawdziwą tożsamość...

— Plotki, domysły, poszlaki, nie będziemy tym karmić czytelników.

— Ale nakład...

— Sprawą nakładu zajmuje się kolegium, wydawca i właściciel, a ja odpowiadam za to, co znajduje się w piśmie. I to się tam nie znajdzie.

— Ale dlaczego?

— Nie zamierzam się przed panem tłumaczyć. A jeśli nie odpowiada wam kapitalistyczny pragmatyzm, proszę poszukać sobie innej redakcji. Sądząc z pańskich danych osobowych, kolego Złocki, będzie to już dwunasta praca w ciągu sześciu lat...

— Chciałbym w tej sprawie porozmawiać z naczelnym!

— Proszę bardzo, aktualnie przebywa na sympozjum redaktorów naczelnych na Wyspach Kanaryjskich. Żegnam kolegę! A propos, możecie wziąć na warsztat sprawę tej uczennicy z Płocka, która chciała otruć spirytusem metylowym całą radę pedagogiczną miejscowego liceum. To jest temat.

Wychodząc z gabinetu, Złocki zagadnął sekretarkę Zuzię.

— Od dawna jest taki wściekły? Rano, kiedy zanosilem mu tekst, pogwizdywał i sypał kawałami.

— Chyba wkurzył się po tym telefonie.

— Którym?

— Dzwonił jakiś facet o cudzoziemskim akcencie.

Normalnie skręciłby do pobliskiego bistro i zamówił setę koniaku. Dziś jednak coś go powstrzymało. By ukoić nerwy i zebrać myśli, postanowił się przejść. Wyszedł z redakcji i ruszył w stronę Łazienek. Po raz kolejny zadawał sobie pytanie: Co tu jest grane? W zasadzie powinien odpuścić sprawę, ale coś go ciągnęło, żeby nie odpuszczać.

Do parku jednak nie dotarł, nogi same zaprowadziły go do siedziby Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Iberyjskiej i tam uzyskał dostęp do książki telefonicznej Barcelony. Niestety Juanów Alyarezów znajdowało się tam parę stron. Już zamierzał zrezygnować, kiedy w głębi czytelnia dostrzegł łysą czaszkę wyglądającą dziwnie znajomie. Krystyniak?

— Co tu robisz, kochany Docencie? O ile cię znam, zazwyczaj aż do kwietnia starasz się nie

opuszczać domu?

— Zainteresowała mnie ta twoja opowieść, zadzwoniłem więc do znajomego Hiszpana z uniwersytetu w Salamance, ten uruchomił swoje kontakty i okazało się, że w całej Hiszpanii istnieje tylko jeden profesor filologii nazywający się Juan Portillo Alvarez, ale ma lat siedemdziesiąt siedem i zajmuje się językami południowoamerykańskich Indian.

— Czyli kłapa?

— Powolutku. Ja się tak łatwo nie poddaję. Zjrzałem tutaj i poprosiłem o najnowszą zszywkę barcelońskiej gazety „La Vanguardia”...

— I...?

— Pierwszego marca, w kilkanaście godzin po przybyciu Alvareza do Polski, pożar zniszczył jego mieszkanie przy Rambla los Capuchinos. W pożarze śmierć poniosła dwudziestoosmioletnia Julia Alvarez, jego żona.

— Jesteś pan pewien, że chodzi o tego samego Alvareza?

— Zadzwoniłem do „La Vanguardii” i trafiłem na dziennikarza, który zajmował się sprawą. Porównałem daty urodzenia. To nasz „Marszałkowski”! Do dwudziestego dziewiątego lutego był jak najbardziej przykładowym urzędnikiem bankowym. Po skończeniu pracy jak zwykle udał się do domu. Miał na następny dzień poumawiane wizyty. Nikomu nie wspominał o planach wyjazdu. Od tej chwili nikt już z nim nie rozmawiał. Jego seata znaleziono na parkingu miejscowego lotniska. Nazwisko Alvarez (Mężczyzna) figuruje na liście pasażerów pierwszego porannego samolotu do Madrytu. Dalej ślady się gubią, kilkudziesięciu Alvarezów odleciało tamtego dnia w różne strony świata... Istotne, że pożar wybuchł zaledwie parę godzin po starcie. Niewykluczone, że nasz bankier zamordował żonę i zostawił w mieszkaniu zapalnik z opóźnionym zapłonem...

— Interesujące.

— Jeszcze nie skończyłem. Policja ustaliła, że tamtej nocy ktoś dzwonił z mieszkania Alvareza do znanego lekarza psychiatry, doktora Jorge Gonzalesa.

— I co powiedział ten Gonzales?

— Numer Alvarezów zarejestrował licznik telefonu komórkowego psychiatry, natomiast sam lekarz godzinę po tej rozmowie wyskoczył z okna swego mieszkania znajdującego się na siódmym piętrze, ponosząc śmierć na miejscu.

— Ciekawy zbieg okoliczności.

— Bardzo ciekawy. Na szczęście wspomniany psychiatra był pedantem. Z jego notatnika wynikało, że pani Alvarez odwiedziła go dwukrotnie dwudziestego piątego i dwudziestego siódmego lutego. Jednak ten skrupulatny medyk, przed swym samobójczym skokiem nie sporządził żadnego listu, a z całego archiwum zniszczył tylko jedną dyskietkę i jedną taśmę.

— Dotyczącą pani Alvarez?

— Właśnie. Ślady spalonych tworzyw znaleziono w kominku.

— A może to nie było samobójstwo?

— Zbrodnia w mieszkaniu zamkniętym od wewnątrz.

— Jednak okno chyba zostało otwarte przed samobójczym skokiem?

— Tak i teoretycznie jakiś linoskokczek mógłby tamtędy dotrzeć na dach. Ale wersję tę uznano za nieprawdopodobną. Gonzales nigdy nie wykazywał skłonności samobójczych, chociaż wiadomo, że wszyscy psychiatrzy to czuby.

Złocki kiwnął głową i wyczekiwająco spojrzął na Docenta.

— Tak czy siak, hiszpański ślad się urywa. Wiemy, kim był Alvarez. Nie wiemy, co spowodowało nagły kataklizm w jego życiu.

— Atak szału?

— Nie można wykluczyć. Jak jednak wygląda rekonstrukcja zdarzeń? Nasz niespełna pięćdziesięcioletni bankowiec w środku nocy dzwoni do psychiatry swojej żony...

— Chwileczkę, może to ona dzwoniła?

— Możliwe. Co nie zmienia przebiegu wydarzeń. Wkrótce potem lekarz popełnia samobójstwo, a Alvarez zabija lub przynajmniej ogłusza swoją małżonkę, podpala mieszkanie, przyjeżdża do Polski, tu melduje się na dziesięć dni w hotelu, nie wiadomo co porabia przez cztery dni, aż podczas przechadzki ginie pod gruzami neogotyku...

— A jeśli ta śmierć nie była przypadkowa?

— Policja badała gzymś. Był w fatalnym stanie. Lada chwila mogły się posypać następne kawałki. Na dachu leżały resztki nie naruszonego śniegu, natomiast okien, z których można by w niego czymś cisnąć, nie otwierano od lat.

— Zatem czysty przypadek. A czy domyślasz się, czego mógł szukać ten Hiszpan w Polsce?

— Nie mam pojęcia. Nie odbywa się aktualnie żaden kongres bankowców, jego firma nie miała kontaktów z naszymi bankami.

— Może sprawy rodzinne.

— Godzinę temu wydzwoniłem ciotkę Juana Portillo. Miła staruszka. Twierdzi, że nie było żadnych Polaków w ich rodzinie...

— Co w takim razie robi pan jeszcze w tej czytelni?

— Przeglądam gazety?

— W celu...?

— Nie mam celu, nie mam tropu. Zarzucam haczyk na ślepo i bez robaka, z nadzieją, że może coś złapię.

— Zaraz, ale zostaje nam drugi trop. Ktoś ukradł ciało, wyczyścił hotel, zrobił żart, pozostawiając w recepcji obwolutę paszportu, włamał się do mego mieszkania...

— Możemy jedynie zachować ostrożność. I czekać na następny ruch.

Pożegnali się. Złocki miał na końcu języka informacje o dziwnym zachowaniu sekretarza redakcji, ale postanowił zachować to dla siebie. Sprawa robiła się coraz bardziej podejrzana. Rožen nie miał najmniejszego powodu wstrzymać artykułu. Chyba że ktoś mu to kazał. Ale kto?

Wpadł do Pizza Hut, gdzie spożył mdłe *quadri stagioni*, zajrzał do siostry mieszkającej w Aninie i koło dziesiątej znalazł się na swojej klatce schodowej. Wychodząc z windy i zagłębiając się w ciemnawy korytarz, próbował wysupłać klucze z przepaścistej kieszeni. Naraz stanął jak wryty.

W kącie przy jego drzwiach dostrzegł postać siedzącą w kucki. Instynktownie cofnął się. Postać uniosła głowę.

— Myślałam, że już pan nigdy nie wróci...

— Anna... znaczy panna Leśniewska. Co się stało?

— Widziałam Alvareza. Żywego!

2. Hiszpański załącznik

Była to wyjątkowo urokliwa planeta. W swojej wędrówce przez galaktyki widział wiele ciał niebieskich. To jednak zachwyciło Go swym harmonijnym charakterem. Nie wydawało się ani za duże, ani za małe, cechowały go właściwe proporcje mórz i lądów. Planeta, nie za bardzo oddalona od macierzystej gwiazdy, posiadała satelitę wywołującego pływy oceanów, a skrzywiona oś umożliwiała zmiany pór roku. Oczywiście, przydałoby się zmienić proporcje gazów w atmosferze, temperaturę skorupy obniżyć, a kontynenty bardziej oddzielić od siebie. A wówczas brakowałoby tej planecie jedynie życia. Taki stan można było jednak zmienić.

Wiedział, że życie jest dobre.

Potrzebował też kogoś do kochania.

Dawno nie kochał, bardzo dawno, a może nigdy...

Anna wyglądała na podnieconą. Oczy jej błyszczały, a sposób, w jaki odrzucała do tyłu bujne, ciemne włosy, wywoływał w Złockim dreszcze. Onieśmielony bardziej niż zwykle, zaprosił ją do wnętrza, z góry przepraszając za bałagan panujący w kawalerskim gospodarstwie. I nie była to tylko formułka. Od odejścia Agnieszki nikt w M-4 nie zhańbił się sprzątaniami, po wszystkich kątach zalegały stosy książek, gazet i ubrań. W zlewie piętrzyły się sterty nie pozmywanych talerzy, pokrytych wielobarwnymi koloniami pleśni. Juruś, mocno zażenowany, zgarnął papiery z jedyne go fotela, robiąc miejsce dziewczynie, następnie kopniakiem zamknął drzwi od sypialni, tak aby nie dostrzegła rozgrzebanej pościeli. Panna Leśniewska wydawała się nie zwracać uwagi na ten *entourage*. Przyjęła kieliszek koniaku i przycupnęła na podsuniętym fotelu.

— No więc gdzie pani widziała tego zombi? Może to jedynie ktoś podobny?

Energicznie pokręciła głową i jej włosy znów przez moment tworzyły ciemną aureolę.

— Jestem dosyć spostrzegawcza... To odwrotnie niż ja, pomyślał Juruś.

— Wpadłam dziś po południu do hotelu Victoria. Boguś zadzwonił, że skończyły mu się pieniądze i trzeba go wykupić z Zielonego Barku. Trochę się przy okazji pokłóciliśmy, ale wziął forszę i poszedł dalej w miasto, a ja zatrzymałam się w holu obejrzeć parę wystawionych do sprzedaży obrazów... Tam go zobaczyłam.

— Na jakimś obrazie?

— Nie, jak najbardziej żywy siedział w kącie holu i przyglądał się ludziom kręcącym wokół recepcji.

— I jak wyglądał?

— Powiedziałabym, żadnych charakterystycznych cech żywego trupa. Miał rumianą cerę, błyszczące oczy. Ale to był na pewno on. Zresztą chyba też mnie poznał. Kiedy nasze spojrzenia spotkały się, wykonał zwrot w miejscu i ruszył do wyjścia.

— Miał włosy?

— Miał.

— W takim razie to na pewno nie on, pogruchotaną czaszkę do sekcji ogolili na zero.

— Widocznie założył perukę... Ale nie mogłam się pomylić. Na czole widziałam końcówkę plastra, pod którym musiało się ukrywać pęknięcie czaszki.

— Sugeruje pani, że człowiek bez wnętrza i z pękniętą czaszką spacerował po hotelu?

— Niczego nie sugeruję. Mówię, co widziałam — fuknęła.

— I co pani dalej zrobiła?

— Oczywiście, trochę głupio było mi podejść i zagadnąć: Pan Alvarez, to pan żyje, moje gratulacje... Poprzestałam więc na obserwacji i ruszyłam za nim.

— Dokąd?

— Alvarez przeszedł Królewską i zagłębił się w Ogród Saski. Zdziwiło mnie, że tam poszedł, przez moment zastanawiałam się, czy nie spróbuje zaczekać na mnie w jakiejś ustronnej alejce.

— I nie bała się pani, pani Aniu, przecież to było niebezpieczne?

— Jakoś nie miałam czasu o tym pomyśleć. Zresztą park jest rzadki, bezlistny, wszędzie kręcili się ludzie... Prawie już go dopędzałam, kiedy zdarzyło się to najdziwniejsze. Koło stawu Hiszpan odwrócił się i spojrzał na mnie tak przenikliwie, że poczułam się, jakbym nagle stanęła przed nim naga...

Złocki, który rozbierał Annę wzrokiem, zaczerwienił się jak złodziejaszek złapany na gorącym uczynku.

— Zaatakował panią?!

— Nie, ale przez dobrą minutę stałam jak sparaliżowana. Widziałam, jak oddala się w kierunku przystanku tramwajowego, jak niknie w mroku alejki, a nie mogłam poruszyć ani ręką, ani nogą...

— Tak silny stres?

— To nie miało nic wspólnego z normalnym stresem, czułam się jak sparaliżowana. Dobrze, że utrzymałam się na nogach. Kiedy to unieruchomienie minęło, pobiegłam za Alvarezem, ale szukaj wiatru w polu...

— Bardzo słusznie, że natychmiast przyjechała pani do mnie!

— Nie natychmiast. Wcześniej obeszłam okoliczne hotele, zajrzałam też do biura kwater prywatnych. Trochę wypytywałam. I wie pan, nigdzie nie zameldował się żaden Juan Alvarez ani nikt o zbliżonym rysopisie. To znaczy w Bristolu, Europejskim i Holliday Inn zapamiętano go...

— Ooo!

— Portierzy powiedzieli mi, że od przedpołudnia po holach i restauracjach kręcił się ktoś podobny do naszego tajemniczego Iberyjczyka. Zachowywał się, jakby kogoś szukał. I to wszystko.

Złocki miał wielką ochotę uściskać dziewczynę, ale poprzestał na okrzyku:

— Jest pani genialna, pani Aniu!

— Zdaje się, że mieliśmy mówić sobie po imieniu.

W kwestii obyczajów Złocki był konserwatystą i uważał, że właśnie na podobne okazje wymyślono ceremonię bruderszaftu. Ponownie napełnił kieliszki. Wypili sobie przez ręce. Pocałowali się delikatnie, w jeden policzek, w drugi, za trzecim przez okamgnienie jego usta musnęły pełne zmysłowe wargi dziewczyny. Czy to było zaproszenie... Zamknął oczy jak sportowiec przymierzający się do skoku w głębię basenu. Anna rozstrzygnęła za niego.

— Będę musiała lecieć — powiedziała, cofając się ku drzwiom. — Boguś i tak się wścieknie.

— Odwiozę cię — zaproponował pospiesznie. — Skoro jesteśmy współnikami w śledztwie, muszę podzielić się z tobą tym, do czego doszliśmy.

— My? — urocze brewki uniosły się wysoko.

Ostro prowadząc cinquecento, zrelacjonował jej wyniki poszukiwań Docenta Krystyniaka, dramatyczne wydarzenia z Barcelony, ostrzeżenie zakodowane w komputerze, wreszcie odmowę opublikowania artykułu...

— Mimo wszystko trudno uwierzyć, żeby jakikolwiek człowiek mógł żyć bez mózgu i podstawowych narządów — skomentowała Leśniewska. — Nawet jeśli to jest zombi. Podejrzewam raczej, że z jakiegoś powodu ktoś wykradł ciało Hiszpana, podszył się pod jego osobę, a teraz kręci się po hotelach, chcąc spotkać tego lub tych, z którymi Alvarez miał się kontaktować w Warszawie. To pachnie grubszą aferą. Czy nie uważasz, że powinniśmy powiadomić władze?

— Żeby nas wyśmiali?

— Racja. Poza tym kimkolwiek jest dubler Alvareza, musi posiadać ogromne wpływy, skoro załatwił u twego szefa odrzucenie artykułu.

— Myślisz, że on to zrobił?

— A któż by... Teraz skreć w prawo!

Leśniewska wynajmowała dwa pokoje w parterowym drewniaczku. Boguś najwyraźniej usłyszał warkot nadjeżdżającego samochodu, bo wyszedł na powitanie. Był to zwalisty trzydziestolatek o urodzie radzieckiego amanta filmowego, którego lica nie zmąci nigdy głębsza myśl. Na jego widok z rezolutnej kobiety–detektywa wylazła kura domowa. Skurczyła się, spuściła oczy...

— Gdzie byłaś? — warknął na powitanie.

— Wszystko ci opowiem w domu, pozwól, to jest redaktor Złocki.

Boguś nie zaszczycił Jurusia najmniejszym zainteresowaniem. Warknął tylko:

— Nie ma w domu nic do żarcia. Chcesz, żebym zdechł, czy jak?

— Zaraz skoczę do nocnego. A panu, panie redaktorze, dziękuję za podwiezienie. W sprawie, która pana interesuje, postaram się jutro zadzwonić — bąknęła Ania, po czym przepuściwszy w drzwiach narzeczonego, zniknęła za nim w czeluści drewniaka.

Droga powrotna do Warszawy trwała długo. Z zewnątrz ogarniała Jurusia czarna noc, od środka dusiła czarna rozpacz.

Jakże podły był ten świat, rozdzielający tak niesprawiedliwie swoje bogactwa. Anna, mądra, inteligentna, zdolna, urodziwa, przypadła takiemu prymitywowi. Przecież on nawet nie był w stanie docenić tego, co posiada.

W pustym mieszkaniu smutek jeszcze się spotęgował. Juruś popatrzył na fotel, na którym siedziała, na kieliszek z odrobiną szminki na krawędzi... Och, Aniu!

Rozległo się skrobanie do drzwi.

Tak skrobał jedynie pudel sąsiadki Magdy albo intelektualista z czternastego piętra. Zważywszy porę, nie był to raczej pudel.

W zasadzie Docent Krystyniak nie był wcale docentem. Choć oczywiście mógłby nim być i to parę razy. Można nawet wątpić, czy przysługiwał mu tytuł doktora habilitowanego. Owszem, studiował kiedyś na czterech kierunkach naraz, wszelako nie w celu zawieszenia na ścianie dyplomów, a raczej w poszukiwaniu wiedzy, a także stypendiów naukowych i nagród semestralnych. Urodził się bowiem jako człowiek biedny, acz zdolny. Czas jakiś później Robert znalazł szybszy sposób dyskutowania swych umysłowych predyspozycji. Pięciokrotnie wygrał Wielką Grę, po czym objął go niepisany zakaz dalszych startów. Podobnie stało się z Kołem Fortuny i innymi teleturniejami. Drobnie wpływy zapewniały mu krzyżówki rozwiązywane w windzie (nie lubił tracić czasu). Przymuszony okolicznościami siadał do brydża i zawsze wygrywał. Sporadycznie, ale po kalkulacji wykluczającej pomyłkę, obstawiał fuksy na wyścigach. Bez pudła. Grał na parę lig piłkarskich (w tym argentyńską), a w wolnych chwilach udzielał bezcennych porad sąsiadom i przyjaciołom. Docentem nazwał go dozorca po tym, jak za pomocą dedukcji ustalił, z kim puściła się jego córka i dlaczego dziecko jest czarne. I ten przydomek przylgął do Krystyniaka na stałe.

— Potwierdzają się moje przypuszczenia — powiedział po wysłuchaniu relacji Złockiego. — Chyba postawiłem słuszną diagnozę.

— Czyli szpiegostwo albo zorganizowana przestępczość? Krystyniak potargał rzadką kępkę pod nosem.

— Stojąc wyłącznie na gruncie wąsko pojętego racjonalizmu, sprawy wyjaśnić się nie da. To, czy Alvarez ożył, czy ktoś się pod niego podszywa, jest problemem drugorzędny. Moim zdaniem, kluczem jest jego przedśmiertny monolog.

— Rozumiem, że zamiast wędrówką ciał, wolisz zająć się kwestią wędrówki dusz? Może powinniśmy skontaktować się z jakimś spirytystą? Albo wróżką?

— Nie popadajmy w skrajność — Docent dla odmiany pogładził się po czaszce, w miejscu gdzie jeszcze parę lat temu pysznił się seksowny loczek. — Między światem całkowicie racjonalnym a kompletną fikcją rozpościerają się jeszcze pola szare, tajemnicze, niewyjaśnione, choć niekoniecznie pozbawione naukowych podstaw. Mówiąc konkretnie, odbyłem parę rozmów ze znajomym psychotronikiem z Paryża, chyba najwybitniejszym spośród żyjących badaczy tych zagadnień. Jacques obiecał poszukać w swoim banku danych.

— Czego ma szukać?

— Zdarzeń podobnych. Faktów, może pozornie bez związku, ale dających do myślenia. Czy wiesz, jakim okrzykiem skomentował moją relację? „Znowu rok przestępny!”

— I co z tego?

— Wedle Jacquesa Vitry’ego istnieje cała gałąź paranauki dotycząca lat przestępnych. Przytaczał

mi sporo mitów ogniskujących się wokół dwudziestego dziewiątego lutego, tego szczególnego dnia pobudzenia sił nadprzyrodzonych.

— Dwudziesty dziewiąty... To dzień nagłej przemiany Alvareza.

— Przy okazji podrzucę ci trochę literatury. W wolnych chwilach interesowałem się i okultyzmem, i parapsychologią z elementami astrologii i numerologii. Stąd w bibliotece zostało mi kilkadziesiąt publikacji na te tematy. A swoją drogą, jeśli pozwolisz, zadzwonię od ciebie do Jacquesa i przekażę mu rewelacje twojej panienki.

— Niestety Anna nie jest moją dziewczyną — westchnął Złocki, a potem westchnął drugi raz, widząc, jak Docent wykręca kierunkowy Paryża. Oj, będą koszty!

Krystyniak rozmawiał ponad kwadrans. Juruś odczuwał fizyczny wręcz ból na myśl o obrotach licznika. Będąc na rauszu rozrzutnym, w momentach otrzeźwienia popadał w chorobliwe skąpstwo. Co gorsza, nie rozumiał ani słowa z tego, co Robert cedził do słuchawki. Docent zdawał się być bardzo spokojny, co u tego intelektualisty oznaczało stan maksymalnego podniecenia. Wreszcie skończył efektownym: „D'accord!”

— Jacques jest bardzo zainteresowany sprawą Alvareza — podsumował. — Proponuje nam układ.

— To znaczy?

— Maksimum informacji za pełną lojalność.

— Ale jakie będziemy mieli dowody, że z jego strony będzie to rzeczywiście maksimum?

— Miejmy nadzieję, że pokaże to samo życie. Teraz najważniejsze jest odszukanie Alvareza.

— Prywatne śledztwo na taką skalę? Czy ten twój Jacques orientuje się w kosztach?

— Jutro na moje konto Vitry prześle dziesięć tysięcy franków na wstępne wydatki...

Złocki głośno przełknął ślinę.

— A cóż go tak zainteresowało?

— Zdaje się, że trzymamy koniec nitki z kłębka, który Jacques już od dłuższego czasu usiłuje rozplatać. Widzisz, że zjawiskami paranormalnymi jest tak, że wielu w nie wierzy, wielu nie wierzy, ale bardzo niewielu ma szansę zetknąć się z nimi osobiście. Weźmy ja, żyję tyle lat, a zaledwie raz zetknąłem się z poltergeistem.

— W zamczysku?

— Nie, w opuszczonej bazie radzieckiej pod Szczecinem. A telekineza. Iluż hochsztaplerów przypada na jednego, który ma naprawdę paranormalne umiejętności.

Krystyniak rozkręcał się. Widać było, że ludzie o niezwykłych zdolnościach fascynowali go od lat. W pół godziny naszkicował Złockiemu aktualny stan psychotroniki, potem cofnął się do starożytnych haruspików, wspominał o celtyckich druidach, o tajemnicach kapłanów indyjskich... Toteż, kiedy w przyniesionej przez Docenta butelce ukazało się dno (pił sam Krystyniak, bo Złocki postanowił ćwiczyć wolę), redaktor był już absolutnie przekonany, że są na niebie i ziemi rzeczy, o których nie śniło się filozofom. Nadal jednak budził jego nieufność ich nowy współpracownik z Paryża.

— Kim właściwie jest ten Vitry?

— Trudno powiedzieć, trochę pisarzem, trochę badaczem. Tyle że od dłuższego czasu nic nie pisze, a wynikami badań dzieli się z nielicznym gronem przyjaciół. Wspólnie tworzą elitarny Klub Poszukiwaczy Dziwności. Można powiedzieć, że to rodzaj ekskluzywnej zabawy.

— Zabawy”? To z czego więc twój przyjaciel żyje?

— Jest obrzydliwie bogaty z domu. Branża chemiczna albo tekstylna. Poznałem go przed kilkunastu laty, gdy na zlecenie izraelskiego przemysłowca francuskie medium, jedynie na podstawie paru zdjęć jego dziadków, odszukało skarb ukryty w pewnej piwnicy u nas, na Pradze.

— Jacques był tym medium?

— Jedynie tłumaczem.

— A ty?

— Mieszkałem w tej kamienicy.

— I co, znaleźli skarb? I wywieźli go z Polski?

— W tej sprawie związany jestem słowem honoru i nic nie mogę ci powiedzieć!

Koło pierwszej zabrzączał telefon, zagdakała automatyczna sekretarka. Złocki poderwał się z miejsca, ale Krystyniak powstrzymał go delikatnym ruchem.

— Pozwoliłem sobie podać numer twojego faksu. Widzisz, Jacques dotrzymuje słowa.

Cher Robert, w załączeniu znajdziesz tekst, spisany z taśmy magnetofonowej, a uzyskany parę godzin temu od niejakiego Ramona Hereiry, prywatnego detektywa. Hereira zgłosił się do mego przyjaciela, znanego w Barcelonie autorytetu w sprawach zjawisk nadprzyrodzonych. Ów badacz (wybacz, że nie ujawnię jego nazwiska) na mocy koleżeńskiej umowy przekazał całość uzyskanych materiałów do naszego banku informacji. Trafiłem na to dosłownie przed chwilą i niezwłocznie przesyłam całość tobie.

Głos starszy, spokojny (1): — Dlaczego zwrócił się pan z tym właśnie do mnie?

Głos młodszy, silnie podenerwowany (2): — Boję się panie profesorze. Mam okropnego pietra! Oczywiście mógłbym zwrócić się do policji, ale ci na pewno by mnie wyśmiali... Uważam jednak, że z kimś się muszę podzielić tymi informacjami.

1: — Całkiem słusznie, panie Hereira. Jeśli tak renomowany detektyw mówi, że sprawa jest poważna...

2: — Detektyw! Sam nie wiem, po co ja wybrałem taki cholernie niebezpieczny zawód! O Santa Mario z Guadelupy! A rodzice ostrzegali. Mówili: „Znajdź sobie bezpieczniejszy fach!”

1: — A kim miałby pan być wedle marzeń rodziców?

2: — Torreadorem!

1: — Może jednak przejdziemy do rzeczy.

2: — Już przechodzę. No więc dwa tygodnie temu zwróciła się do mnie pani Gonzales. Żona tego lekarza od szurniętych, co to, wie pan, pomylił okno z drzwiami... Sama też zdrowo stuknięta. Blondynka! A przecież moja babcia, nieboszczka, zawsze powtarzała: „Uczciwy Hiszpan i katolik powinien wystrzegać się przeciągów i blondynek, bo nawet te naturalne są nienaturalne”.

1: — Powiedzmy, podobno jednak rude są gorsze. Ale do rzeczy!

2: — No więc ta pani Gonzales wali do mnie prosto z mostu: „Panie Hereira, ja chcę wiedzieć, czy mój Jorge się przypadkiem nie kurwi?” Tak powiedziała. Bez ogródek. Jak to blondynka. I dalej: „Ja często wyjeżdżam na parę dni do Madrytu, a on tu sam, biedaczek, pracuje, przychodzą pacjentki, niekiedy młode, znerwicowane, on je uspokaja... Taki jego fach. Jednak chciałabym wiedzieć, co się na tej jego kozetce wyrabia. Rozumie pan? Płacę z góry połowę, a jakby się okazało, że moje podejrzenia się sprawdzają, coś dorzucę. Na to ja: „A jeśli się okaże, przykładowo, że współmałżonek jest wierny? To co z premią?” Na to ona: „Też będzie. Jednak muszę mieć dowody, zdjęcia, nagrania”. „Nie wiem, czy się pani orientuje, ale w grę wchodzi tajemnica lekarska”. „Tajemnica obowiązuje mojego męża, nie pana!”, ucięła dyskusję. No więc, panie profesorze, podjąłem się tej roboty, ale gdybym wiedział, co z tego wyniknie...

1: — Jednak nie wiedział pan. Proszę dalej!

2: — Podając się za konserwatora air condition założyłem w gabinecie podsłuch, wynająłem też garsonierę vis-à-vis. I obserwuję. Jeden dzień, drugi. I nic.

1: — Zupełnie nic?

2: — Ojej, na rozpoczęcie pracy i po zamknięciu regularnie grzmocił swoją sekretarkę, ale jak zadzwoniłem z meldunkiem na ten temat, seniora Gonzales tylko mnie ochrzaniła: „Tę Concepcion

mu wybrałam sama, dziewczyna z biednej rodziny, czysta, religijna, przebadana i w dodatku sierota, więc takimi działaniami higienicznymi mego męża głowy mi nie zwracaj. O pacjentki chodzi. Kobiety z towarzystwa. Dla sekretarko — pielęgniarki mnie Jorge nie zostawi!”

1: — No i?

2: — Przez tydzień nic się nie zdarzyło. Nasłuchałem się dyrdymałów tych pacjentów: „Biję psa, bo mi przypomina mojego ojca” albo: „Odczuwam pociąg do małych dziewczynek w podartych rajstopach” czy też: „W czasie uprawiania seksu mam ogromną ochotę na jedzenie pestek z dyni” czy wreszcie: „W dni parzyste wydaje mi się, że jestem Krzysztofem Kolumbem, ale w nieparzyste Magellanem”. Tfu! Same bzdury zamożnych burżujów, którzy nigdy nie splamili rąk uczciwą pracą. Ktoś zrobiłby szmal publikując te wynurzenia, ale nie ja, bo jestem uczciwy, kasowałem po każdym dniu ten chłam, w końcu taśmy magnetofonowej nie dają za darmo...

1: — Rozumiem, że wśród skasowanych nagrań były i zarejestrowane wizyty pani Alvarez.

2: — Były, ale początkowo nie zwróciłem na nie specjalnej uwagi. Z tego, co pamiętam, kobieta nawijała jak nakręcona głównie o dziwnym zachowaniu męża. Ze się zmienił... No, ale kto się nie zmienia. Że po nocach przez sen w jakichś nieznanym językach gada, a kiedy parę razy próbowała go dobudzić, to przychodziło jej to z ogromnym trudem. A samo gadanie przez sen było okropne. Jak gdyby kłóciło się dwóch ludzi albo trzech. Jeden cienko, piskliwie, drugi nisko, stanowczo. Pani Alvarez twierdziła, że z nocy na noc było coraz więcej tego drugiego.

1: — A lekarz co na to?

2: — Pytał głównie o stan jej męża po przebudzeniu.

1: — I...?

2: — Podobno zachowywał się normalnie. Z dnia na dzień narastało w nim jednak napięcie, jakby oczekiwanie na coś, co nieuchronnie musi nastąpić. Oczywiście, momentami wracał dawny Juan, czuły, tkliwy. Niekiedy bardzo zamyślony. Kilkakrotnie zauważyła, jak raptownie odwracał oczy, żeby nie dostrzegła łez. Pytała: „Co ci?”, odpowiadał: „Nic mi nie jest!”

1: — Nie próbowała namówić go na wizytę u Gonzalesa?

2: — Próbowała. Wtedy wybuchnął. Wpadł w prawdziwą furję. „Żadnych lekarzy! — krzyczał. — Wszystko jest w porządku, w najlepszym porządku!”

1: — I nie wzbudziło to pańskich podejrzeń?

2: — Nie za bardzo, obaj zgodnie uważaliśmy ją za osobę przewrażliwioną. Gonzales zapisywał jej środki uspokajające. A we własnych wypowiedziach po sesji mówił coś o natręctwie konfabulacyjnym... I tak było aż do tej ostatniej nocy.

Teraz załączam tekst spisany z taśmy numer dwa należącej do aparatury podsłuchowej detektywa Hereiry.

TAŚMA II

Dzwonek telefonu.

Głos zaspanego mężczyzny (M): — Słucham, Gonzales.

Głos rozhisteryzowanej kobiety (K): — To ja, Julia Alvarez!

M: — Czy pani wie, która jest godzina?

K: — Ja się boję, panie doktorze, niech pan mnie ratuje! To... to straszne!

M: — Ale co się stało?

K: — On go zabił!

M: — O kim pani mówi?

K: — Ten głos niski zabił cienki. Okropnie się kłócili. Był straszny krzyk, rżenie, teraz już go nie słychać...

M: — A pani mąż?

K: — Chyba śpi... Nie wiem, uciekłam z sypialni. Zamknęłam drzwi. Boję się. Jego ręce. Wyciągały się do mnie jak szpony.

M: — Proszę się uspokoić. Ma pani jeszcze znoje lekarstwo?

K: — Zużyła??! wszystkie. Zaraz, słyszę jakiś hałas...

M: — Jeśli naprawdę boi się pani męża, to proszę wezwać policję.

K: — Nie, nie, to nic nie da... Ja... ja muszę panu coś jeszcze wyznać. On mi to powiedział przy kolacji...

M: — Słucham?

K: — Nie przez telefon. Może usłyszeć. Przyjadę do pana. Błagam niech się pan zgodzi. Bo i tak przyjadę.

M: — Dobrze, przygotuję dla pani lekarstwo.

ZAŁĄCZNIK I (fotografia wykonana teleobiektywem: postać w damskiej pelerynie z kapturem wysiada z seata)

TAŚMA III

Szczęk otwieranych drzwi.

Głos męski (1): — Proszę, pani Alva... Co?

Niski głos męski (2): — Cofnij się, człowieku.

1: — Pan Alvarez? To pan.

2: — Powiedzmy. Taśma i notatki! Dawaj!

1: — Ależ proszę pana! Co pan sobie wyobraża?!

2: — Bez dyskusji! Nie przeszkadzaj temu, co być musi.

Odgłosy szamotania, jęk.

2: — Co ma być, będzie, człowieku. I nie zawadzaj mi. Albowiem prochem jesteś i amebą...

1: — No dobrze, dam panu te taśmy, ale prosiłbym o chwilę rozmowy. Pański stan...

2: — Nie tobie sądzić o mym stanie. Niech ślepi nie wyrokują o kolorach, a głusi śpiewu nie uczą.

1: — Proszę usiąść spokojnie...

Głos staje się monotony, wręcz mechaniczny.

2: — Nie ma czasu, niedługo samolot zacznie kołować. Pora nadchodzi. Dla wszystkich.

1: — Co pan zamierza zrobić... Po co otwiera pan okno?!

2: — Konieczność jest powinnością...

1: — Na miłosierdzie boskie, możesz pan wrzucić to wszystko do kominka, ale nie zbliżaj się do mnie. Nie zbliżaj się...

Szamotanie, krzyk mężczyzny obijający się o ściany domów, odgłos upadku.

ZAŁĄCZNIK 2 (fotografia ciała rozkrzyżowanego na bruku)

ZAŁĄCZNIKI 3/4/5 (trzy ujęcia mężczyzny opuszczającego się po ścianie budynku)

ZAŁĄCZNIK 6 (odjeżdżający seat należący do pani Julii Alvarez)

Krystyniak skończył tłumaczenie faksu i w mieszkaniu Złockiego zaległa głucha cisza. Dopiero po dłuższej chwili Juruś wykrztusił:

— W co myśmy się właściwie wpakowali, kochany Docencie?

— Nie wiem, w co, ale całe życie czekałem na coś podobnego.

3. Karzeł, Chińczyk i Poliglota z Anzere

Nie było jednego aktu stworzenia. Jednego wprawienia maszynierii w ruch. Proces przebiegał zmusznie i z licznymi komplikacjami. Nie wystarczyło powiedzieć: Stań się! Cała planeta musiała się przekształcić w misternie zaprogramowane laboratorium czy, jak kto woli, poligon doświadczalny.

Najpierw został przygotowany teren. Przybysz zapoczątkował wybuchy wulkanów i reakcje sejsmiczne na skalę globalną, potem włączył studzenie skorupy. Wówczas wyzwolone gazy utworzyły tymczasową atmosferę, a zsyntetyzowany wodór i tlen wypełnił zagłębienia na powierzchni bryły, tworząc praocean.

A było to dopiero wstępne zagospodarowywanie planety. Dalej dzieło musiało powstawać równie wieloetapowo. Od początkowego mozolnego wiązania łańcucha aminokwasów, poprzez syntezę pierwszych drobin białka z zastosowaniem serii genialnych wynalazków pozwalających stworzyć uniwersalny system zapisywania kodu DNA. Następnie należało zanurzyć produkt wyjściowy w praoceanie i tchnąć w niego Ducha. A później...? Naiwni darwiniści są skłonni przypisywać wszystko walce o byt i doborowi naturalnemu. W istocie procedura sterowanej ewolucji polegała na stałych, niezwykle precyzyjnych korektach, sztucznie wywoływanych mutacjach, omijaniu ślepych zaułków zoologicznych, jak choćby ten, w który wpadły dinozaury.

Cały proces nie był, rzecz jasna, sztuką dla sztuki. Przybysz miał wyraźną perspektywę, wytyczony cel. Budował dekoracje, samoregulującą się scenę, gromadził rekwizyty i statystów, wszystko po to, aby w odpowiedniej chwili wprowadzić aktora. Nie spieszył się, nie mógł jednak pozwolić sobie na trwonienie czasu. Między kolejnymi aktami twórczymi musiały upłynąć epoki. I wówczas to, a nie, jak powiada Pismo, wyłącznie dnia siódmego — odpoczywał.

Ze wszystkich swoich dotychczasowych doświadczeń mógł wyciągać wniosek, że w kosmosie egzystuje tylko On jeden. Pewnie dlatego nie miał możliwości spytania kogokolwiek, czy jest wieczny i niezmienny. Nawet Jemu trudno byłoby sprawdzić to empirycznie. Więc wolał nie próbować. Przynajmniej dopóki nie stworzy czegoś, choćby mocno niedoskonałego, na obraz Swój i podobieństwo.

Od rana śledztwo ruszyło pełną parą. Docent Krystyniak podjął pieniądze z banku i przy pomocy kierownika produkcji z telewizji, zajmującego się na co dzień tak zwanym dostarczaniem frekwencji dla imprez z publicznością, wynajął kilkunastu wyrostków. Byli bezrobotni, gdyż wiosna się jeszcze nie zaczęła i czas dobrze płatnych zadym i demonstracji prawicy pozaparlamentarnej, które z reguły obsługiwali, nie nadszedł. Każdy z rzutkich młodzieńców otrzymał rysopis i ksero podobizny Alvareza. Mieli za zadanie wypatrywać go w hotelach, restauracjach, bankach i droższych sklepach, czyli wszędzie tam, gdzie mógł się pojawić zasobny cudzoziemiec.

Ponieważ Anna do południa nie zadzwoniła, Złocki odszukał ją na ASP. Gruba warstwa pudru nie była w stanie ukryć siniaków i krwiaka na oku...

— Co ci się stało, Aniu? — jęknął dziennikarz.

— Potknęłam się wczoraj wieczorem — odparła z lekką irytacją.

Juruś nie uwierzył. Dopiero po dłuższej rozmowie Leśniewska rozplakała się i wyznała prawdę: Boguś się wściekł. Poprzedniego dnia przegrał sporo pieniędzy, a dodatkowo wkurzyły go kontakty narzeczonej ze Złockim.

— Nie pozwala mi mieć żadnych znajomych — powiedziała, siąkając w chusteczkę. — Traktuje jak swoją własność!

— Dlaczego się nie zbuntujesz? Dlaczego od niego nie odejdziesz?!

— Odejść od Bogusia? — powiedziała to tak, jakby nigdy coś podobnego nie przyszło jej do głowy.

— A po co on ci właściwie potrzebny?

Zawędrowali do jednej ze staromiejskich kafejek. Zamówili grzane wino z korzeniami. Kelnerka zapaliła świece. W półmroku twarz Anny zdawała się Jerzemu przedziwnym połączeniem bizantyjskiej Madonny i pogańskiej Wenus, syntezą naiwnej niewinności i rozkwitającego grzechu. Czuł, że z każdą chwilą jest bardziej zakochany. I zrozpaczony. Przecież była dla niego za ładna, za młoda... Ileż lat minęło od czasów, kiedy przychodził tu z gromadą kumpli z uniwerku opijając zaliczone kolokwia i seminaria, dyskutować ściszym głosem o polityce i gromko przechwalać się seksualnymi osiągnięciami.

Historia Anny, w odróżnieniu od jej urody, należała do banalnych. Pochodziła z małego miasteczka na Ziemiach Odzyskanych. Bardzo utalentowana, już za pierwszym podejściem zdała na ASP. Niestety pół roku później śmierć ojca, po którym pozostały jedynie długi, postawiła jej studia pod znakiem zapytania. I wtedy pojawił się Boguś. Jej pierwsza licealna miłość. Jej pierwszy grzech. Nigdy nie zapomni, jak kochali się wśród falujących zbóż, pod upalnym niebem lipca, gdy zdawało się jej, że odkrywa raj... A potem szli przez łan żyta ku rzece, spoceni, milczący, połączeni wspólną tajemnicą...

Romans Niestety urwał się, zanim zdołali się lepiej poznać. Bogusia, jak wielu maturzystów z jego rocznika, zagarnęło zachłanne wojsko. I na przedziwnej zasadzie, która każe warszawiakom odbywać służbę w jakimś Trzebiatowie, on, dziecię zapadłej prowincji, został przydzielony do jednostki w pobliżu stolicy. Nie czuł się tam źle. Na listy Ani, gorące od wyznań i grube, dzięki szkicom, które mu posyłała, przyszły wszystkiego trzy zdawkowe pocztówki. Po wojsku starszy szeregowy Boguś nie wrócił do rodzinnego zadupia. Robił interesy, świetnie bawił się w stolicy. O Annie przypominał sobie dopiero, gdy zderzyli się na Krakowskim Przedmieściu, w zimny lutowy poranek.

Jej uczucia ożyły jak pąki bzu po zimowej hibernacji, za to on z miejsca zorientował się, że trafił

na prawdziwy skarb. Pal sześć gotowanie, pranie koszul czy obowiązki narzeczeńskie, Leśniewska okazała się doskonałą lokatą kapitału. Jej buzia podobała się fotografom, nadawała się do reklam. Nie powiodła się wprawdzie próba zrobienia z niej modelki estradowej (miała zbyt duży biust i nieco za szerokie biodra), świetnie natomiast sprawdzała się w każdej pracy wymagającej prezencji połączonej z inwencją. Hostessowała podczas międzynarodowych sympozjów, jej pomysły plastyczne podobały się organizatorom wystaw. Przez moment Boguś miał ochotę zrobić z niej luksusową cali girl. Jednak wstępna próba skłonienia dziewczyny do przespania się z zasobnym Japończykiem stała się powodem ich pierwszej awantury.

Potem było między nimi już tylko gorzej. Boguś, owszem, dostarczał jej chałtur, ale głównie traktował ją jako bezzwrotną kasę zapomogowo-pożyczkową, mieszkał w wynajętym przez nią domu. Pił. Coraz gorzej szło im z seksem. Bardzo trudno w tym często podpitym brutalu, który niedostatki erotycznej finezji rekompensował chamstwem, przychodziło jej rozpoznawać radosnego chłopaka buszującego wraz z nią w zbożu. Ciągle jednak łudziła się, że tamto lato wróci.

— Nie oszukuj się, tylko zerwij z nim — kusił Złocki. Nie znalazła kontrargumentów. Czy miała powtarzać, że Boguś, jaki był, to jednak był, a bez niego czułaby się zupełnie sama, pozbawiona oparcia, wśród zawistnych koleżanek i mężczyzn, którzy na każdym kroku zastanawiali się wyłącznie, jakby ją dmuchnąć.

— Wiem, że moje nadzieje są bezsensowne — mówiła przygaszonym głosem. — Nawet gdyby zdecydował się ze mną ożenić, czy mogłabym zaryzykować z nim dziecko, które gotów byłby postawić na passę lub manque w ferworze gry w ruletkę.

— No tak... — Złocki był o włos od zgłoszenia własnej kandydatury na męża. Powstrzymał się nie dlatego, że wątpił w możliwość zapewnienia Ani godziwego bytu i oparcia. Obawiał się śmieszności. Dziewczyna popatrzy na jego przedwczesną siwiznę, na powiększającą się siateczkę zmarszczek wokół oczu i wybuchnie śmiechem: „Z czym do gości, wujaszku?!” Dlatego urwał. Chwilę trwała cisza.

— Muszę wracać na zajęcia — powiedziała wreszcie Ania.

— Do licha, nie opowiedziałem ci, jakie nowe elementy pojawiły się w sprawie Alvareza. Jeśli teraz nie masz czasu, może byśmy się spotkali wieczorem?

— Wieczorem pracuję nad szyldem dla wypożyczalni sukien ślubnych...

Na ulicy Piwnej drogę zagroził im postawny byczek w bajeranckiej kurtce.

— A gdzie ty się szlajasz, Anka! Mówiłem ci, żebyś olała tego redaktorka.

— Ależ Bogusiu, spotkaliśmy się zupełnie przypadkowo...

— Stul dziób!

Złocki przełknął ślinę i postąpił krok naprzód.

— Zwracam panu uwagę, że mówi pan do kobiety.

— Lepiej zdejmij cyngle, jak ze mną rozmawiasz — warknął Boguś.

Zimny chłód ogarnął naraz Złockiego. Nigdy w życiu nie podniósł na nikogo ręki. W szkole dosyć często służył roślejszym kolegom za worek treningowy, teraz jednak zakiełkowało w nim coś zupełnie odmiennego...

— Jeśli jeszcze raz podniesie pan rękę na Annę, będzie pan miał ze mną do czynienia — wycedził przez zęby.

Boguś nie uderzył go. Pchnął zaledwie w ramię otwartą dłonią. Złocki upadłby, gdyby nie ściana kamieniczki. Głowa huknęła o rynnę.

— Przestań! — krzyknęła Anna.

Naraz, jak spod ziemi pojawiło się dwóch ogolonych na zero osiłków. Jeden podniósł z bruku czapkę dziennikarza, drugi — niby przypadkiem — podciął nogi Bogusia.

— Czy możemy w czymś pomóc, szefie? — zapytał ten od czapki, pomagając Złockiemu wstać. — Mam tego skurwiela powiesić na kolumnie Zygmunta czy wystarczy zrzucić na trasę W-Z?

— Dzie... dziękuję — powiedział Złocki. — Dam sobie radę sam. — Wyciągnął rękę do Bogusia, który leżał wśród końskich odchodów, przebierając kończynami jak przewrócony na grzbiet chrabaszcz. Obaj byli zaskoczeni. Dopiero po chwili dziennikarz przypomniał sobie, że młodzieńców poznał rano podczas zorganizowanego przez Krystyniaka castingu „tropicieli Alvareza”.

— Jak by co, jesteśmy w pobliżu. A Hiszpana wcięło na dobre. Od rana się nigdzie nie pokazał!

— Kto to był? — wykrztusiła Anna.

— Moi ludzie — rzucił niedbałym tonem, godnym szefa rodziny Corleone. Boguś chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował, odwrócił się i odszedł. Złocki odprowadził Annę pod uczelnię. Rozmowa nie kleiła się. Leśniewska wydawała się być nieobecna. Dopiero pod bramą dziewczyna obróciła się i pocałowała Jerzego mocno w policzek.

— Byłeś wspaniały — rzekła.

Do późnego popołudnia młodzieżowi wywiadowcy nie trafili na żaden ślad Alvareza. Hiszpan jakby się zapadł pod ziemię. O zmierzchu Docent zadzwonił do Złockiego i oznajmił tonem nie znośnym sprzeciwu.

— Jedziemy na lotnisko.

— Teraz? Po co?

— Jacques przylatuje wieczornym Air France. Twierdzi, że sprawa zaszła tak daleko, że musi zająć się nią osobiście...

— Jaką sprawą?

— Nie mówił konkretnie. Ale wszystko wyjaśni po przyjeździe.

W hali przylotów dowiedzieli się, że samolot ma piętnastominutowe opóźnienie. Zdążyli więc wypić kawę i stanęli w tłumku oczekujących.

— Czy pan Vitry cię rozpozna?

— W jaki sposób, przecież dotąd kontaktowaliśmy się wyłącznie telefonicznie...

— No to jak dojdzie do spotkania...?

— Spokojna głowa. My go poznamy.

I rzeczywiście, nie było z tym najmniejszych problemów. Jacques Vitry miał niezwykle charakterystyczny wygląd. Mierzył niecały metr. W butach i w kapeluszu.

— Bonsoir cher Robert... Oh, monsieur Złocki, je suis enchanté — wykrzyknął, gdy podeszli do niego. Wielce uradowany wymachiwał rękami, które, gdyby nie kosmate owłosienie, mogłyby uchodzić za łapki dziecka.

— Powiedz temu kurduplowi, że nie mówię po francusku — poprosił Juruś Docenta.

— Ale Jacques mówi po polski jako tako! — ripostował Francuz, a Złocki miał ochotę zapaść się pod ziemię. — Ale nie gniewa się, jak mówią, że jest kurdupel, bo, c'est vrai, jest kurdupel.

Z precyzyjnym określeniem, kim był Jacques Vitry, istniały zawsze kłopoty. Nie mieścił się w schemacie karzełka, a typowego liliputa, znanego z cyrku, przypominał jedynie rozmiarami. Nie miał charakterystycznych proporcji karła — monstrualnej głowy, kaczego chodu czy lilipuciego grymasu. Był harmonijnym małym człowiekiem. Miniaturką francuskiego arystokraty mniej więcej w skali 1:2.

Pochodząc ze znakomitej rodziny, której herbowa przeszłość doskonale współgrała z burżuazyjną terażniejszością, był dzieckiem absolutnie normalnych rodziców, jego siostry bliźniaczki, acz niespecjalnie wysokie (mierzyły po około 165 centymetrów), dzięki swej urodzie błyszczały w salonach i korzystnie powychodziły za mąż. W całej, szeroko rozgałęzionej rodzinie on jeden był odmieńcem. Dlaczego?

Usiłował zgłębić to od dziecka. Separowany od świata przez rodziców, którzy się go wstydzili, żyjąc wśród ksiązek pod opieką zagranicznych guwernerów, miał mnóstwo czasu, by się tym problemem zajmować. Rodzice nie przedstawili mu przekonującej wersji. Matka mówiła o kłątwie, jaką rzuciła na nią odprawiona od progu żebraczka. Niania biała, że w ostatnim miesiącu ciąży pani Vitry zobaczyła jednej nocy krasnoludka buszującego w piwnicy z winami i przerażona chwyciła się za brzuch... Chłopak jednak nie wierzył.

Będąc już całkiem dorosły, wyszperał listy swojego dziadka po kądzieli, Belga, oficera stacjonującego w Kongu. Z nich i innych źródeł wyłoniła się wersja najbardziej prawdopodobna. W roku 1933 dziadek i jego świeżo poślubiona małżonka odbywali inspekcje po wschodnich rubieżach Konga nieopodal Gór Księżycowych. W jej trakcie doszło do przewrócenia łodzi i zaginięcia babci. Uznano ją za zmarłą, ale po trzech miesiącach została odnaleziona przez misjonarzy w wiosce Pigmejów. Młoda kobieta była w fatalnym stanie psychicznym, a mowę odzyskała dopiero po powiciu córki i już do końca życia panicznie bała się małp, małych dzieci i reagowała alergicznie na czarny kolor. Jacques odszukał metrykę matki. Marie Therese urodziła się w pięć miesięcy po cudownym ocaleniu swej rodzicielki. Mając do wyboru możliwość, że jest wnukiem goryla albo Pigmeja, za bardzo prawdopodobną uznał drugą wersję. Nieraz stając nagi przed lustrem, oglądał swe wargi niepospolicie mięsiste, nos płaski... Ciało miał wprawdzie koloru śniętej ryby, ale gęste owłosienie, ustępujące jedynie na przedwczesnej łysinie, wyglądało wysoce niepokojąco. Co najdziwniejsze, matka prezentowała się jak najprawdziwsza Walonka, bez jakichkolwiek domieszek z kongijskiej dżungli.

Zamek w Owernii, tajemnicze pochodzenie i kłopoty z określeniem własnej tożsamości, również seksualnej, w połączeniu z olbrzymią inteligencją i erudycją — wszystko to predestynowało Jacquesa do zajęcia się parapsychologią. Zajął się więc nią i stał światowym ekspertem.

Aby dostać się z Okęcia na drugą stronę Wisły, musieli przedrzeć się przez całe miasto. Vitry'emu z racji postury (i nie tylko) zależało na zacisznym lokum. Krystyniak dokonał więc dla niego rezerwacji w Zajeździe Napoleońskim, znajdującym się w odbudowanym budyńeczku dawnej Karczmy Wawerskiej. Czas przebijania się przez gigantyczny (jak na wieczorną porę) korek na Trasie Łazienkowskiej spożytkowali na zapoznanie Francuza z całością posiadanych informacji. Jacques wysłuchał opowieści po polsku i po francusku, a potem zawyrokował.

— To nie jest jeden problem, tylko co najmniej dwa.

— W jakim sensie? — zapytał Docent.

— Alvarez et cadavre, znaczy trup Alvareza: deux affaires! Dwie sprawy. Albo trzecia, całkiem nowa. W każdym razie c'est complètement incroyable!

— Rozumiem, że wydarzenia w Barcelonie bulwersują cię w mniejszym stopniu? — zapytał Docent.

— Oui, oui, mes amis. Do momentu śmierci Alvareza wszystko układa się logicznie i zrozumiale...

— A to gadanie wieloma językami? Spadający gzyms, który wyzwała efekt „Wieży Babel” — nie wytrzymał Juruś.

— Gzims? Peut-être przypadek. Ale cet monologue? Słyszeliście coś o pamięci genetycznej?

Krystyniak oczywiście shrszał. Wspomniał o licznych dowodach ze świata zwierzęcego świadczących, że coś takiego jest możliwe — o wędrówkach ptaków, o zespołach odruchów dziedziczonych, a nie wyuczonych. No i o tym, że istnieją teorie dopuszczające możliwość genetycznego kodowania doświadczeń gatunkowych.

— Ale to już pogranicze science-fiction — zaznaczył.

— A znacie historię o Poliglocie z Anzere? — spytał Vitry.

Było piękne popołudnie trzeciego maja 1986 roku W szwajcarskiej miejscowości Anzere, położonej wysoko ponad doliną Rodanu, trwała pełnia wiosny. Jednak w wyższych partiach gór utrzymywał się jeszcze śnieg toteż narciarze szaleli na stokach. Turysta Lion Hoffmeister z Kolonii nie jeździł na nartach. Ot, po prostu wyszedł tego dnia z pensjonatu Drei Rosen i pociągnięty nagłym impulsem skierował się do kolejki górskiej. Od paru dni skarżył się na przemęczenie, miał ochotę zaczerpnąć alpejskiego powietrza, wystawić bladą twarz mieszczucha na słońce Ober Alpen. Wprawdzie meteorologowie zapowiadali możliwość burz i opadów, ale nie zwrócił na to uwagi. Zlekceważył również małą, ciemną chmurkę, która nagle precyzyjnie się przełęczą Pass de Rawil i zaczęła rosnać w oczach. Hoffmeister jechał ku szczytom, wpatrując się w uciekające gwałtownie w dół dachy miasteczka. O tej porze był jedynym pasażerem *teleferique*. Ci, którzy mieli ochotę pojechać w góry, zrobili to rano. Nagle rozległ się grom i błyskawica rozdarła niebo, a gwałtowny podmuch wiatru targnął wagonikiem. Lion wstał, żeby zamknąć okienko. I w tym momencie świetlisty konar kolejnej błyskawicy sięgnął kolejki. Raptowne szarpnięcie. Wagonik stanął, otworzyły się drzwi, a nieprzytomny turysta wyleciał na zewnątrz...

Odnaleziono go po dwóch godzinach w zaspie. Był pogrążony w stanie śmierci klinicznej. Lekarze dawali najwyżej pięć procent szans na wyzdrowienie. Ale przeżył. Długo nie odzyskiwał świadomości. Bredził, majaczył, gadał najrozmaitszymi językami. Specjaliści czuwający obok jego łóżka w klinice w Sion odnosili wrażenie, że momentami w malignie wydaje mu się, iż jest swoim ojcem, austriackim Żydem, a kiedy indziej czeską babką lub węgierską prababką, a niekiedy awarskim wojownikiem z VIII wieku. Wyglądało na to, że w pamięci Hoffmeistera kołaczą się wspomnienia całej linii genealogicznej sięgającej nieprawdopodobnie głęboko.

Wiadomości o niezwykłym przypadku rozeszły się szybko. Do kantonu Valais zjechało kilkunastu fachowców, lekarzy i językoznawców. Połowa po zapoznaniu się z pacjentem stwierdziła, że to mistyfikacja, ale najwybitniejszy lingwista z Budapesztu utrzymywał, że nikt współcześnie nie jest w stanie nauczyć się awarskiego, tak jak Hoffmeister. Tymczasem pewnego dnia pacjent odzyskał przytomność.

Ci, którzy wiele sobie obiecywali po rozmowie z przebudzonym Lionem, zawiedli się srodze. „Poliglota z Anzere” nie pamiętał niczego. Oprócz niemieckiego władał średnio angielskim. Nie miał wspomnień z czasu swojej nirwany. Cały okres od chwili, gdy wstał zamknąć okienko kolejki, aż do przebudzenia jawił mu się jako tabula rasa. Przyznał, że babka była Czeszką, a jedna z prababek Węgierką... Ale to tylko jeszcze bardziej pogłębiło dezorientację naukowców.

Dużo sobie obiecywano po wizycie hipnotyzera, który miał spenetrować zamknięte przestrzenie mózgu pacjenta. Niestety. Przed południem piętnastego lipca wracający do sił Hoffmeister wybrał się na krótki spacer w towarzystwie pielęgniarki. Widziano go koło jedenastej w pobliżu miejscowego zamku, jak rozmawiał ze starszym turystą o orientalnym wyglądzie. Potem zniknął. Na ciało pielęgniarki natknięto się w krzakach wśród skał. „Zmarła wskutek nagłego zatrzymania się pracy serca” — zgodnie orzekli lekarze. Na ciele dziewczyny nie znaleziono najmniejszych śladów

przemocy. Pielęgniarka jednak nigdy nie chorowała na serce i cieszyła się opinią znakomitej sportsmenki. Na ślad Hoffmeistera nigdy nie natrafiono. Mimo starań policji i licznych apeli — nie odnaleziono także tajemniczego Azjaty. Nie udało się też ustalić jego tożsamości...

— Ciekawa analogia — zgodził się Krystyniak. — Zatem sądzisz, że nasz Alvarez to kolejny przykład przypadkowego odblokowania pamięci genetycznej?

— Niewykluczone.

— Mnie interesowałoby coś innego — wtrącił się Jerzy. — Czy jest możliwe, że my wszyscy nosimy w sobie potencjalną pamięć przeszłości?

— Nie udało się dotąd tego potwierdzić naukowo — westchnął Vitry.

— A paranaukowo, przy pomocy hipnozy, telepatii?

— Szczerze powiem, nie. Były próby, dotąd nieudane. Pour moi, znaczy, dla mnie coś takiego jest możliwe. Nie mam jednak pojęcia, czy dotyczy to wszystkich osobników, czy tylko obdarzonych szczególnymi predyspozycjami. Nie wiemy też, jak takie odblokowanie mogłoby się odbywać. Trudno przecież powtórzyć z żywym człowiekiem przygodę Hoffmeistera w kolejce. C'est impossible.

— A czy zauważasz więcej podobieństw między Hoffmeisterem a Alvarezem? — zapytał Krystyniak.

— Naturellement!

— Chcesz powiedzieć, że dwudziestego dziewiątego lutego w Barcelonie zdarzyło się coś, co mogło wywołać odblokowanie pamięci? Mów po francusku, przetłumaczę Jurkowi.

— O oui! Jeszcze wczoraj, bezpośrednio po pierwszym sygnale od detektywa Ramona, przy pomocy moich hiszpańskich przyjaciół prześledziłem ostatni dzień pracy naszego bankowca. Okazało się, że tuż przed końcem urzędowania przyszedł nowy klient, nie posiadający dotąd konta w Banku Katalońskim. Podeszedł prosto do stanowiska Alvareza. Z tego, co wiem, nie przeprowadził żadnej transakcji. Nikt nie słyszał, czy i o czym rozmawiali.

— Więc co się zdarzyło?

— Sprzątaczką zauważyła po zamknięciu kas. Juan Portillo zrobił w spodnie.

— Co takiego? — wykrzyknęli obaj Polacy.

— Zsikał się po prostu. Natychmiast po zniknięciu okienka pobiegł do łazienki, a potem jako pierwszy nałożył płaszcz.

— A ten klient, wiedzą coś o nim?

— Na szczęście zarejestrowała go jedna z kamer. Jak wchodzi i jak zbliża się do stanowiska Alvareza.

— I kto to był?

— Siwy, bardzo stary Chińczyk.

— Ustalono jego personalia?

— Tak. Sam je ustaliłem. Miałem jego zdjęcie w komputerze.

— Ale skąd...?

— Posiadam zdjęcia wszystkich członków Światowej Federacji Towarzystw Parapsychologicznych.

— A więc kolega po fachu?

— Niezupełnie, pan James Lee Mingh, lat osiemdziesiąt osiem, emerytowany nauczyciel z Los Angeles, był, jak to się mówi, członkiem nieaktywnym. Deklaracje wypełnił trzydzieści lat temu, płacił składki i na bieżąco otrzymywał naszą prasę i serwisy, ale kompletnie się nie udzielał. Nie uczestniczył w sympozjach, kongresach, zjazdach, niczego nie publikował, nie wygłaszał żadnych prelekcji.

— Ale dotarłeś do niego?

— Zadzwoiłem na numer domowy w Kalifornii, automatyczna sekretarka powtarza jak papuga, że pan Lee Mingh aktualnie przebywa w podróży po Europie.

— Może więc to tylko zbieg okoliczności.

— Może. Ale szczególnym trafem jutro w południe, jeśli rezerwacja w Air France jest prawdziwa, pan Jimmy Lee Mingh przylatuje do Warszawy.

Naradę zakończyli koło jedenastej. Umówili się, że na rano zmontują ekipę do śledzenia starego Chińczyka.

— Intuicja podpowiada mi, że może on być postacią kluczową w całej historii — zakończył Vitry.

— Ten staruszek żółtek? — Złocki nie próbował nawet ukryć podniecenia. — Ciekawe, co go tu może sprowadzać. Czyżby też zainteresował go casus Alvareza.

— Najistotniejsze, żeby w Warszawie sięść mu na ogonie i nie spuszczać z oka — powiedział Docent.

— C'est vrai!

— Postaram się to załatwić — zobowiązał się Złocki. Potem zostawił obu intelektualistów w Zajeździe Napoleońskim, a sam wrócił do domu, ciekaw, czy i u siebie nie znajdzie czegoś interesującego nagranego na automatyczną sekretarkę.

Na dole zderzył się z dozorczynią, która mimo późnej pory zamiatała schody.

— Dałam klucz do pańskiego mieszkania pana siostrze — powiedziała. — Bile cztery godziny temu. Mam nadzieję, że dobrze zrobiłam.

— Dobrze, dobrze — wymamrotał zmęczony dziennikarz i dopiero dochodząc do drzwi, uświadomił sobie, że nigdy nie miał siostry.

4. Mieszkanko za Żelazną Bramą

Jak następują kolejno zmierzch i poranek, tak i On wpisał się w rytm aktywności i wypoczynku. Po każdym okresie tworzenia pogrążał się w hibernacji. Zamykając się w Sobie, odpływał w niebyt. Tego wymagała autoregeneracja. Poza tym na efekty trzeba było dość długo czekać, a nawet Jemu nieobce było uczucie nudy. Miliony lat przelatowały jak ogon komety. I znowu budził się, aby konfrontować wynik z oczekiwaniami. Jakże często zauważał, że sprawy poszły w złym kierunku. Zaiste, było coś w materii białkowej, co musiał nazywać marginesem błędu, coś, co stając się ową skazą na kryształach, wymykało się jego woli i prowadziło niejednokrotnie do rezultatów przeciwnych do zamierzonych. Przykładem choćby los dinozaurów. Był czas, kiedy zamierzał uczynić ich panami Ziemi. Rozważał powiększenie ich inteligencji. Ale (jak pierwsi twórcy komputerów) nie umiał jeszcze stworzyć odpowiednio zminiaturyzowanych mózgów w ograniczonej rozmiarach mózgowaszcze. Zachwianie proporcji konstrukcyjnych i dotarcie do granic możliwości rozwojowych spowodowały, że musiał od tego pomysłu odstąpić. Później niejednokrotnie zastanawiał się, jaką cywilizację mógłby stworzyć obdarzony superinteligencją tyrannosaurus rex.

I dlatego, mimo iż kochał wszystkie swoje dzieci, z bólem zdecydował się na eliminację całej wielkogadziej populacji.

Prace posunął naprzód dopiero wynalazek ciepłokrwistości i kolejne doświadczenia na ssakach. Kreator dłuższy czas zastanawiał się, co powinno być żywiołem naczelnej białkowej istoty myślącej. Ziemia, woda, powietrze?

I który z maleńkich zrazu prassaków wykazuje największe predyspozycje do roli pana planety? Brane były pod uwagę: delfiny, znakomicie dające sobie radę z awiacją nietoperze, ale również ograniczone w swych możliwościach wyłącznie do lądu stałego prassaki, po ewolucyjnych modyfikacjach zdolne do posługiwania się narzędziami. Wybrał trzecią ewentualność i rozpoczął na nowo genetyczne układanki.

Na zawsze w Jego pamięci pozostanie chwila, gdy udało mu się wyhodować zdolną do rozmnażania pramałpiatkę. Zwierzątko miało rozmiary nastroszonej wrony, zerkąło na Przybysza bystrymi paciorkowatymi oczami.

— Jeszcze parę milionów lat, jeszcze parę milionów lat, moja mała, a pojawią się tu istoty, które nie będą się chciały przyznać do pokrewieństwa z taką kuzynką jak ty.

W pierwszej chwili Jerzemu wydało się, że wszedł do cudzego mieszkania. W drugiej jego serce skoczyło jak szalone: Agnieszka wróciła z Werony! W trzeciej uzmysłowił sobie nieprawdopodobieństwo tej wersji! Dzięki ciotce utrzymującej kontakty z jego eks-małążką wiedział doskonale, że wraz z Yittoriem przebywają na południu Wioch, czekając, aż nadejdzie Prima Vera Siciliana albo znudzi się im przedmałżeński okres miodowy. Więc co tu się stało? Z bijącym sercem omiótł wzrokiem cały pokój. Sterty gazet zniknęły, książki w pozycji na baczość stały na półkach jak subordynowani piechurzy w szyku. Kuchnia lśniła blaskiem gwiazdy supernowej, a w sypialni świeżo powleczone pościel aż pachniała.

— Kto tu się zjawił? Królowa Śnieżka? W takim razie gdzie się podziała?

Zajrzał do łazienki. Jej czystość go poraziła, ale nie znalazł tam nikogo. Skierował swoje kroki do najmniejszego z pokoi. Kiedyś, bardzo dawno temu, zanim Agnieszka poroniła, przeznaczyli go dla dziecka. Później Złocki urządził tam graciarnię. Delikatnie uchylił drzwi. Graciarnia również wyglądała na uporządkowaną. W tym jednak momencie cała jego uwaga skupiła się na starej kozetce. Zupełnie słusznie. Na niej, w smudze światła dostrzegł przykrytą kocem Śpiącą Królową. Podparłszy buzię piąstką jak małe dziecko, Anna Leśniewska spała grzecznie, tajemniczo uśmiechając się przez sen.

I co teraz? Co dziewczyna chciała powiedzieć, przychodząc do niego i sprzątając mu mieszkanie? Jak powinien się zachować? Bezzwłocznie wskoczyć pod kocyk?

Burza pomysłów przeleciała przez głowę redaktora. Żaden jednak nie wydał mu się odpowiedni. Zwłaszcza, że parokrotnie już przedwczesnym działaniem spalił stuprocentową sytuację. Tym razem postanowił nie popełnić błędu, cofnął się, zamknął za sobą drzwi. I siadł do komputera zapisać wrażenia minionego dnia.

Dziewiątego marca Złocki po raz pierwszy od dość dawna obudził się bez kaca. Dochodziła ósma trzydzieści. Jego nozdrza podniecił aromatyczny zapach świeżo parzonej kawy. Całkowicie rozbudzona śpiąca Królowna zwinnie i prawie bezszelestnie poruszała się po mieszkaniu, ubrana w dres należący kiedyś do Agnieszki.

— Dzień dobry — powiedział.

— Dzień dobry — odpowiedziała Anna. — Mam nadzieję, że nie będziesz się złościł za ten numer z siostrą. Musiałam się jakoś dostać do twojego mieszkania. Poza tym, chyba zauważyłeś, starałam się solidnie zapracować na nocleg.

— Zauważyłem i jestem po prostu zachwycony. Tylko jak doszło do tak nagłej decyzji?

— Posłuchałam twojej rady. Zerwałam z Bogdanem!

— Świetnie! A jak on na to zareagował?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Zostawiłam mu list pożegnalny i mieszkanie zapłacone do czerwca... Jutro rozejrzę się za nowym lokum. Wczoraj nie miałam gdzie się podziać, myślałam, że cię zastanę, więc pozwoliłam sobie...

— Nie ma sprawy, czuj się jak u siebie!

— Zjesz śniadanie? Byłam już w sklepie, przyniosłam bułeczki i gazety. Ja się przez ten czas przebiorę...

— A nie mogłabyś usiąść razem ze mną? Strasznie dawno nie jadłem z kimś śniadania.

— Dobrze, tylko się trochę spieszę. Obiecałam Magdzie, że pomogę jej przy organizacji wernisażu, no i jeszcze trzeba przygotować dekoracje do nowej premiery w kinie Capitol...

— Obawiam się, że te sprawy będą musiały poczekać, mamy z Docentem dla ciebie zupełnie inne odpowiedzialne i dobrze płatne zadanie.

— Związane z Alvarezem? — ożywiła się.

— W pewnym sensie. Będziemy potrzebowali bystrej kobiety–detektywa. Jeśli się zgodzisz...

— Już się zgadzam, tylko kogo mam śledzić?

Kiedy zabrała się za smarowanie bułeczek, opowiedział jej o Tajemniczym Starym Chińczyku.

Około dziesiątej, gdy Juruś poważnie rozważał, czy nadszedł już czas porwać Królownę w

ramiona (oczywiście wyłącznie w podzięce za śniadanie), do drzwi zaskrobał Docent Krystyniak.

— Wszystko przygotowane — powiedział, nerwowo zacierając dłonie. — Nadeszły też nowe informacje z Paryża. Pomożesz mi to przenieść? — wskazał stojącą za nim ogromną walizę, a dostrzegłszy Annę, dorzucił: — U ciebie też, zdaje się, sporo nowości.

Z największym wysiłkiem wtoczyli kufer do wnętrza.

— Widzę, że przyniósł pan informacje wielkiej wagi — powiedziała Leśniewska. Zignorował żart.

— Przyjaciel Jacquesa namierzył w Air France numer karty kredytowej Chińczyka.

— I co z tego? Już wczoraj wiedzieliśmy, że przylatuje do Warszawy.

— Vitry twierdzi, że zna hakera dysponującego kodem dostępu Sûreté i ten włamał się do banku danych American Express, chociaż podobno, jak zapewniają bankowcy, jest to wykluczone. W każdym razie udało mu się prześledzić, idąc szlakiem wypłat z karty kredytowej, całą marszrutę Lee Mingha po Europie. Nie macie pojęcia, jaką ruchliwość wykazuje ten wiekowy Chińczyk. Dwudziestego szóstego przyleciał ze Stanów do Monachium. Dwudziestego siódmego był w Wiedniu, dwudziestego ósmego w Mediolanie, dwudziestego dziewiątego, jak wiemy, w Barcelonie, pierwszego marca odwiedził Londyn, stąd niezwłocznie przemieścił się do Zurychu, gdzie zabawił dwa dni. Czwartego, a więc w momencie śmierci Alvareza przebywał w Pradze, skąd udał się do Moskwy. Szóstego przebywał po parę godzin w Sztokholmie i Brukseli, a wczorajszy dzień spędził w Paryżu... Specjalnie się nie krył. Podróżował pod własnym nazwiskiem. Widocznie jest bardzo pewny siebie.

— Oszłamiające tempo jak na leciwego turystę. Domyślacie się, czego szuka? — dopytywał się Złocki.

— To właśnie musimy wyjaśnić. Zachowuje się, jakby przygotowywał wielką międzynarodową operację. — Krystyniak z sapnięciem przesunął kufer i siadł przy stole. — Dajcie chociaż łyżeczek kawy. Zmordowałem się.

— Widzę, że pan Vitry wtrynił ci robotę i obciążył taką walizą, a sam odpoczywa.

— Mais non — dobiegł ich zduszony głos. — Wcale nie odpoczywa, tylko siedzi w walizce. Pour trening!

Rozpatrzone zostały wszystkie warianty planu. Wyglądał dość dobrze. Złocki obawiał się wprawdzie, że kufer z psychotronikiem nie zmieści się w niewielkim bagażniku cinquecenta.

— Pas probleme! — uspokoił go Jacques, a Krystyniak dodał: — W „Rent a car” wynajęliśmy dwa wozy, mercedesa i golfa. Wszyscy’ weźmiemy radiotelefony, które przywiozłem z Paryża, i jeśli tylko będziemy postępować według planu...

— Ale dlaczego pan Vitry zdecydował się podróżować w kufrze. Czy to może agorafobia? — dopytywała się Anna.

— Od pewnego czasu mam wrażenie, że jestem śledzony. I wolałbym, żeby nie łączono mnie z wami. Poza tym mam opracowany świetny patent inwigilacyjny: „La methode avec le sac”.

Mieszkanie Złockiego opuścili o dziesiątej piętnaście. Jerzy wsiadł do mercedesa, w którym umieścili kufer. Anna ruszyła cinquecento, a Krystyniak golfem, który właśnie podstawiono pod dom. Docent odczuwał lekką treść. Od czasu, kiedy przed rokiem jego trabant rozkraczył się na torach w rejonie Ząbek i został rozjechany na miazgę przez osobowy do Terespola, nie siedział za kółkiem. Teraz nie miał wyjścia. Wymienili ostatnie uwagi i ruszyli. Upłynęło paręnaście sekund. Zza śmietnika vis-à-vis okien mieszkania Złockiego wyłonił się młody człowiek w bajeranckiej kurtce, rozejrzał uważnie i pobiegł do zaparkowanego w bocznej uliczce samochodu. Przystojną twarz pokrywał dwudniowy zarost. Całą noc przesiedział w pożyczonej od kumpla skodzie. Był wściekły, ale spokojny. Anna zrobiła mu numer. Nie miał zamiaru puścić jej tego płazem.

Kiedy samolot Air France dotknął kołami płyty lotniska na Okęciu, wszystko było zapięte na ostatni guzik. Anna spacerowała po hali odlotów, Krystyniak czatował przy wyjeździe z parkingów, gotów siąść na ogonie taksówki wynajętej przez Lee Mingha. Przy pomniku Lotnika do śledzenia poczynań egzotycznego gościa miał się włączyć Złocki. Planował towarzyszyć Azjacie aż do hotelu. Tam Jacques zamierzał wypróbować trick z walizką... Za odpowiednią opłatą boy hotelowy miał wnieść kufer z Francuzikiem do pokoju Starego Chińczyka.

— To prymitywny, ale i najprostszy sposób inwigilacji — tłumaczył Vitry. — Walizka wstawiona do szafy długo nie powinna zwrócić niczyjej uwagi. Dobrze zamaskowane otwory umożliwią mi oddychanie, a wstrzymywać się z sikaniem potrafię nawet dwadzieścia cztery godziny.

— A jak Lee Mingh zobaczy, że to nie jego bagaż i zechce otworzyć kufer? — dopytywał się Złocki.

— Mam ze sobą pojemnik avec gaz!

Leśniewskiej, spacerującej po hali przylotów, z emocji wystąpiły wypieki na twarzy, co uczyniło dziewczynę jeszcze piękniejszą. Historia, w którą wciągnął ją przypadek, stawała się coraz bardziej fascynująca. Tymczasem lustrzane drzwi komory celnej wypluły kolejną grupę podróżnych. Dziewczyna od razu dostrzegła Chińczyka. Nosił jasny kożuszek i futrzaną czapę. Była to rozsądna zapobiegliwość: do Polski po paru cieplejszych dniach wróciła fala mrozów.

Nikt nie powitał staruszka. Ale i on nie wypatrywał chyba nikogo. Szparkim krokiem wyminął grupkę nagabujących go taksówkarzy, przeszedł przez hol i skierował się ku wyjściu. Anna ruszyła za nim, zachowując ostrożny dystans. Czyżby Lee Mingh zamierzał dostać się do centrum zwyczajnym autobusem?

Azjata wyszedł na mroźne powietrze, stanął przy krawężniku. Prawie natychmiast na podjeździe pojawiło się białe BMW z charakterystycznym ciemnym spoilerem. Otworzyły się drzwi oraz klapa bagażnika. Wyskoczył kierowca i bez słowa pochylił się po sakwojaż przybysza. Elektryczny wstrząs przeszył Annę na wskroś. Poznała natychmiast tego człowieka. Dobrze wrył się jej w pamięć, leżąc na chodniku o trzy kroki od witryny.

Gdy BMW ruszyło, połączyła się z Docentem i Złockim.

— Uważajcie na białe BMW z czarnym spoilerem. Prowadzi je Alvarez.

— Co?! — wykrzyknęli równocześnie.

— To, co słyszeliście, nasz hiszpański zombi. Lecę na parking i jadę za nim.

Docent włączył się do ruchu. Dwa wozy za BMW Juana Portillo i utrzymywał ten dystans. Śledzeni

zapewne nie mieli pojęcia, że ktokolwiek podąży za nimi; jechali rozważnie, nie próbując przekraczać dozwolonej szybkości. Na ulicy Wawelskiej Krystyniak wpuścił przed siebie mercedesa Złockiego, a sam został w tyle. Przy gmachu Głównego Urzędu Statystycznego obserwowany obiekt skręcił w aleję Niepodległości, kierując się ku wieżowcom centrum. Wbrew jednak oczekiwaniom, Alvarez nie zawitał ani do Mariotta, ani do hotelu Sobieski, nie skusił go przysadzisty Holliday Inn ani kameralny Mercure. Z alei Jana Pawła II skręcił w Grzybowską i zatrzymał się pod jednym z porażających swą brzydotą prostopadłościanów osiedla Za Żelazną Bramą.

— Co teraz? Oni wysiadają! — rzucił Złocki do Jacquesa Vitry’ego.

— Złóż siedzenie — usłyszał w odpowiedzi. — Przejdę do ciebie.

Wypełnił polecenie. Karzełek szybko wygramolił się z walizki i pogonił truchcikiem za śledzonymi. Złocki, widząc jego przebranie, omal nie parsknął śmiechem.

Kiedy podążający wolno Chińczyk i niosący jego bagaże Alvarez znaleźli się w budynku, Hiszpan nie bawił się w naciskanie guzików domofonu, tylko otworzył drzwi własnym kluczem. Wszedł na przedwindzie. Ani on, ani jego azjatycki towarzysz nie zwrócili uwagi na małą piegowatą dziewczynkę, zakutaną w szalik i kaptur, która wślizgnęła się za nimi do holu. Cała trójka weszła do brudnej windy, o ścianach poprzipiekanych niedopałkami.

— Tenth floor — przerwał milczenie Alvarez i nacisnął przycisk. Vitry wspiął się na paluszki i łapką ukrytą w rękawiczce z jednym palcem wcisnął dziewiątkę.

— Lokal sprawdzony? — zapytał po angielsku Chińczyk.

— Yes — odparł Alvarez i dorzucił coś po aramejsku.

Na dziewiątym Jacques wysiadł, a potem co sił w nóżkach pogonił piętro wyżej. Zdołał jeszcze zobaczyć, jak cudzoziemcy wschodzą w długi korytarz biegnący na przestrzał mrówkowca. Potem ich kroki ucichły, zgrzytnęły klucze, skrzypnęły drzwi. Gdy się zamykały, Francuz wyjrzał na korytarz, przeliczając kroki na metry.

— Są w apartamencie 1015 — zameldował przez walkie-talkie.

— Zjeżdżaj na dół i otwórz drzwi Annie — dobiegł go głos Krystyniaka. — Mamy pewien pomysł.

Podczas zjazdu nie obyło się bez drobnego incydentu. Na siódmym wsiadła starsza, gruba niewiasta. Przez chwilę podejrzliwie przyglądała się przebranemu Jacquesowi.

— Dziewczynki w twoim wieku nie powinny samodzielnie użytkować dźwigu! — pouczyła.

Pieprz się babo!, zaklął w duchu francuski psychotronik.

Wykonawczynią kolejnej fazy planu o nazwie „Zdobycie przyczółka” została Annette, jak zaczął ją nazywać Vitry.

Złockiemu spodobała się francuska odmiana imienia ukochanej. Brzmiała tak miękko, tak słodko. I modnie kojarzyła się z wejściem do Zjednoczonej Europy.

Według danych z tablicy ogłoszeń sąsiadami lokalu 1015 byli Malinowscy z prawej, a Pawlakowie z lewej. Annette wybrała prawicę.

Dzwonek. Lekko uchylające się drzwi. Skrzeczący głos.

— Słucham!

— Pan Malinowski?

— I co z tego?

— Reprezentuję Browar Warecki. Nasza firma... — Drzwi zaczęły się zamykać, toteż rzuciła krótko: — Wygrał pan nagrodę!

— Ja? — Szczelina znów się poszerzyła. — Jaką nagrodę?

— Piękną nagrodę dla pana i całej pańskiej rodziny.

— Mieszkamy tu jedynie z żoną... Co to jest?

— Dwuosobowy tygodniowy pobyt w jednym ze stołecznych hoteli.

— Eee... co mi tam, mam gdzie mieszkać.

— Ale z kompletnym wyżywieniem!

— Od kiedy? — pod pachą Malinowskiego pojawiła się chuda, jakby spreparowana przez Papuasów główka pani Malinowskiej.

— Od dziś.

— Od dziś to nas nie interesuje! Idziemy z wizytą do księdza.

— Chciałam jednak zaznaczyć, że ci z wygranych, którzy przyjmą pierwszą część nagrody, uczestniczą w losowaniu drugiej. A będzie nią okrągły miliard...

— Proszę niech pani wejdzie, przecież nie będziemy rozmawiać na korytarzu — staruch

całkowicie się rozchmurzył. — Gość w dom, Bóg w dom.

Czas był ku temu najwyższy. Kątem oka Leśniewska zobaczyła, jak otwierają się drzwi u sąsiadów. Przystąpiła próg, unikając skrzyżowania spojrzeń z Alvarezem. Hiszpan pożegnał się z Chińczykiem bez słowa i pomaszerował do windy. Anna miała nadzieję, że jej partnerzy czuwający na dole nie przegapią wyjścia Juana Portillo i któryś ruszy jego tropem. W istocie, zauważyli go natychmiast.

— Jadę za nim — zdecydował Krystyniak, ty ubezpieczaj Annę.

Alvarez zapalił silnik BMW. Docent chciał pójść w jego ślady. Niestety, mimo kilkakrotnego piłowania rozrusznika niezawodny golf nie zaskakiwał.

— Zaczarował mi go, czy jak? Nadbiegł Złocki.

— Zostań tu, ja za nim pojedę! — zawołał, otwierając drzwiczki swojego wozu. Wóz Hiszpana już włączał się do ruchu.

Ale i mercedes zachowywał się identycznie. Jakiś strajk solidarnościowy? Na bezskutecznych próbach zeszła dobra minuta. I nagle oba silniki zagrały równo, spokojnie, pewnie. Tyle że po Alvarezie nie było już śladu.

— Musiały zawieść nas nerwy — ocenił Docent — ale żeby obu równocześnie?

— Telekinetyczne oddziaływanie na urządzenie mechaniczne nie jest wprawdzie częste, ale wedle teorii Gusjewa–Schumachera niewykluczone — zapiszczał z tylnego siedzenia Vitry, ściągając perukę.

Tymczasem pertraktacje w lokalu 1016 postępowały w dobrym kierunku. Malinowski był wniebowzięty. Jego małżonka wszakże pozostała czujna.

— A za co właściwie mamy tę nagrodę?

— Losowo wybrano państwa spośród konsumentów piwa „Mieszko II”.

— Ale my nie pijamy piwa. Nie zbieraliśmy nigdy żadnych kapsli... Więc jak?

— Picie przy nowoczesnej promocji nie odgrywa żadnego znaczenia. Komputer wylosował państwa ze spisu wyborców.

— A, chyba że tak — mruknął Malinowski. Anna zarejestrowała ich porozumiewawcze spojrzenia i wyczytała w nich: „A widzisz, jak dobrze, że głosowaliśmy na Kwaśniewskiego!”

— Tylko co będzie z Kajtkiem? Z naszym kanarkiem. Czy możemy zabrać go do hotelu? — zapytała gospodyni, licząc że uda się jeszcze coś wytargować.

— Wzięcie ptaka do hotelu niestety nie jest możliwe, ale jeśli państwo wyrażą zgodę, nasz

pracownik będzie przychodził dwa razy dziennie go karmić. I jeszcze dodatkowo podleje kwiaty.

W dwie godziny było po problemie. Państwo Malinowscy zostali zakwaterowani w hotelu Nowa Szmulowizna (najtańsza oferta — jedyńka przerobiona na dwójkę z piętrowym łóżkiem), gdzie mieli czekać na wynik losowania. Natomiast amatorska grupa śledcza ulokowała się w ich mieszkanku. W pierwszej kolejności wypuszczono za okno kanarka, bo jego świergot dekoncentrował Jacquesa i Docenta.

— Odkupi się dwie sztuki po skończonej operacji i powie, że Kajtek się samorzutnie rozmnożył — stwierdził Krystyniak. Potem przygotowano stanowiska obserwacyjne. Judasz miał zapewnić podgląd korytarza. Lusterko na kiju pozwalało zajrzeć w głąb sąsiedniego lokalu. Wydłubanie niechlujnie zalanego gipsu przy rurach w łazience umożliwiało, choć w ograniczonym stopniu, podsłuch.

— Gdy tylko Lee Mingh opuści mieszkanie, spróbujemy wsadzić tam pluskwę — obiecywał Francuz.

Na razie nic się nie działo. Odgłosy z łazienki wskazywały, że starszy pan po załatwieniu potrzeb fizjologicznych wrzucił zęby do szklanki i uciął sobie popołudniową drzemkę. Na „Przyczółku Malinowskim” powiało nudą.

5. Seks i inwigilacja

Wyobraźmy sobie tę chwilę dziwnie osobliwą. Upalny dzień, zenitalne snopy słonecznego światła przebijające się przez piętra zieleni, zapach wpółomdlałych z żaru orchidei, brzęk złocistych pszczoł unoszących się nad kielichami kwiatów, a wyżej, wśród koron drzew, pokrzykiwanie rajskich ptaków — uwertura.

Grupa małpoludów, nieświadoma nadejścia historycznego momentu, żeruje nad rzeką, leniwie rozlaną, wśród galeriowego lasu, pełną łach i pływacz. Akurat parka młodych, pokryta znacznie słabszym owłosieniem niż reszta pobratymców, o postawie w większym stopniu niż u innych wyprostowanej, oddaliła się od stada. Figlują przy brzegu, chlapiąc się strugami przejrzystej wody. Ona posyła mu kokieterijne sygnały, których znaczenia on, niedorostek jeszcze, nie w pełni pojmuje.

Kreator ukryty wewnątrz kręgu niewidzialności obserwował te pierwociny zalotów. Słuchał beztroskiego chichotu młodych i z radością konstatował, że nie brzmi on wcale małpio. Zapewne nikt ze stada nie zwrócił uwagi na widoczne gołym okiem seryjne numery wytatuowane na pośladkach. Seria 2789/11 — egz. A. & E. Twórca miał nadzieję, że tym razem chromosomy ułożyły się właściwie. Może wreszcie powstała ta nowa jakość, której poszukiwał podczas tysiącletnich prób.

Zapragnął się im pokazać. Ciekaw był reakcji. Przez chwilę rozważał wybór formy dla Siebie. Ci młodzi nie byli przygotowani na zobaczenie go, jakim był. Rozważył warianty Słupa Ognia i Postaci z Mgły i odrzucił oba. Nie miał powodu przerażać tych dzieciaków. Z kolei nie uśmiechało się Mu wyjść w postaci zwierzęcej. Rzecz jasna bez trudu mógł przybrać kształty dowolnego czworonoga — Choćby słonia albo lwa. Ale czy to już na wstępie nie popchnęłoby ich kontaktów w niewłaściwym kierunku? Wybrał inne rozwiązanie, wyobraził ich sobie w wieku podeszłym i przekształcił się na ten obraz i podobieństwo. Po chwili wyszedł z gęstwy jako starszy, ale jeszcze dziarski mężczyzna, z siwą brodą, i ruszył ku młodym hominidom.

Zobaczyli go dopiero, gdy znalazł się o parę kroków od nich. Młody samiec zawahał się. Ciekawość walczyła z chęcią rzucenia się do ucieczki. Samica okazała się odważniejsza. Upadła na kolana. Przez chwilę mozolnie składała usta, a potem z jej warg wyszedł śpiewny dźwięk:

— Tia–tia, tia–tia...

Przybysz poczuł nieprawdopodobne ciepło rozlewające się po całym jestestwie. Na tę chwilę czekał długo. A ponieważ miał wrażenie, że istniał zawsze, więc pewnie i czekał od zawsze.

A więc jestem Ojcem, pomyślał. Nareszcie jestem Ojcem.

Po ustaleniu grafiku dyżurów (do godziny dziewiętnastej w mieszkaniu Malinowskich miała czuwać panna Leśniewska, potem na sześć godzin zobowiązał się zmienić ją Docent, a od pierwszej do siódmej rano przypadała kolej na Jurusia) Złocki z przyzwyczajenia zajrzał do redakcji. Wprowadzie jeszcze poprzedniego dnia wystąpił o zaległy urlop i nie miał nic do roboty, jednak kiedy znalazł się na ulicy, nogi same zaniósły go do siedziby „Najświeższego Wydania”.

— Był telefon do ciebie — poinformowała go reportażystka społeczna Gosia, nazywana Myszką, z którą od ponad roku dzielił biurko, a czasami, po redakcyjnych popijawach, również inne sprzęty.

— A kto dzwonił?

— Jakiś Grzyb czy inna Huba. Powiedział, że o czwartej możesz spotkać go na Rozdrożu.

Podinspektor Franciszek Huba w czasach, gdy był tylko małym Frankiem, należał do najbliższych kolegów młodego Złockiego. Razem tłukli w piłkę, łapali chrabąszcze, rozpijali pierwsze alpigi, chodzili puszczać latające modele i obserwować samoloty na lotnisku grochowskim. W jakiś sposób uzupełniali się, Huba miał sprawne górne kończyny i żyłkę majsterkowicza, Złocki szalone pomysły i dwie lewe ręce. Do szczytowych osiągnięć tandemu należało wystrzelenie w kosmos, wewnątrz rakiety skonstruowanej przez Hubę z rury od piecyka, kota babci Złockiej. Franek twierdził, że po osiągnięciu pierwszej prędkości kosmicznej kot wszedł na orbitę i pozostanie na niej na zawsze. Kot nie wrócił i tej hipotezy nie zdementował.

Innym ich sukcesem pirotechnicznym było wysadzenie w powietrze sławojki sąsiadki, pani Kropidłowskiej, za pomocą prochu dymnego — receptę znalazł Juruś w starym podręczniku. Efekt przerósł wszelkie oczekiwania. Fekalia pięciu pokoleń rodziny Kropidłowskich pokryły równomiernie cały Gołławek i część Grochowa.

Kolejnymi złotymi zgłoskami w dziejach technicznych dokonań zapisało się zbudowanie przez chłopców łodzi podwodnej i zwodowanie jej do Kanału Wawerskiego z młodszym bratem Huby na pokładzie. Zalutowany pod pokładem batyskafu Jacek nie podzielał naukowej pasji naśladowców kapitana Nemo. Małodusznie protestował, twierdząc, że w łodzi jest duszno. Bezcelnie wzywał pomocy, chociaż Franek tłumaczył jak komu dobremu, że wrzeszcząc szybciej wyczerpie dostępny mu zapas powietrza.

Do tragedii na szczęście nie doszło. Kanał nawet w najgłębszym miejscu okazał się zbyt płytki, by ktokolwiek w nim utonął, zresztą peryskop wystawał cały czas ponad lustrem wody. Nadto siostra Jacka i Franka, Madzia, doniosła o eksperymencie starem. Skończyło się na dotkliwych represjach. Franek nie mógł siedzieć przez tydzień, a uśmiechać się przez dwa tygodnie. Być może wtedy powziął przekonanie, że jeśli na świecie musi istnieć przemoc, to lepiej stanowić w niej stronę czynną niż bierną.

Wkrótce ścieżki życiowe chłopaków rozeszły się. Jurek poszedł do liceum, a Franek do technikum

mechanicznego, po którym dość szybko perspektywy zarobkowe i szanse na mieszkanie skłoniły go do wstąpienia w szeregi Milicji Obywatelskiej. Mniej więcej w tym czasie ich rodziny przeprowadziły się do nowo powstających dzielnic.

Drogi dawnych kumpli skrzyżowały się ponownie dopiero w roku 1981 na rondzie Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Jurek należał do organizatorów historycznej blokady. Franek dowodził jedną z grup milicyjnego zabezpieczenia. Spotkali się, popatrzyli sobie w oczy, a potem umówili na piwo. Obaj łudzili się, że uczestniczą jedynie w zabawie w rewolucjonistów i żandarmów podczas zwariowanego ulicznego festynu. Przy piwie rozmawiali jak starzy przyjaciele. Chociaż Franek szybko, z wyższością rozwiął nadzieje na dwuosobowe porozumienie Polaka z Polakiem.

— Osobiście nic nie mam przeciwko „Solidarności”. I gdybyście tylko pozbyli się ekstremy...

— Jakiej ekstremy?

— No tych doradców, Żydów i agentów CIA... Wiesz, gdzie oni mogą nas wszystkich zaprowadzić?

— Gdzie? Na Sybir?

— Ja tego nie powiedziałem, ale ta wasza zabawa przypomina targanie białego niedźwiedzia za uszy.

— Moglibyśmy potargać go razem...

Następnym razem los zderzył ich trzynastego grudnia nad ranem, na dziedzińcu pałacu Mostowskich. Złocki przyjechał suką z grupą świeżo internowanych. Huba stał na czele oddziału wyruszającego na kolejne łowy. Minęli się bez słowa. Huba spuścił wzrok. Za to Złocki obrzucił kolegę spojrzeniem pełnym nietajonej pogardy. Czy spotkanie miało jakiś wpływ na to, że Jerzy został zwolniony już następnego dnia i to bez konieczności podpisywania lojalki? Nigdy się tego nie dowiedział.

Później, mimo dość częstych aresztowań na czterdzieści osiem godzin Juruś nie miał szczęścia lub pecha trafić na Franciszka. Od Jacka Huby, którego spotkał kiedyś na dworcu, dowiedział się, że brat przeszedł do pracy w drogówce.

Potem nastąpiła odnowa. W7 1990 roku, po pozytywnym wyniku weryfikacji kapitan (a wkrótce major) Huba wrócił do Komendy Stołecznej. Rok później dawni przyjaciele spotkali się na pogrzebie matki Franka. Uścisnęli sobie ręce i znów umówili na piwo. Potem na następne. Znajomość odżyła. Huba kilkakrotnie służył Złockiemu za konsultanta w sprawach kryminalnych. I odwrotnie, gdy zachodziła potrzeba, redaktor puszczał na łamy kontrolowane policyjne przecieki. Spotkania przy piwie stawały się rytuałem. Huba mówił o nowinkach technicznych, pytał Jerzego, co myśli o aktualnych wydarzeniach politycznych. Opowiadali sobie najnowsze kawały. Również o policjantach. Natomiast nie bywali u siebie w domu. I nigdy w tych rozmowach nie wracali do przeszłości.

O szesnastej w kawiarni „Rozdroże” trwał okres przejściowy. Urzędnicy z URM-u i okolicznych ministerstw, wpadający pogadać, załatwić interesy i popatrzeć na ładne dziewczyny z pobliskich liceów, kończyli urzędowanie, podobnie odpłynęli ku nieokreślonym zajęciom działacze opozycji pozaparlamentarnej z pałacyku Sobańskich. Dziennikarze, którym minął wreszcie poranny kac, mogli wyruszyć do pracy. Natomiast młodzież, obejmująca śródmiejskie lokale we władanie w późniejszych godzinach, jeszcze nie nadciągnęła.

Huba oczekiwał Złockiego w samym rogu niższego poziomu kawiarni. Jerzy od razu zobaczył jego kanciastą sylwetkę i jeszcze raz zadał sobie pytanie, kiedy to niewysoki, szczupły chłopak o kędzierzawej czuprynie zmienił się w tęgawego szpakowatego faceta o kwadratowej twarzy koloru socjaldemokratycznego.

— Cześć — przywitał go krótko policjant. — Co się z tobą dzieje? Nie odzywasz się, nigdzie nie można cię złapać. Tak się interesowałeś tym „Marszałkowskim”, a teraz już ci przeszło?

— A macie coś nowego w jego sprawie?

— Nic. Ani nie udało się ustalić tożsamości, ani co się stało z ciałem. Ale takie rzeczy potrafią pozostawać nie wyjaśnione latami.

Złockiego zaswędziały język. Zastanawiał się nad reakcją specjalisty na dokonania ich, amatorów. W końcu dało się im ustalić nazwisko denata, namierzyć powiązania zarządzić inwigilację, a nawet skonstruować parę hipotez roboczych. Jednak coś go powstrzymało.

— A może ty się czegoś dowiedziałeś na ten temat? — małe oczki czujnie świdrowały twarz Jurusia.

— Ja? — zachnął się. — Skąd, w jaki sposób...?

— Doskonale wiem, kiedy coś kręcisz. Znam cię nie od dziś, Juruś. Oczywiście mamy demokrację, nie będę próbował nic z ciebie wyduszać, ale pamiętaj, nie wpakuj się w nic takiego, z czego nawet ja nie będę mógł cię wyciągnąć.

— Co masz na myśli?

— Narkotyki, wywiad... Im więcej czasu mija, ten denat wygląda mi coraz bardziej podejrzanie.

— Kontaktowaliście się z Interpolem?

— Nie mieli go w kartotekach — rzekł, ścisząc głos. — Ani twarz, ani odciski nigdzie nas nie zaprowadziły...

— A wierzysz w zombi?

— W żyjące trupy, duchy, wirujące stoliki? Ha, ha! Zawsze miałeś fantazję, Jursiu.

Złocki marzył, żeby w tym momencie w parku od strony Zamku Ujazdowskiego pojawiła się postać Alvareza. Ale się nie pojawiła.

Docent Krystyniak bał się. Im dłużej przebywał w pustym mieszkaniu, tym mocniej zazdrościł państwu Malinowskim, którzy na piętowych łóżkach hotelu Nowa Szmulowizna mogli wracać myślami do lat zetempowskiej młodości. Jeszcze bardziej zazdrościł Jacquesowi Vitry'emu; ten w zaciszu Zajazdu Napoleońskiego zapewne pochylał się nad komputerem i dzięki Internetowi prowadził o ileż bezpieczniejszą działalność intelektualną. Robert Krystyniak nie czuł predyspozycji do działań frontowych, podobnie jak nie lubił gier losowych, przedkładając ponad nie rozgrywki strategiczne. Teraz jednak trudno było mówić o strategii, miał za mało danych. Jaki cel sprowadził Chińczyka do Warszawy, dzięki jakim zdolnościom Alvarez umiał wpływać na odległość nie tylko na ludzi, ale i maszyny? Ku czemu zmierzały wydarzenia wpisane w złowróżbną symbolikę roku przestępnego? Brak danych! Brak danych! Brak danych! Strach Docenta podzielał zapewne i wypuszczony poza okno kanarek, ponieważ przezornie nie wracał. A może ze strachu zszarzał, by nie można go było odróżnić od wróbli. Tymczasem nie działo się nic. Lee Mingh spał równie głęboko, co podczas całego dyżuru Anny. Obudził się dopiero za kwadrans ósma. Z łazienki dobiegło charakterystyczne ciurkanie, potem odgłos spuszczonej wody i bzyczenie maszynki do golenia. Czyżby Chińczyk wybierał się gdzieś z wizytą?

Rzeczywistość przerosła oczekiwania. Poczynając od dwudziestej czternaście do lokalu na X piętrze zaczęli pojedynczo przybywać goście. Co parę minut trzaskały drzwi od windy, kroki dudniły po korytarzu, brzęczał dzwonek... Docent zgasił światło i z okiem przy wizjerze lustrował korytarz. Potem ściszym głosem recytował do dyktafonu: „Łysol z wąsikiem, przystojniaczek uczesany w falę, kościsty elegant o końskiej twarzy, blondyn z zadartym nosem — na oko Czech albo Pinokio, zwalisty typ w ortalionie — wypisz wymaluj ogolony niedźwiedź, smagły południowiec, drobny nerwowy brunecik o lisim uśmiechu...” Docent naliczył jedenastu przybyszy Jako dwunasty, parę minut po dziewiątej nadszedł Alvarez. Na głowie nie miał ani śladu bandaża czy plastra. Krystyniak żałował, że nie wziął ze sobą aparatu fotograficznego. Każdego z gości witał na progu Lee Mingh. Ścisnął rękę i bez słowa wprowadzał do środka. Ze strzępów rozmów dochodzących przez łazienkę, można było wywnioskować, że spotkali się przedstawiciele najrozmaitszych nacji i zawodów, którzy nigdy przedtem się nie widzieli. Kim więc byli, co ich łączyło?

Zaskrzypiał przypominający gaworzenie papugi głos Lee Mingha wzywający wszystkich do stołu. Ktoś zamknął drzwi do łazienki. Wszelkie odgłosy ucichły.

Krystyniak chwilę miotał się po mieszkaniu, otworzył drzwi balkoniku... Nic, żadnego gzymsu. Wyciągnął kij od szczotki z przymocowanym doń uprzednio lustrem. Wiele jednak nie zobaczył, wiatr targnął drzwiami, lustro rąbnęło o mur, oderwało się od kija i poszybowało w dół, aby zniknąć w krzakach.

Docent zaklął po włosku, jako że w tym języku przekleństwa brzmią najbardziej soczyście. Drugiego lusterka nie miał. Zresztą istotne dla sprawy było nie to, jak zgromadzeni w sąsiednim mieszkaniu wyglądają (to z grubsza wiedział), tylko o czym mówią. Krystyniak przeszedł do aneksu sypialnego i jeszcze raz obejrzał wąskie okienko przy suficie obok ściany oddzielającej „Przyczółek

Malinowski” od apartamentu wynajętego przez Chińczyka. Starając się robić jak najmniej hałasu, postawił pod ścianą stół, wspiął się na niego i maksymalnie wychylił na zewnątrz. Mimo grubego swetra przeniknął go dojmujący chłód. Wysunął się jak mógł najbardziej i uchwycił framugi bliźniaczego okna w mieszkaniu obok. Sąsiedni oberluft był lekko uchylony. Docent wyciągnął się jeszcze bardziej. Posłyszał głosy. Przelykając z emocji ślinę, chwycił krawędź okienka i zajrzał do środka. Pozbawiony ścianki działowej apartament składał się tylko z jednego pokoju średniej wielkości. W środku, wokół okrągłego stolika oświetlonego jedną świecą ciasno zgrupowało się trzynastu mężczyzn.

Pogrążeni ni to w namyśle, ni modlitwie, milczeli. Potem odezwał się Lee Mingh. Mówił przepiękną klasyczną greką, jaką musieli posługiwać się Platon i Arystoteles. Dlaczego przemawiał akurat po starogrecku? Czyżby był to jedyny język, znany wszystkim zgromadzonym?

— Czas nadszedł, drodzy Spadkobiercy. Chwila, na którą czekaliśmy tyle pokoleń, nadeszła. Mamy dwra tygodnie, aby zakończyć przygotowania. Znacie termin?

— Powinniśmy zakończyć naszą misję przed pierwszą niedzielą po pełni poprzedzonej równonocą wiosenną — zabrzmiał w odpowiedzi szmer głosów; a ktoś dorzucił po rosyjsku: — Pieried Wosskresienijem.

Lee Mingh zakasłał.

— Ze względu na charakter waszej pracy, Iwanie Iwanowiczu, wybraliśmy Warszawę na miejsce spotkania. Ale na przyszłość prosiłbym o powstrzymanie się od tego typu sformułowań.

— Prostitute!

— Wracając do rzeczy, bracia, wiecie, do czego zmierzamy. Po raz pierwszy cel znajduje się w zasięgu naszych możliwości. Za chwilę zapoznam was z zadaniami przewidzianymi dla każdego. Wcześniej jednak pomówimy o sprawach bezpieczeństwa, nasz odwieczny wróg od paru lat nie daje wprawdzie znaku życia, ale z pewnością nie zaniechał swej destrukcyjnej działalności...

W tym momencie Alvarez siedzący naprzeciw okienka uniósł wzrok i dojrzał spoconą twarz Docenta. Ten z wrażenia omal nie puścił się trzymanej framugi. Hiszpan jednak nie zareagował. Nie zaalarmował pozostałych. Powoli opuścił wzrok. A przecież jak błyskawica do umysłu Krystyniaka dotarł elektryzujący fluid: „Uciekaj, Docencie, natychmiast stąd uciekaj!”

Szarpnął się do tyłu, zeskoczył na stół, a potem na wysłużony tapczan Malinowskich.

Muszę natychmiast zawiadomić pozostałych! — Drżącą ręką sięgnął po telefon. Ze słuchawki dobiegła cisza. Czyżby linia została uszkodzona? Nie namyślając się narzucił płaszcz. Otworzył drzwi na korytarz.

— Guten Abend — powiedział Łysoń, a towarzyszący mu Człowiek–Koń pchnął Docenta na powrót do wnętrza.

Gdy Leśniewska wróciła do mieszkania redaktora, powitały ją zapalone świece i butelka szampana mrożąca się w garnku z lodem udającym kubełek. Dekoracji dopełniał kosz zaschniętych kwiatów, który zachował się jeszcze od ślubu z Agnieszką. Złocki zrobił wszystko, aby nastrój odpowiadał najlepszym harlequinowym przepisom dla zakochanych.

— Nie masz nic mocniejszego? Nie mam dziś ochoty na bąbelki! — powiedziała Anna. I przeprosiwszy Jerzego, znikła na moment w graciarni, by się przebrać.

Miał. Stary dobry koniak, który jakimś cudem uchował się na dnie barku, za butelką, w której pływał bardzo smutny i sfermentowany wąż.

Wróciła w luźnej domowej sukience, z głęboko wyciętym dekoltem. Rozpuściła włosy, co u większości kobiet bywa czytelnym sygnałem zachęcającym do ataku. Wypili po kieliszku martella. Patrzyli sobie w oczy. Czuło się. Że każde ma bardzo wiele do powiedzenia, a waha się...

Powiedzieć wprost: Kocham cię? — zastanawiał się Juruś — czy to niezbyt banalne jak na człowieka pióra?

Wyznać mu: Pragnę cię, zróbmy to zaraz, chodźmy do łóżka, bo widzę, że spalasz się jak ćma? Czy aby nie uzna mnie za dziwkę? — myślała dziewczyna.

Zamiast słów wybrała czyny. Wyciągnęła ku niemu swoją smukłą dłoń o nieprawdopodobnie szczupłym nadgarstku. Złocki pochylił się energicznie, by ją ucałować. Brzdęk! To jego okulary spadły na podłogę. Okropnie zmieszany poderwał się, aby je podnieść i potrącił stolik. Teraz świeca ustawiona bez lichtarza przewróciła się, a jej płomyk liznął suche kwiaty. Buchnęły żywym płomieniem.

— Przyniosę wody! — krzyknął Złocki i skoczył w stronę kuchni. Po drodze zderzył się z Anną podążającą w tym samym kierunku i zbił ją z nóg. Koniak chlusnął na sukienkę, tworząc nieprzyzwoitą plamę poniżej pępka. Złocki także stracił równowagę i grzmotnął prosto na dziewczynę. Miał ją pod sobą... Mój Boże, co za uczucie. Przetoczyli się po podłodze. Teraz ona była na górze. Tymczasem wesoło hajcujący ogień wspiał się na firankę.

— Zostań! — Leśniewska unieruchomiła pocałunkiem adoratora niezdare. Zwinnie zerwała się na nogi, jednym ruchem zdarła płonąca zasłonkę i rzuciła na podłogę obok gorejącego koszyka. Potem chwyciła zręcznie szklany klosz akwarium, wyjęła sfrustrowaną samotnością rybkę i opróżniła zbiornik wprost na źródło ognia.

Sytuacja została opanowana. Tylko rybka nerwowo podskakiwała na stole, nie mogąc się doczekać, kiedy Juruś znów napelni akwarium kranówką.

— Sądzisz, że ona to przeżyje? — Anna popatrzyła na mego sceptycznie. — Powinna mieć chyba

specjalną wodę.

— Berta jest u mnie pięć lat i nie takie rzeczy przeżyła — skomentował gospodarz.

Ania Leśniewska, mokra, z osmaloną twarzą i nadpalonymi włosami wybuchnęła śmiechem. Dotarło do niej, że kobieta, która zdecyduje się na życie z redaktorem, będzie musiała mieć charakter owej rybki. Być może taka rola przerosła wytrzymałość Agnieszki. Póki co Annę gapowatość Jurka po prostu rozczulała.

— Strasznie cię przepraszam — mamrotał redaktor. — Co ja najlepszego zrobiłem? Oblałem ci sukienkę.

— Trudno, trzeba będzie ją zdjąć — odparła.

Uniosła do góry ręce i było po wszystkim. Nie miała nic pod spodem. W półmroku dostrzegł jej nagie piersi i głęboki cień zakątka rozkoszy...

— Anno, od dawna chciałem ci powiedzieć...

— Nie mów nic, słowa są niepotrzebne.

Objęli się. Drżała na całym ciele. On zaś był zbyt zdenerwowany, by się zastanawiać, czy również drży. Usta miała słodkie, wilgotne, gotowe. I nagle poczuł, jakby przekraczał bramę oddzielającą nasz nędzny padół od innego lepszego świata. Świata barw, muzyki i szaleństwa. I to pomimo że dookoła panował półmrok, cisza, a cały alkohol został rozlany.

Ręce plastyczki błyskawicznie rozprawiły się z guzikami jego koszuli, jak gdyby miał tam wszyty ekler... Potem zabrała się za pasek od spodni. Chciał jej pomóc, i na moment ich usta rozłączyły się.

— Sama to zrobię! — zawołała. Miała rację, choć nie mogła wiedzieć, o tragikomicznym przypadku Jurusia, który podczas pierwszej narzeczeńskiej nocy z Agnieszką ze zdenerwowania przyciął sobie męskość suwakiem od śpiwora.

Obrała go jak dojrzałego banana, a potem pociągnęła ku drzwiom sypialni...

— Drrryń!

Zaklął. Telefony mają to do siebie, że odzywają się w najbardziej niestosownych momentach.

— Zostaw, niech sobie dzwoni!

Oczywiście nie miał zamiaru odbierać. Padli na łóżko. Jej ciało było gładkie jak wytoczony przez morze kawałek włoskiego marmuru.

Włączyła się automatyczna sekretarka. Chwilę później oboje, raptownie wyrwani z namiętności, usłyszeli zdyszane:

— Uciekajcie, na miły Bóg, uciekajcie póki czas.

W mgnieniu oka ostygli.

— Kto to był? Poznałeś głos? — spytała Anna.

— Brzmiał z cudzoziemska. Ale to chyba nie Jacques.

— Wiesz co, zadzwońmy do Docenta. Wykręcił numer mieszkania Malinowskich.

— Co jest?! Nikt nie odbiera!

— Cholera, niedobrze. Przecież on tam miał dyżurować.

— Mówię ci, coś się stało!

W trzydzieści sekund później kompletnie ubrani pędzili mercedesem w stronę osiedla Za Żelazną Bramą.

Lubo śmiertelnie przerażony, Robert Krystyniak usiłował nadrabiać miną.

— O co panom chodzi? To jest najście. Proszę natychmiast opuścić moje mieszkanie.

Zza pleców napastników wyłonił się Chińczyk. Wydawał się teraz być młodszy o całe dekady.

— Nędzny, przemijający robaku, azaliż sądzisz, że mógłbyś bezkarnie podejść nas i szpiegować? Nas?!

— Ja wcale nie szpieguję, panowie są w błędzie... Właśnie wynająłem to mieszkanie.

— Na czyje polecenie nas śledziłeś? — wycedził Łysoń.

— Nie ma żadnego śledztwa, to tylko ciekawość naukowca. — Nieudolnie usiłować wkopnąć pod łóżko dyktafon.

— Za ciekawość się niestety płaci. — Chińczyk podniósł z podłogi dyktafon, a jego współtowarzysze otworzyli drzwi balkonowe. — Życzę miłego lotu.

— Nie! — wrzasnął Docent, czując, ku czemu zmierzają. — Wszystko wam powiem... Mówię prawdę, to z naukowej ciekawości, po tej śmierci Alvareza...

— Jakiej śmierci Alvareza? — Po raz pierwszy od początku incydentu po nieruchomej twarzy Azjaty przebiegł grymas zdziwienia.

— No, po tym jak czwartego marca ten gzyms spadł mu na głowę, a on następnie zmartwychwstał. Zresztą zapytajcie go sami...

— Alvarez — zduszony szept wydarł się z gardła Lee Mingha. — Alvarez! — powtórzył.

Pozostali uczestnicy ceremonii tłoczyli się w małym mieszkanku i na korytarzu. Nozdrza ich drgały, a zęby szczyrzyły się jak u drapieżnych bestii. Wszelako Alvareza między nimi nie było.

O tak późnej porze przebicie się przez Warszawę nie zajęło im więcej niż piętnaście minut. Krótko po dziesiątej znaleźli się pod mrówkowcem. Anna liczyła okna.

— To dziwne, wygląda, że jest u niego ciemno... Zaraz, nie, ciemno jest na jedenastym. A niżej... Poczekaj, już mam. Mieszkanie Malinowskich to to z powiewającą firanką.

— No, to tam też ciemno. Może Robert zasnął!

— Kiedy skręcałam samochodem, przysięgłabym, że się paliło. W kwaterze Chińczyka też ciemno.

Parę sekund trwali z zadartymi głowami.

— Patrz, tam coś spada! — zawołała nagle dziewczyna. — O Boże!

Spadającym obiektem był Docent Robert Krystyniak, który bezwładnie, z szeroko rozpostartymi ramionami przeleciał kilkadziesiąt metrów i roztrzaskał się o chodnik niedaleko zaparkowanego mercedesa.

Podbiegli do niego. Uklękli. Anna wybuchnęła płaczem. Znakomity poliglota nie żył.

6. Śmierć wkracza do akcji

Czy może istnieć doskonałość doskonała, czy jedynie przybliżona, dopuszczająca na którymś miejscu po przecinku błąd? Problem ten absorbował Go od zawsze. Dotyczyło to zarówno Jego samego, jak i Jego Dzieł Ostatecznych. Były prawie bezbłędne... prawie. Przenikając najgłębiej, jak mógł, poniżej owych poziomów okupowanych przez neutrino, fotony, kwarki, ciągle natrafiał na wyjątki przekreślające reguły. W pewien sposób było to piękne i fascynujące. Albowiem bez elementu ryzyka czy możliwości pomyłki gatunek nie miałby żadnej Historii.

Stworzył wreszcie upragnioną prototypową serię rozumnych hominidów, z którymi mógł nawiązać dialog. Zakończyć miliardy lat samotności.

On, któremu zdawało się, że poznał wszystko, doświadczał wrażeń i uczuć nowych, niezwykłych. Tak cieszył się z prototypów i obdarzał je takim uczuciem, że nie zauważył ryzyka, jakie niesie z sobą zbyt perfekcyjne wykonanie.

Ale jakże było się nie cieszyć. Defekty pojawiające się w poprzednich cyklach zostały usunięte. Zresztą najczęściej usterki naprawiały się same. Hominidzi eksperymentalni albo z powodu wyjątkowej delikatności i nadmiernego wysubtelnienia okazywali się niezdolni do życia w naturalnym środowisku, stając się łatwymi ofiarami zwierząt bądź zabójczego dla nich klimatu, albo w kolejnej generacji ujawniała się ich bezpłodność. Toteż wielokrotnie, z ogromnym bólem musiał prototypy likwidować. W przypadku prymitywnego homo neandertalis, wywołując miejscowy przybór wód, natomiast z szalonym homo sodomiensis, uprawiającym namiętnie seks z małpami i inną zwierzyną — przez niewielki wybuch nuklearny. W obu wypadkach nie można było wykluczyć, że pojedyncze egzemplarze uniknęły kasacji, powodując wskutek krzyżówek pewne perturbacje z rozwojem gatunku.

Seria „homo sapiens primus” nie powtarzała błędów swych poprzedniczek. Może z jednym wyjątkiem. Twórca, chcąc maksymalnie przyspieszyć proces cywilizacyjnego dojrzewania, obdarzył swe dzieci nieśmiertelną pamięcią. Chociaż ciała poszczególnych egzemplarzy umierały, ich doświadczenia życiowe nie szły na marne, nie trzeba było zaczynać od początku, trwała pamięć w genach. I to nie tylko gatunkowa, ale indywidualna. Dziecko dziedziczyło bowiem w swych chromosomach, tym supermikroskopijnym kosmosie informatycznym, całą pamięć swych poprzedników, aż od chwili poczęcia. Miało świadomość kontynuacji i pamiętało doświadczenia przebyte przez antenatów. Mogło to je chronić przed ciągłym popełnianiem tych samych błędów i powodowało, że uczenie się stawało się w istocie procesem przypominania. I to było dobre. Może aż za bardzo. Przepojony miłością do swych twórców, szczęśliwy z powodu sukcesu, nie wziął pod uwagę, jak niebezpieczny może być stale kumulujący się kapitał wiedzy, wolnej woli, ciekawości i ambicji w zderzeniu z pozostawionymi cechami zwierzęcymi, jak instynkt walki, wola przetrwania czy popęd płciowy.

Nie zachowywał należytej ostrożności. Najinteligentniejsze egzemplarze tych superludzi odwiedzały jego laboratoria, a jeden, nazywany Umiłowanym, towarzyszył mu w lotach ponad

Ziemią.

Aż nastał moment, kiedy najlepsze z jego Dzieci zapragnęły być mu równe. Zapragnęły dotrzeć do źródeł wiedzy, pożywiać się jego owocami.

— Chcemy wiedzieć o Tobie wszystko. Ojciec — oznajmili mu któregoś dnia, kiedy wraz z nimi przechadzał się w cieplarni wśród drzew z owocami, które dla nich wyhodował, i kwiatów, które miały cieszyć ich oczy. — Chcemy znać Dobro i Zło. I sarni je wartościować.

— Najmilsi — odrzekł im. — Nadejdzie na to czas, wasz gatunek musi się rozwinąć, udoskonalić, moja aparatura jest dla was niedostępna, moja wiedza zabiłaby was. Czekajcie’

— Na co mamy czekać? Na śmierć? Przecież śmierci nie ma. Wasze dzieci są pełną kontynuacją waszej świadomości. Zaprawdę powiadam wam, białko musi się starzeć i obumierać, ale wy macie nieśmiertelność ducha, a kiedyś... Jeśli zachowacie cierpliwość.

I odeszli, pozornie ze swym losem pogodzeni, ale w duszach ich powstał gniew i złe myśli: „Wpuść nas do swego laboratorium, a sami dalej pokierujemy własnym losem. Ty idź spać na kolejne miliony lat...”

A on słyszał, jak szemrali. I odczuwał żal wielki. Nie mógł zaaprobować ich żądań. Znał ograniczenia białkowców. Obawiał się cech odziedziczonych po animalnych przodkach, cech których nie mógł wykorzystać bez likwidacji instynktu samozachowawczego. Czyż nie cechowała tych ludzi podatność na agresję, popęd płciowy o natężeniu nie notowanym u innych ssaków, czyż nie przepajała ich żądza dominacji jednego osobnika nad drugim... A przerażająca, całkowicie irracjonalna przyjemność odnajdywana w zadawaniu cierpienia bliźnim... Sądził, że ta mroczna strona zostanie z czasem okiełznana przez pamięć i intelekt. Wtedy też, być może, zastanowi się nad możliwością samostanowienia gatunku.

Więc zgromadziwszy ich raz jeszcze, ostrzegał i prosił: — Poczekajcie! Doskonalcie się... Pomogę wam dorosnąć!

A Umiłowany, który podczas poprzedniej rozmowy milczał, siedząc przy Kreatorze, naskoczył na swych braci, wyrzucając im pychę i czarną niewdzięczność. Przez chwilę wydało Mu się, że przyjęli ostrzeżenie. Pełni szacunku i synowskiej bojaźni.

Ale jakże nakazać spokój rozlanym kulkom rtęci, gdy blat stołu się chwieje.

I nadszedł dzień, gdy odkrył Kreator spisek dwunastu spośród nich. Był wstrząśnięty, gdy dotarło do niego, co zamierzają.

Planowali, kiedy znów zalegnie w sen, zawładnąć laboratorium... Być może Jego samego unicestwić. Ich intencje potwierdził mord na czwórce współbraci opierających się spiskowi. A Umiłowany twierdził, że ledwie uszedł śmierci. Czemuż mu wtedy zaufał? Chciał mu ufać. Traktował go jak przyjaciela. Co jednak miał począć z buntownikami? Oczywiście nie mogli mu zagrozić bezpośrednio. Albowiem stosunek sił przedstawiał się jak dwanaście wirusów do słonia...

Atoli nadchodziła kolejna pora snu — wiedział, że musi odpocząć przez co najmniej parę tysięcy lat. Dla własnego bezpieczeństwa winien był doprowadzić do kasacji całej serii. Wcale nie oznaczałoby to końca eksperymentu o kryptonimie „Człowiek”. Posiadał wszak w laboratorium gotowe embriony homo sapiens secundus. Poza możliwościami pamięciowymi identyczne jak ci z pierwszej serii. Jednak wahał się przed OSTATECZNYM ROZWIĄZANIEM. Nienawidził zadawania bólu, gardził (wbrew temu, co później o Nim wypisywano) karą śmierci. Wybrał więc półśrodek, zbudował generator bioenergetyczny i zwoławszy całą dwunastkę, wtrącił ich w jego czeluść. Tam uspił każdemu trzy czwarte mózgu, będące siedliskiem superpamięci. I puścił ich wolno, aby żyli zmieszani z populacją HS 2 i zmarli, nie domyślając się nawet, iż są nosicielami zamrożonego dziedzictwa. Równocześnie bowiem Kreator, otworzywszy bramy „szkółki gatunku”, rozproszył egzemplarze secundusów po świecie i kazał im samodzielnie zmagać się z naturą.

Nie wiedział jednego. Oto Umiłowany, który znał Go, jak tylko syn najstarszy rodzica znać może, odgrywając rolę lojalnego Ojcu, de facto solidaryzował się ze spiskiem. Pomagając przy wstępnej edukacji secundusów, zdobył niezbędne minimum wiedzy i przejrzawszy plan Kreatora, postanowił nie tyle go udaremnić, co zneutralizować. W ciągu miesiąca poprzedzającego zabieg „dememoryzacji” odwiedził wszystkie kobiety będące żonami dwunastu i każdą nappełnił swym nasieniem, które wcześniej, bez wiedzy Ojca, poddał w laboratorium obróbce genetycznej. Zrodzone z tych kobiet dzieci i ich potomkowie otrzyma li w spadku coś w rodzaju genetycznego budzika, który co 64 lata miał automatycznie aktywizować zablokowane rejony mózgu.

I dzieć się tak miało z wszystkimi męskimi potomkami Umiłowanego aż po samą Wieczność. Ich bracia zrodzeni z pozostałych spiskowców dziedziczyli wprawdzie ukrytą pamięć, ale bez mechanizmu samoczynnej aktywizacji. Aby ich obudzić, należało zastosować energetyczny impuls z zewnątrz. Oczywiście epoki miną, zanim Spadkobiercy nauczą się wykorzystywać uspiionych braci dla sprawy...

Dokonawszy chromosomowej manipulacji, nie chcąc, by Kreator przejrzał jego plany. Umiłowany wyszedł z Ciepłarni, udając się na skraj wąwozu, w który wielkim wodospadem zapadała się ich rodzinna rzeka. I wspiął się na skalę w kształcie głowy jednorożca i rzucił w kipieli, tak by Kreator sądził, iż został zabity przez zbuntowanych braci. Sam wierzył, że nie całkiem umarł.

Jego śmierć przyspieszyła działanie Kreatora. I kiedy pozbawił dwunastkę prototypów pamięci (kobietom przezornie poskąpił bezcennego daru od samego początku), udał się na parotysiącletni spoczynek, nie wiedząc o bombie z opóźnionym zapalnikiem, jaką mu Umiłowany podłożył.

Wokół leżącego ciała zaczęło się tworzyć zbiegowisko. Złocki wstał i odciągnął zapłakaną Annę. Sam ciągle jeszcze nie mógł uwierzyć w śmierć współnika.

— Nic tu po nas! — powiedział łamiącym się głosem. — Masz klucze od mieszkania Malinowskich?

— Pójdziemy razem. Oni mogli się tam zacząć.

— W żadnym wypadku! Stój przy wyjściu i obserwuj, kto będzie opuszczał dom!

— Jurek, to bardzo niebezpieczne!

— Dam sobie radę.

Znowu odczuwał ten lodowaty spokój. Naprawdę się nie bał. Przepęłniała go wściekłość. I ciekawość. Co takiego odkrył Krystyniak, że musiał podzielić los doktora Gonzalesa?

W lokalu numer 1016 Złocki nie zastał nikogo. Żadnych śladów walki, meble stały w absolutnym porządku płaszcz, szalik i kapelusz Roberta wisiały na wieszaku, w szklance na stole zółciła się nie dopita herbata, na łóżku leżała niemiecka książka i okulary. Buty Docenta stały równiutko ustawione przed balkonem, w którym wiatr wydymał firankę. Czy to reguła, że samobójcy zawsze zdejmują obuwie przed skokiem? Podobnie z okularami. — Dlaczego jednak Krystyniak miałby popełniać samobójstwo? Jerzy był przekonany, że ogląda zręczną inscenizację, ale co pomyśli jakiś ograniczony policjant? Przez chusteczkę sięgnął po słuchawkę telefonu. Aparat działał... Pokonując strach, zajrzał do szafy, do łazienki, do kuchni. Nachylił się nad otworem w ścianie. W sąsiedniej łazience cisza aż dzwoniła.

Wyszedł na korytarz i pchnął nie domknięte drzwi sąsiedniego mieszkania. Otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Zapalił światło. Apartament zadziwiał swoją bezosobowością. I pustką. Oprócz stołu i kilkunastu składanych krzeseł, teraz starannie złożonych w dwie sterty, jak po skończonym seansie w domu kultury. Na okrągłym stoliku bielił się obrus. Popielniczki były czyste, podobnie jak szkło w barku. Jednak mimo otwartego wywietrznika wyczuł charakterystyczny zapach świecy. Ale to było wszystko. Ani śladu Chińczyka... Czyżby minęli się windami?

Anna, mocno podenerwowana, spacerowała po przedwindziu. Chwilę po tym, jak środkowy dźwig uniósł w górę Złockiego, zjechał lewy i wysiadło z niego dwóch facetów, którzy natychmiast zwrócili jej uwagę. Jeden o łysej, podłużnej czaszce, drugi o twarzy zwyrodniałej szkapy. Wyglądali na cudzoziemców. Ale czy byli nimi? Zamierzała to sprawdzić, prosząc ich o ogień...

— Anka! Anka, co ty tu robisz do cholery? Odwróciła się. Za jej plecami stał Boguś.

— Zmywamy się stąd — powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu. — W co ty się pakujesz, kretynko? Ty i twój redaktorek. Macie już kolejnego trupa. Chcecie być następni?

— Daj mi spokój.

— Nie, nie, kochanie. Tak łatwo się Bogusia nie pozbędziesz. Śledziłem was cały dzień...

— Nie wiem po co. Zostawiłam ci list. Między nami wszystko skończone.

— Zobaczymy! Na razie zabieram cię stąd! — Na ramieniu poczuła uścisk imadła. — No, idziemy! Czy mam ci dołożyć?!

Chciała krzyknąć, ale hol był już pusty. Spróbowała wyszarpnąć rękę i oberwała w twarz, aż jej w oczach stanęły świece. Wpół niosąc ją, wpół prowadząc, dotarł do swojej skody. Gęstniejący wokół denata tłumek nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi.

Złocki zbiegł z dziesiątego piętra po schodach. Ale poza brudem i obscenicznymi napisami nie zauważył nic szczególnego. Może tylko obfitość zwrotów z angielskim czasownikiem *fuck* wskazywała, że znajomość języków obcych w ostatnich latach poczyniła w Polsce postępy. Na dole rozejrzał się za Leśniewską. Ani śladu.

Ruszył w stronę wozu. Przebił się przez ciżbę gapiów tłoczącą się wokół Krystyniaka. Pojawił się już lekarz i pierwszy, chyba przypadkowy, policjant. Nigdzie Anny.

Czyżby ją zabrali? Niespokojnie rozejrzał się dookoła. Nikt mu się nie przyglądał. Ale może gdzieś w krzakach czai się ktoś z noktowizyjnymi goglami i bronią zaopatrzoną w tłumik? Bzdura, dlaczego miałoby mnie mordować? Przecież ja nic nie wiem!

A czy Robert coś wiedział? — odezwał się w nim drugi, płochliwszy Juruś.

Zachowaj spokój, nie poddawaj się panice — przypomniał sobie zalecenia wyczytane w powieści sensacyjnej. Przystanął i parokrotnie odetchnął głęboko, próbując walczyć z narastającą bezradnością. Lęk o Annę, żal po śmierci Krystyniaka zmagaly się z egoistycznym pytaniem — jak on sam ma się z tego wyplątać?

Chciałeś bombowego tematu, to i masz. Odczekał jeszcze piętnaście minut przy samochodzie, a ponieważ Leśniewska się nie pojawiła, delikatnie przekręcił kluczyk, umierając ze strachu, że uruchomi to zapalnik jakiejś maszyny piekielnej. Nic takiego nie nastąpiło. Odetchnął głębiej i ruszył do Zajazdu Napoleońskiego. Tylko Vitry mógł poradzić, co przedsięwziąć w zaistniałej sytuacji.

Oficer policji, który kwadrans po Złockim znalazł się w mieszkaniu, z którego wypadł Krystyniak, odczuwał niezwykle zmęczenie. Nie pomagał papieros za papierosem. — Cholera, łapie mnie grypa. Wszystko przez te ustawiczne zmiany pogody. — Wstrząsały nim dreszcze, znużenie zamykało powieki. — Starzejesz się chłopie — mruknął do siebie, obmywając w łazience spoconą twarz.

Lokal 1016 został zamknięty, ale otworzył go bez trudu kluczami znalezionymi przy zmarłym. Świadców skoku nie było, dozorca, jak co dzień o tej porze pijany, niczego nie zauważył. Jedno sąsiednie mieszkanie było puste, drugie zamieszkiwała kompletnie głucha staruszka, której nawet trąby Dnia Ostatecznego należałoby narysować, żeby zorientowała się, że nadszedł koniec świata. Wersja samobójczego skoku wydawała się całkiem prawdopodobna. Zmęczony życiem mężczyzna w trudnym wieku, sądząc po braku odnośnych wpisów w dowodzie — samotny, bez rodziny, wynajmuje pokój w wieżowcu tylko po to, by pierwszego dnia pobytu skończyć z życiem. Z biedą trzymało się kupy. Pod warunkiem, że na co dzień denat mieszkał na parterze... Jeszcze raz zajrzał do dowodu osobistego nieboszczyka, numer mieszkania 96 nie informował automatycznie o tym, że jego właściciel mieszkał na XIV piętrze. Mógł to być parter którejś z odleglejszych klatek. Zaczęły mu łzawić oczy. Kiedy je przecierał, zobaczył, że drżą mu ręce.

Cholera, czego ja się boję... nawiedzony dom? Z wielkiej płyty? Siadł przy stole, żeby napisać służbową notatkę, kiedy cicho otworzyły się drzwi. Policjant odwrócił głowę. Na progu stał bardzo stary Chińczyk. Ich spojrzenia spotkały się...

— Mały Francuz? Pan Vitry? Wyjechał pół godziny temu, bardzo się spieszył — oświadczyła recepcjonistka.

— Nie wie pani dokąd?

— Zamówił radio-taxi. Czekając poprosił mnie o rozkład pociągów... Więc pewnie pojechał na dworzec.

— I nie zostawił żadnej wiadomości.

— Na jakie nazwisko?

— Krystyniak albo Złocki.

Sięgnęła do szuflady. W zaklejonej kopercie ze swoim nazwiskiem znalazł karteczkę.

Wiem już o Robercie. Uciekam. Nie próbuj mnie szukać. Ukryj się! To nas przerasta. To jest straszne. Nie ufaj nikomu. Postaram się wrócić z pomocą. Zniszcz kartkę.

Jacques

— Źle się pan poczuł? Jakaś nieprzyjemna informacja? — dopytywała się dziewczyna, widząc nagłą bladość dziennikarza.

Zignorował ją. Podniósł kołnierz płaszcza i wyszedł w ciemność. A więc został sam. Zdany na siebie. Vitry uciekł, Docent nie żył. Bóg wie, co się stało z Anną. Uniósł głowę i przez chwilę wpatrywał się w rozgwieżdżone niebo, jakby stamtąd mógł oczekiwać ratunku. Od pamiętnej wizyty Papieża w 1979 roku, kiedy na placu Zwycięstwa poczuł po latach zwątpienia i ateizmu elektryzujący prąd siły i nadziei, wierzył w Boga. Wierzył w jego sprawczą rolę w historii, wierzył w zbawienie, ale doraźnie nie spodziewał się pomocy ze strony Opatrzności. Tej chłodnej marcowej nocy zdawała się równie daleko jak gwiazdy. Natomiast niewidzialny wróg mógł kryć się wszędzie, nawet w tych wąskich uliczkach Wawra. Jacques radził uciekać, ale dokąd miał uciec? Do swojego mieszkania? Sądząc po niedawnej rewizji, było przecież przeciwnikowi znane...

Z drugiej strony ktoś ostrzegł francuskiego karzełka, a wcześniej i jemu samemu sugerowano, żeby się wycofał. Może więc wróg zabija tylko w ostateczności, może wystarczy tylko zapomnieć o wszystkim?

Musiał jednak coś ze sobą zrobić. Gdzieś przeczekać.

Ale gdzie? U ciotki w pobliskim Aninie? Nie mógł jej narażać. U kogoś z redakcyjnych kolegów?

...

I wtedy pomyślał o Franciszku Hubie. Być może, gdyby, zamiast bawić się w prywatne śledztwo, szczerze opowiedział mu o całej sprawie, nie doszłoby do tragedii. Tak, oczywiście, tylko Huba! Juruś wrócił do recepcji i wykręcił domowy numer inspektora.

— Jest jeszcze w mieście, jakieś pilne wezwanie — powiedziała Anulka Hubowa, ale mogę spróbować go złapać. Ma oddzwonić do ciebie?

— Nie będę pod żadnym telefonem. Ale powiedz mu, że czekam na niego w życiowej sprawie.

— Gdzie?

— Rzuć hasło: „Łódź podwodna”. Będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

Dochodziła północ. Nad kanałkiem zakręcającym poniżej nasypu panował gęsty mrok. Nie docierały tu światła Trasy Łazienkowskiej ani neonu pobliskiego McDonalda. Tylko skrzyp bezlistnych olch i odgłosy zapóźnionych tirów szarżujących na magistrali Wschód — Zachód tworzyły w uszach Złockiego kakofonię narastającego niepokoju. Może pochopnie wybrał ten zakątek? Tu nieznany wróg mógł mu skrócić kark i nikt by tego nie zauważył. Chyba jednak nie był przez nikogo śledzony. Samochód zostawił pod zajazdem. Przebiegł dwa pasma ulicy Płowieckiej, oglądając się za siebie, potem kluczył po małych uliczkach. Nikt za nim się nie skradał. Znaczyłoby to, że chwilowo jest bezpieczny. Absolutnej pewności jednak nie miał.

Od strony myjni samochodowej dobiegł go pisk hamulców. Potem trzaśnięcie drzwiczek. Wkrótce na tle nieba zamajaczyła znajoma, krępa sylwetka. Inspektor Huba sprawnie, jak na swoją wagę, opuścił się po stoku nasypu.

— Aleś sobie miejsce wybrał, Juruś! Co się dzieje?

— Nikt cię nie śledził?

— Mnie? — zaśmiał się Franek gardłowo.

— Nie powiedziałem ci całej prawdy, Franuś, wpakowałem się w paskudną kabałę.

— No to chodź do poloneza, zawiozę cię, gdzie zechcesz, a po drodze wszystko mi opowiesz.

— W tym sęk, że nie bardzo mam dokąd jechać.

Wsiedli. Huba nieprzepisowo nawrócił, wykorzystując pasy dla pieszych, po czym wolno ruszyli w stronę miasta. Złocki opowiadał. Skupiony inspektor nie przerywał mu ani słowem.

Juruś opowiedział więc o taśmie z poliglotycznym bełkotem Alvareza. O chodzącym trupie. O informacjach uzyskanych w Barcelonie, o małym kurdupłowatym Francuziku... Tu na moment Huba mu przerwał.

— I jak sądzisz, gdzie teraz może być ten pan Vitry?

— Przypuszczam, że w pierwszym pociągu podążającym na Zachód.

— Aha... Ciekawe. W każdym razie dobrze, że zdecydowałeś mi się o wszystkim powiedzieć. Szkoda tylko, że tak późno...

— Bałem się, że mnie wyśmiejesz.

— Bynajmniej. Sądzę, że sprawa jest poważna, nawet jeśli nieprawidłowo ją interpretujesz. W

każdym razie, oprócz ciebie jest w nią zaplątana jeszcze grupa tych zadymiarzy...

— O niczym nie wiedzą. Mieli jedynie odszukać dla nas Alvareza.

— Właśnie, a ten... Alvarez nie próbował się z wami skontaktować?

— Wręcz przeciwnie, ucieka przed nami, przecież zabił Docenta...

— Tak, tak... No i zostaje jeszcze ta Leśniewska?

— Niestety zniknęła. Miała czekać na mnie w holu...

— Mój człowiek, który znalazł się tam wkrótce po wypadku, wspominał o ładnej dziewczynie, brutalnie prowadzonej do samochodu przez kędzierzawego osiłka w brązowej kurtce.

— To musiał być ten jej Boguś!

— Kto?

— Były narzeczony. Postanowiła z nim zerwać. A on pewnie ją dopadł.

— Domyślasz się, gdzie mógł ją zabrać.

— Najprawdopodobniej do ich mieszkania w Podkowie Leśnej.

Huba przyhamował z piskiem. I zakręcił.

— No to jedziemy do Podkowy.

— Tak, oczywiście. Pod opieką policji Anna na pewno będzie bezpieczniejsza — mruknął Złocki. Głowa opadła mu na wezglówek, zasnął.

Vitry odetchnął z ulgą, kiedy nocny ekspres do Berlina opuścił skąpane zimnym światłem perony Dworca Centralnego. Z każdą minutą czuł się lepiej. Gdy już znajdzie się w Paryżu, zawiadomi przyjaciół, ci podejmą odpowiednie działania. Charles zawsze mówił, że może na niego liczyć. A Charles nie bał się nawet diabła. Śmierć Krystyniaka potwierdziła najgorsze obawy. Przeciwnikiem nie był jakiś pan Alvarez czy zwariowany Chińczyk, lecz Organizacja, której istnienie podejrzewał, choć celów nie rozumiał. Zespół ludzi zjednoczonych wspólnym celem i obdarzonych ponadnormalnymi umiejętnościami...

Cykl sześćdziesięcioczeroletni... Gdzie o tym czytał? U Doumerque'a w manuskrypcie z Clermont czy w liście tego szaleńca Kleista z 1933 roku. Tym liście, który nigdy nie dotarł do adresata. Nie zmienił losów świata. A mógł, adresatem wszak był Albert Einstein... Albo to, o czym uciekiniarka z Drezna opowiadała samemu generałowi Pattonowi... Ten nie uwierzył, ale sporządził króciutką notatkę dla przyjaciela, obiecując napisać więcej, tyle że wkrótce potem już nie żył...

Kim oni są? Dotąd odnosił wrażenie, że wśród sprzecznych podań i mitów dostrzega jedynie cień spiskowców, dziś doświadczył ich bezpośredniego działania... Cholera, że też szybka kolej TGV nie sięga Warszawy. Żeby tak już być w domu!

Czując parcie na pęcherz, wyszedł na korytarz. Pierwsza klasa świeciła pustkami. Jedyne współpodróżny z przedziału poszedł właśnie do restauracyjnego. Jacques dotarł do toalety. Zajęta. Merde! Forsując łącznik do sąsiedniego wagonu, spojrzął przez szybę...

Było ich dwóch, Łysoń i drańgal o końskiej twarzy. Szli wolno, zaglądając do każdego przedziału. Tam, gdzie były opuszczone zasłonki, bezceremonialnie otwierali drzwi. Najwyraźniej szukali kogoś. Vitry poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny. Cofnął się i pobiegł z powrotem. Znajdą, na pewno go znajdą! Nawet jeśli doskoczyłby do hamulca i zatrzymał pociąg, i tak na swych krótkich nóżkach nie miał szansy im uciec.

Znalazł się ponownie w swoim przedziale. Współpodróżny jeszcze nie wrócił. Na półce leżała jego walizka. Na szczęście nie zamknięta na kluczyk. Błyskawicznie podjął decyzję, otworzył okno i paroma ruchami pozbył się zawartości sakwojaża. Rankiem chłopci z okolic Kutna będą zbierać z okolicznych drzew luksusowe koszule i eleganckie garnitury, rozprowadzając o cudzie konfekcyjnym. Po opróżnieniu walizy wlaźł do środka i nakrył się wiekiem. Kroki na korytarzu były tuż-tuż.

Na wysokości Komorowa szosa warszawska tworzy długi, kiepsko wyprofilowany łuk, zmuszający kierowcę do wyjątkowej uwagi. A i tak mogą spotkać go niespodzianki. Tym razem dostarczył ich pies. Łaciaty kundel, który nagle wypadł na jezdnię. Huba przyhamował, lecz grzmotnął zderzakiem czworonoga. Ten wywinął ze skowytem salto i potoczył się do rowu. Tylko pasy powstrzymały Złockiego od walnięcia głową w szybę. Zmęczony opowiadaniem i przytłoczony nadmiarem wyrażeń, przysnął. Teraz gwałtownie wrócił do rzeczywistości.

— Kismet — zaklął inspektor. Ale nie zatrzymał wozu. Przełączył kilkakrotnie reflektory. Chyba nie zostały uszkodzone. Po chwili głowa Jurusia ponownie zaczęła opadać. Zanim kompletnie oddał się Morfeuszowi, nagła myśl przeszła mu przez głowę. Dlaczego Franek zaklął po arabsku?

Boguś cisnął ją na łóżko jak toból z brudną bielizną. Nie krzyknęła, doskonale wiedziała, co teraz nastąpi. Wyczuła to po zapachu jego potu, po przyspieszonym, płytkim oddechu. Bała się, ale odczuwała podniecenie. Jak suka — przemknęło jej. Jednym gwałtownym szarpnięciem zdarł z niej sukienkę i rajstopy. Przewrócił na brzuch, sprawnie uniósł do góry a potem wszedł w nią brutalnie, bez najmniejszego przygotowania. Mocno, tak jak kiedyś. Jęknęła. Ale nie panowała już nad sobą. Twarz Jurusia, którą daremnie usiłowała przywołać w pamięci, stawała się z każdą sekundą odleglejsza. Ona zaś otwierała się przed tym chamem i pogrążała we współrozkoszy. Skowytała, czując jak jego paznokcie orzą jej plecy jak zęby gryzą ramiona.

— Boguuś, ach Boooguś. O, tak. Jeeszcze...

Skapani potem, opadli na poduszki. Bogdan milczał. Uspokajał się. Ona, przeciwnie, odpływała ku jakimś niebotycznym wyżynom. I czekała na powtórkę z rozrywki.



Ręce inspektora spoczywały pewnie na kierownicy. Ale na jego zmęczonej, dziwnie opuchniętej twarzy perlił się pot. Jakby w wyniku ogromnego wysiłku. Skręcili w stronę „miasta ogrodu”.

— Gdzie teraz? — trącił łokciem dziennikarza. Rozespany Złocki podniósł powieki.

— Trzeba się cofnąć w kierunku Wschodniej. Byłem tam tylko raz... Nie pamiętam nawet nazwy ulicy.

— Głuszców 32A — mruknął półgłosem inspektor.

— Skąd znasz ten adres?

— Był w notatniku Krystyniaka... Tyle że zapisany w sanskrycie, ha, ha... Ach, prawda, tak zajmująco opowiadałeś, że nawet nie zdążyłem ci powiedzieć, że przydzielono mi sprawę jego samobójczej śmierci.

Ciekawy zbieg okoliczności, pomyślał Jerzy. Z trudem opanowywał ogarniający go dygot. Jak to było możliwe — najpierw ten *kismet*, teraz przechwalanie się znajomością sanskrytu. Franek jako jeden z tamtych? Wyzwolili w nim pamięć genetyczną? Ale jak, po co?... Złocki nie miał pojęcia, co robić.

Stali już pod drewniakiem. Duży, odkryty transformator na słupach rzucał cień na pokryty śniegiem trawnik.

Poniżej tabliczki: „Bacność, wysokie napięcie” uformowała się całkiem spora zaspą. Dookoła panowała absolutna cisza.

— Idź przodem! — rzucił Złockiemu Huba.

— Poczekaj, tylko się odpryskam.

— Nie teraz — warknął major. I dorzucił: — Nie kombinuj, jak mnie przechytrzyć, Jurek, nie masz szans.

— Co?

— I nie udawaj, że nie wiesz, że ja już wiem, że ty wiesz. Przykro mi, stary, ale tak się złożyło. Ruszaj. Nie chcę stosować niepotrzebnej przemocy wobec kolegi z podwórka...

— Mój Boże. Franek, co oni z tobą zrobili?

— Nic. Jedynie obudzili. Jestem sobą bardziej niż kiedykolwiek.

— I nie możesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi?

— Nie, tobie nie.

— No to, obudźcie i mnie, dołączę do was, kimkolwiek jesteście.

— Nie ma takiej potrzeby! Nie ma takiej potrzeby.

Mówił jak automat. Automat, w którym było nie więcej niż parę procent Franka. Juruś desperacko nabrał powietrza w płuca.

— Uciekaj, Anno, uciekaj! — wrzasnął.

Zza drzwi dobiegł rumor. Huba uderzył Jurusia łokciem w dołek, a kiedy ten zgiął się, użył go jako taranu, wyłamując wąły zamek. Drzwi rozwarły się. Pokój oświetlała słabo nocna lampka. Naga Anna próbująca się otulić prześcieradłem stała na łóżku ze źrenicami rozszerzonymi lękiem.

— Jesteś sama? — spytał inspektor.

Potwierdziła skinieniem głowy. Huba rzucił Złockiego jak worek na łóżko i nie odwracając się, kopniakiem w tył zamknął drzwi. W tym momencie na jego plecy spadło dziewięćdziesiąt osiem kilogramów Bogusia. Cwaniak przyczaił się za drzwiami... Na policjancie nie zrobiło to jednak żadnego wrażenia. Przerzucił napastnika ponad głowę. Do przodu. Nie pozwolił jednak mu upaść. Tylko unieruchomił, a potem zakleszczywszy jego głowę w jednej ręce, drugą przekręcił z łatwością, jakby wyłączał światło, i skręcił Bogusiovi kark.

— Nie... — krzyknęła Anna i opadła na łóżko.

— Cicho — wycedził podinspektor. — To było niezbędne, niewiasto. Obrona konieczna. Sam się prosił. Poza tym to był pasożyt, drobny kryminalista...

Złocki niezdarnie usiłował przytulić szlochającą dziewczynę:

— Czy zdajesz sobie sprawę, co zrobiłeś?

— Niestety, gdy są przyczyny, muszą być skutki — Huba mówił bardzo powoli. — Wplątaliście się w to z własnej woli. A ja muszę posprzątać.

— On chce nas zabić? — do Anny dopiero teraz dotarła cała groza sytuacji. — Dlaczego?

Huba wzruszył ramionami:

— Za dużo wiecie!

— Przecież my nic nie wiemy! — Złocki gorączkowo rozważał wszystkie znane z powieści sensacyjnych patenty. Jednak żaden odpowiedni nie przychodził mu do głowy. — Powiedz przynajmniej, co jest grane. O jaką stawkę chodzi?

— O najwyższą. Teraz grzecznie pójdziemy do kuchni.

Ustuchali potulnie, patrząc, jak odkręca wszystkie kurki od gazu łącznie z piekarnikiem.

— Pan chce nas otruć? — jęknęła dziewczyna.

— Mały wybuch jest sposobem praktyczniejszym — odparł z prostotą.

— Nie zrobisz tego, nie możesz! — zawołał Jerzy.

— Mogę. I muszę.

W tym momencie ręka Złockiego zacisnęła się na trzonku kuchennego noża.

— Za wolno, przyjacielu — zaśmiał się Huba, obalając go na podłogę. Potem wyciągnął dwie pary kajdanek i przykuł swe ofiary do grzejnika... — Gdzie są korki? — zapytał Anny. — Mów, i tak znajdę. Po co mam wam zadawać ból?

Głową wskazała korytarz. Franciszek niespiesznie wykręcił korek, pograżając całe mieszkanie w mroku. Zapalił policyjną latarkę. Następnie rozbił kontakt w kuchni i wsadził w niego szeroko rozwarte nożyczki.

— Teraz poczekamy, aż zgromadzi się więcej gazu, potem wystarczy włączyć prąd i powstanie małe śpięcie. No i... łuup.

— Naprawdę nie możesz powiedzieć nam, o co w tym wszystkim chodzi? — mimo panicznego strachu w Jurusiu kołatała się dusza reportera. — Jeśli i tak mamy umrzeć, to objaśnij nas przynajmniej za co!

— Nie. Mogę najwyżej powiedzieć tyle: to sprawa tak wielka, że jesteście w niej mniejszym prochem niż kruszyny chleba na obrusie. Nie jestem sadystą, robię, co muszę. Jeśli przyniesie wam to jakieś ukojenie, to proponuję pomodlić się albo pocałować.

Milczeli przytuleni. Ogarnęła ich dziwna apatia, stan bezwładu; nie próbowali krzyknąć ani szarpać się. Coraz mocniejszy smród gazu drażnił ich powonienie. Zegar nad stołem tykał nieubłaganie. Usta Anny poruszały się bezdźwięcznie. Chyba się modliła. Poszedł w jej ślady, zamknął oczy. Starał się przywołać w myślach obraz małego kościółka, w którym jako dziecko modlił się ufnie, naiwnie. Nie chciał więcej rozmawiać z Frankiem. Wiedział, że z równym powodzeniem mógłby błagać o litość automat. Czuł wtulone w siebie drżące ciało Ani, jej trzepoczące serce. I myślał o tych wszystkich nocach, które mogliby spędzić razem, a nie spędzą... Ile minęło czasu, kwadrans, pół godziny... Czy była to cała wieczność, czy jedynie mgnienie?

Skrzypnęły drzwi do kuchni. Huba odkręcił się raptownie kierując snop światła w ciemny otwór.

— Docent!?! — wykrzyknęli więźniowie.

Tak, w drzwiach stał Krystyniak. Nie zmyta krew zakrzepła na jego twarzy. Pogruchotane kończyny

wyglądały na całe i gdy szedł, funkcjonowały zupełnie normalnie.

— To ty... — z gardła Huby wydobył się charkot. I klątwy w jakimś pradziejowym języku. Sięgnął po pistolet,

— Zatrzymaj się — powiedział Docent, wbijając weń wzrok.

I policjant zastygł jak żona Lota. Krystyniak podszedł do funkcjonariusza, wyciągnął mu z kieszeni kluczyki od kajdanek i uwolnił Annę i Jurka. Im również z wrażenia odebrało mowę.

— Wychodzimy — powiedział łagodnie wybawca. — Czekajcie na mnie w samochodzie! — Głos niewątpliwie należał do Krystyniaka, ale Jerzy wyczuł w nim nową intonację.

W korytarzu Docent otworzył okno do ogrodu, a następnie z zewnątrz długą deską nacisnął główkę korka, po czym padł twarzą na ziemię.

Błysk, huk eksplozji. Baraczek rozsypał się jak domek z kart. Ciśnięte podmuchem ciało Huby wylądowało na transformatorze. Kolejny błysk elektrycznego zwarcia i zewłok funkcjonariusza, niczym worek szmat, wpadł w śnieżną zaspę.

— Mój Boże, dokonałeś prawdziwego cudu, Robercie! — wykrzyknął Złocki.

— Nie mieliśmy pojęcia, że żyjesz — dorzuciła Anna.

— Niestety, nie jestem Robertem — powiedział wybawca prowadząc ich w stronę znajomego mercedesa z „Rent a car” — chociaż, nie taję, mam z nim trochę wspólnego.

7. Między Intercity a Internetem

Pamięć rodzinna. Zanim podmuch eksplozji wysłał podinspektora Hubę na spotkanie z tysiącami woltów, w jego mózgu przekreślił się film ze stu minionych cykli po sześćdziesiąt cztery lata każdy. Kilkaset życiorysów jego przodków z tych wszystkich pokoleń, które oddzielały go od Jedenastego ze spiskowców. W rozbłysku skoncentrowanej świadomości zobaczył więc swoją matkę Reginę (rocznik 1924), cichą, zawsze nieco przygaszoną kobietę, która nigdy nie obudziła się z letargu powszedniości, i babkę, pokojówkę we dworze na Kresach, która ulegała młodemu, ukrywającemu się w sianie komuniście Staszewi (rocznik 1905). Tenże funkcjonariusz Kominternu nawet nie wiedział, że przebudzony w 1932 roku stanie się aktywnym uczestnikiem Przedostatniej Fazy. Ów płomienny internacjonalista był synem Antoniego, polskiego bojowca z 1905 roku (urodzonego w 1881), pochodzącego z dobrej rodziny szlacheckiej. Z pewnym zażenowaniem wspomnieć jednak można, iż matka Antoniego, Eugenia, poczęła go pozamałżeńsko z przystojnym oficerem Ochrony (rocznik 1855)... I tak dalej i głębiej — Rosjanin, Prusak, Szwedka, Francuz... A jeszcze dużo wcześniej: Got, Rzymianin, Celt, Grek, Asyryjczyk... Aż do wspomnień najdawniejszych. Owe Ciepłarni rajskiej dawno utraconej. Gdyby miał więcej czasu na refleksje, z pewnością uderzyłoby go podobieństwo ostatniej chwili świadomości z momentem Obudzenia. Z błyskiem oczu Chińczyka i paroma słowami pradawnymi, niczym kod komputerowy odblokowującymi pamięć. Wtedy też uderzył go potężny wstrząs, przypominający rozdarcie wielkiej kurtyny. Jakby nagle pod dwuwymiarowym obrazkiem z komiksu otworzyła się ogromna perspektywa. Raptownie spoglądając w siebie, poczuł się jak w bezkresnym gabinecie luster, dojrzał niezliczoną mnogość własnych wcieleń, własnych replik, w tylu kostiumach i wariantach... Na chwilę zmiażdżyło go to, odebrało mowę, przeraziło, albowiem wydało mu się, że niepodobieństwem będzie nad tym zapanować...

Ale zaraz potem stary Chińczyk wymówił jeszcze parę słów, które obudziły w Hubie wolę walki, wzmocnioną przez imperatyw posłuszeństwa Sprawie. Nagle poczuł tożsamość z dążeniem, które nie opuszczało ich rodu od wieków, z pragnieniem zmierzenia się z Ojcem i wydarcia mu jego władztwa. Tak, był potomkiem — Jedenastego, a właściwie był Jedenastym — krzepkim, ciemnowłosym człowiekiem pamiętającym wszystko, a najmocniej moment bezgranicznej trwogi, gdy ciśnięty mocą Twórcy opadał w głąb generatora. W ciągu paru chwil rozmowy zdołał też w starym Chińczyku poznać Umiłowanego, dowiedzieć się o Spadkobiercach budzących się samorzutnie i zrozumieć, na czym polega jego zadanie.

Upadek na transformator kończył ten krąg zdarzeń, ale Huba zdążył jeszcze (jak przedziwnie długo trwał ten ostatni lot!), odczuć żal, że nie pozostawia potomka i że na nim kończy się jedna z tych linii prastarych...

A ciemność zamknęła się nad nim jak woda w bezksiężycową noc.

Pokolenia pokoleń... Spisek wszech czasów. Odnowiający się co 64 lata wraz z cyklicznymi przebudzeniami potomków Umiłowanego. Co 64 lata następował kolejny przyptyw skoncentrowanych marzeń o odwecie. Zda się, beznadziejnych. Albowiem aby z Nim się zmierzyć, musieli Mu dorównać.

A kimże się stali w tamtych pierwszych pokoleniach? Rozproszonymi, od Nilu po Huang–ho, wtopionymi w hordę przedstawicieli serii HS 2 nomadami. Rozbitkami, szukającymi się po omacku. Dzikusami, rozdartymi między pragnieniem zemsty a niemożnością realizacji.

Jakże uwierał ich ten kostium plugawy, te skóry cuchnące, ta strawa ledwie okopcona, gdy w pamięci żył zapach zielonych łąk Cieplarni, pełen pokrzykiwań rajskich ptaków i słodczy nektaru sączonej z kurków o kształcie kwiatnych kielichów.

A czymże stawali się po przebudzeniach? Okruchami rozbitego kryształu? Zakonspirowanymi kanarkami w stadzie plugawych wróbli? Jeśli w którymś z przebudzeń dwóm z nich udało się spotkać, to był prawdziwy sukces. Przeważnie nagle odzyskiwali pamięć i przez krótki czas świadomej egzystencji pozostawali samotni. Mózgowcy wśród prymitywów. Sfrustrowani mrowiem zapamiętywanych porażek, a zarazem świadomi swej wyższości. Co gorsza prędzej czy później rozpoznawano ich jako groźnych dziwolągów. Przerastając współplemieńców o całe epoki, traktowani byli jak odmieńcy. Często ginęli ukamienowani, wbici na pal lub zakopani w mrowisku. Wyjątkowo rzadko udawało im się zdobyć status wioskowego szamana lub kapłana, a i wtedy musieli ukrywać swą bogatą wiedzę w pokrętnej mistyce i iluzjonistycznej magii. Oczywiście, uczyli się coraz lepiej maskować. Intuicyjnie rozpoznawać innych Spadkobierców, jeśli takowi znaleźli się w pobliżu. Dzięki pamięci paradoksalnie zachowywali to, z czego postępująca cywilizacja odzieraa zwyczajnych ludzi — pierwotny węch dzikiej bestii, sokoli wzrok, psi słuch, zwierzęcą intuicję. Jakiś czas pomagało to w przetrwaniu, lecz cóż mogli więcej? Dysponując jedynie kamienną bronią, otoczeni przez współplemieńców niewiele inteligentniejszych od szympansa nie mogli marzyć o dorównaniu Temu, który ich stworzył. Nie mogli przeskoczyć przepaści technologicznej. Nawet jeśli podsuwali współczesnym kolejne wynalazki, przeważnie spotykali się z oporem materii, a wdrożenia trwały tysiąclecia. Cóż z tego, że dali matematykę Sumeryjczykom czy kalendarz Majom, a jeden z nich, nazwiskiem Heron z Aleksandrii, skonstruował maszynę parową? Jej wykorzystanie w tamtym świecie nie wchodziło w grę. Paru Spadkobierców Historia zna z nazwiska: twórca piramid Imhotep, Echnaton — faraon rewolucjonista... Mimo ich dokonań i inspiracji, rozwój ludzkości dokonywał się powoli. Szczep HS 2 bronił się przed postępem. Jakby wiedział, że u szczytu może go spotkać zagłada. Może zresztą Ten, Który Dał Im Życie, usiłował ochronić Ziemię przed skutkami rewolucji naukowo — technicznej. Zaszczepił nowemu gatunkowi nieufność do nowinek, ustanowił rozliczne tabu, przestrzegał za pośrednictwem proroków. Jedno jest pewne — nie ingerował osobiście. Nie podejmował prób zniszczenia spiskowców. Może zresztą dokonując decydującej korekty, uznał takie rozwiązanie za spóźnione? Nie można też wykluczyć, że zaakceptował ową kroplówkę techniki, aplikowaną HS 2 przez spiskowców, jako korzystny element w jego planie głównym...

Zresztą rozproszeni po świecie „bracia śpiący” bardzo długo nie stanowili poważniejszego zagrożenia. Po obudzeniu, rzadko który z nich przeżywał dłużej niż parę tygodni. Pamięć gatunkowa przywalała każdego z nich, miażdżyła dotychczasową osobowość, dawała świadomość wielkości i marności zarazem. A bezsilność kolejnych pokoleń potęgowała jeszcze ten stan. Ucieczką bywało najczęściej samobójstwo. Mało komu udało się w krótkim okresie obudzonej świadomości spłodzić dziecko, które zachowując w pamięci szok przebudzenia swego ojca, byłoby nań odporniejsze. Dzieci zrodzone w nieświadomości dziedziczyły pamięć, ale były nieodporne na wielki stres.

Tymczasem po kolejnej serii stosunkowo niewielkich korekt Twórca znowu zapadł w sen. Może tym razem zbyt wcześnie.

W roku 628 przed naszą erą Hellada budziła się dopiero do demokracji. Dzięki śmiałym żeglarzom i wielkiej kolonizacji Morze Śródziemne stawało się wewnętrznym akwenem greckim, świat się zmniejszał, kontakty przedstawicieli różnych cywilizacji przestały być tylko marzeniem.

W tym przełomowym dla dziejów Wielkiego Spisku roku spotkało się w Atenach czterech Przebudzonych. Egipski kupiec, babiloński mag i młody pedagog z Jonii wiedzeni losem, czy raczej przeznaczeniem, znaleźli się równocześnie w wiejskim domu Drakona, wybijającego się arystokraty, który rychło zostawszy archontem, miał zasłynąć jako pierwszy twórca praw, co choć sprawiedliwe, weszły do historii jako „drakońskie”, aliści to one właśnie zapoczątkowały grecką demokrację.

W pamięci następnych pokoleń obraz ten, obok wspomnień Ciepłarni, należał do najtrwalszych. Dźwięk fletni, ciężka woń wina pomieszanego z suchym powietrzem niosącym zapach oliwnego sadu. Zabawne, ale dwudziestowieczny potomek maga miał wciąż przed oczami piękny, rdzawy odcień włosów usługującej niewolnicy z Północy i ornament krateru, nim ten, przypadkiem upuszczony, roztrzaskał się o marmurową podłogę.

Wiedzeni impulsem, w pół roku po obudzeniu rozpoznali się i porozumieli bez trudu. Po sumeryjsku. Ustalili program działania — odszukać pozostałych potomków Umiłowanego, a zarazem pchnąć rozwój ludzkości nowymi torami: rozwijając miłość wiedzy. Owa słynna grecka „filosophia” miała stać się zrębem nowej cywilizacji. Wyzwolić człowieka z okowów zabobonu i tabu plemiennych, stworzyć myślenie indywidualistyczne, a następnie tak ukształtowanemu osobnikowi ukazać drogę rewolucji technicznej i postępu. Który z czasem miał stworzyć warunki do ostatecznej rozgrywki!

— Pięćset lat, kilkanaście pokoleń powinno wystarczyć — twierdził optymistycznie mag.

— Miejmy nadzieję — zgodził się kupiec.

— Niezależnie ile to potrwa, musimy działać — podsumował Drakon.

W ciągu następnych lat Czwórce udało się odnaleźć jeszcze jednego Spadkobiercę — starego Etruska z miasta Ruma. Kiedy spotkali się po raz wtóry, Drakon rządził już de facto Atenami. Podjął ich w drewnianym pałacu na wzgórzu akropolis, z którego widać było wybrzeże morskie z jednej, a szczyty Parnasu z drugiej strony.

Podczas biesiady dokonali znamienego odkrycia. Oto byli w stanie przekazywać sobie nawzajem swoją specyficzną energię. Wzmacniać własne siły. Jakże dodało to im ducha do dalszych działań.

Jończyk z Miletu upatrzył sobie młodzieńca imieniem Tales, któremu przekazał znaczną dozę posiadanych umiejętności matematycznych, z kolei Drakon wybrał na ucznia niejakiego Solona.

I choć nigdy więcej nie spotkali się w tym składzie, bo Chaldejczyk zginął w trakcie zamieszek w Babilonie, a Egipcjanina pochłonęła burza piaskowa, ziarno zostało zasiane. A Twórca spał. Może trochę mniej spokojnie.

Dobre pół godziny jechali drogami szóstej kategorii odśnieżania. Złocki mógł się jedynie domyślać, że kierują się ku ostępom Puszczy Kampinoskiej. Gdy rozdygotana Anna spytała kierowcę o cel ich podróży, ten odparł:

— Wybrałem dla was bezpieczną leśniczówkę.

— Ale kim jesteś? — dopytywał się Złocki. — Skoro przyznałeś, że nie Krystyniakiem, mimo że nosisz jego ciało, to kim? Czy mamy do czynienia z duchem, czy z kosmitą? Ja osobiście nie mam żadnych przesądów w stosunku do mniejszości...

— Dojdziemy i do tego, przyjaciele. W tej chwili najważniejsze jest zapewnić wam schronienie, musicie odpocząć. Sytuacja rozwinęła się tak niekorzystnie, że być może będziecie mi potrzebni. Do tej pory przeszkadzaliście mi, z wiadomym skutkiem. Teraz chyba skazani jesteśmy na współdziałanie...

— Już wiem, ty jesteś Alvarezem! — wykrzyknęła Anna.

— Powiedzmy, że byłem nim przez pewien czas, zanim wskutek nieostrożności Docenta mnie nie zdekonspirowali. A znajdowałem się tak blisko celu...

— Jak mamy współdziałać, skoro nie wiemy, na czym to wszystko polega. O co tu chodzi?

— W tej chwili im mniej wiecie, tym lepiej — odparł wymijająco. — Zaufajcie mi.

— A właściwie dlaczego sądzisz, że ci uwierzymy, skoro ty nie chcesz nam zaufać? — w głosie Leśniewskiej pojawiła się nuta zniecierpliwienia.

— Ponieważ nie macie innego wyjścia. Pan Złocki chyba już wie, że go ostrzegałem od początku, aby nie interesował się sprawą Alvareza.

— To ty byłeś w moim mieszkaniu?

— Ja. Co więcej, zmusiłem nawet twojego szefa, by nie drukował twojego tekstu. Skądinąd bardzo zajmującego.

— Do diabła, jak tego dokonałeś?

— Są metody.

— Ku czemu to wszystko zmierza? — głos Anny był spokojny i stanowczy.

— Powiedzmy, że istnieje grupa ludzi... dość specyficznych... umownie nazwijmy ich Spadkobiercami. Z pokolenia na pokolenie cyklicznie podejmują niezwykle ryzykowne dla ludzkości

działania. Powiedzmy, że obecna generacja znalazła się niebezpiecznie blisko upragnionego celu. A ja muszę im w tym przeszkodzić... Byłem tuż-tuż. Przez wiele lat czekałem na taki moment. Udało mi się w skórze Alvareza wkraść w szeregi spiskowców. Dzięki wstrzymaniu twego artykułu, nie dowiedzieli się o śmierci Hiszpana, co więcej, mogłem odgrywać wobec Lee Mingha rolę gospodarza. I tak, po raz pierwszy w historii naszych rozgrywek nie rozpoznany wcisnąłem się na ich konwetykl... Już prawie przejrzałem ich plan... Niestety przeszkodziliście mi. Wiem, że niechcący, niemniej wszystkie przygotowania poszły na marne. Rozszyfrowali mnie, zabili Krystyniaka, obudzili tego nieboraka majora, teraz prawdopodobnie szukają monsieur Vitry'ego i was...

— Ale dlaczego. Przecież tak niewiele wiemy.

— Są ostrożni. Ziarenko piasku może zniszczyć misterny mechanizm zegarowy. Zbliżając się do decydującej fazy, nie mogą pozwolić sobie na ryzyko, na świadków.

— Z twoich słów wynika jednak, że nie poddasz się?

— W żadnym wypadku!

— Chętnie więc ci pomożemy i odkupimy naszą winę. Powiedz tylko jak? I zdradź, kim oni są!

— Jeszcze nie pora!

Anna dotknęła policzka Docenta. Był ciepły, jedynie lekko spocony.

— Możesz przynajmniej powiedzieć, kim jesteś? Zombim? Chwilę milczał, a potem mruknął:

— Dojeżdżamy do leśniczówki.

Energiczne szarpnięcie drzwi. Ktoś wszedł do przedziału. To musieli być oni. Jacques Vitry nie mógł mieć wątpliwości. Nawet w pociągach typu Intercity nikt nie mówi starą klasyczną greką.

— Musi gdzieś tu być — mówił baryton.

— Chyba że wyskoczył w biegu — domniemywał tenorek.

— Co ty, życie mu niemiłe?

— Przecież i tak wie, że nie będzie miał z nami życia.

— Nie wie, że go szukamy.

— Żyd go ostrzegł.

— Dopuszciliśmy ich za blisko.

— Nikt nie mógł przewidzieć...

— Ten Alvarez od pierwszej chwili wydawał się podejrzany. Jak on mógł nas zmylić.

— Pewnie zabił starego. Nie takie numery już nam robił.

— Na co tu czekamy. Nie idziemy dalej?

— Nie gorączkuj się. To ten przedział. Zobacz, jego płaszcz, a właściwie płaszczyk. Musi wrócić. Czuję zapach tego kurdupla, jeszcze przed chwilą tu był.

— W takim razie zostań, a ja sprawdzę do końca skład.

— W porządku. Sądzisz, że w Warszawie sprawa jest już wyczyszczona do końca?

— Na pewno! Nie bez powodu Lee Mingh obudził tego polskiego policjanta.

— Dopełnia trzynastkę. Jednak Alvarez to duża strata.

— Cholerna. Potrzebowaliśmy szwajcarskiej forsy. Ale Chińczyk sobie poradzi.

— Wiem, mamy drugi wariant. Tak czy siak za miesiąc będzie po wszystkim... Po sześciu tysiącach czterystu latach.

Jacquesowi Vitry'emu nagle zrobiło się słabo. Pojął, o co gra idzie. I do czego zmierzają jego prześladowcy.

Leśniczówkę zastali pustą, ale doskonale przygotowaną na przyjęcie gości. Było napalone w piecach, w lodówce oczekiwało mnóstwo żywności.

— Czy zatrzymujemy się na dłużej? — spytał Złocki.

— To będzie zależało...

— Od czego?

— Wypocznijcie. Mieliście chyba dość przygód.

— Pan chyba też.

— Jestem do nich przyzwyczajony.

Ich wybawca zniknął w łazience. Kiedy wrócił, wyglądał jak bardzo mało używany docent Krystyniak. Siniaki i zablźnione rany pozostały, ale krew została zmyta, a opuchlizna zniknęła. Jakże niebywale szybka regeneracja zachodziła w organizmie tego człowieka.

— Możecie położyć się w gościnnym łóżu — zaproponował.

— A pan?

— Ja spać nie muszę. Zresztą wracam do miasta. Trzeba sprawdzić, co się tam dzieje.

— To ryzykownie. Pewnie nas szukają!

— Jeśli nie będziecie mi przeszkadzać, nie będzie żadnego ryzyka. Mówiłem już, wasze wmieszanie się w sprawę zniszczyło operację, którą przygotowywałem od ponad pół wieku...

— Pół wieku? To ile pan ma lat?!

— Dobranoc.

Zgasił światło.

Łysoń wyszedł z przedziału. Człowiek — Koń pozostał na czatach. Vitry nawet nie mógł marzyć o opuszczeniu walizki. Uchyliwszy delikatnie wieka zastanawiał się, jaki efekt mógłby przynieść skok na głowę prześladowcy połączony z wbiciem mu długopisu w oko. Rozważania pozostały jednak tylko w sferze teorii. Powrócił niemiecki biznesmen — właściciel walizki. Najedzony pogwizdywał pod nosem. Lekko zdziwił się, widząc w przedziale zamiast karzełka sękatego drągala.

— W mojom kupie chłodno — wyjaśnił Szkapowaty, natychmiast wrcielając się w rolę Rosjanina.

Pasażer usiadł poniżej swej walizki, ukrył twarz w fałdach wiszącego płaszcza i spokojnie zachrapał. Po dziesięciu minutach wrócił Łysoń.

— Nie ma go nigdzie — sapnął.

— Czyżby nas przechytrzył?

Łysoń nie odpowiedział tylko niuchnął potężnym nosem.

— Dziwne, jego zapach jest teraz intensywniejszy niż przed kwadransiem. On tu musi być.

Wzrok obu skierował się ku walizce.

— Poproszę o bilety do kontroli — zabrzmiał naraz głos konduktora.

Obrócili się. W tym momencie mała rączka Jacquesa wyłoniła się z walizy i ile sił szarpnęła za hamulec bezpieczeństwa. Rozległ się gwałtowny pisk blokowanych kół, szarpnięcie zważyło obu mężczyzn z nóg. Konduktor miał jeszcze gorzej, pokoziołkował w głąb wagonu. Vitry, przygotowany na wstrząs wytrzymał szarpnięcie, a potem dwoma susami po grzbietach gramolących się mężczyzn wypadł na korytarz. Z przedziałów wyłaniali się rozbudzeni podróżni. Karzeł zwinnie przesmyknął im między nogami i dobiegł do drzwi. Łysoń wstał i wypadł z przedziału. Konduktor zagroził mu drogę.

— To pan użył hamulca? — zaatakował urzędowo. Łysoń chciał go odepchnąć, ale z przedziału obok wyrzwał oficer policji.

— Co tu się dzieje, obywatelu?

Mieli przykazane — żadnych afer, bijatyk, jak najmniej zwracania na siebie uwagi. Toteż Łysoń, mocno spuściwszy z tonu, zaczął tłumaczyć po niemiecku, że zaszła pomyłka. W tym czasie Człowiek Koń otworzył okno i zwinnie jak szarżujący tygrys wyskoczył w mrok.

Jeszcze tydzień temu szkapowaty — jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Karl Renz — spokojnie prowadził nieduży antykwariat w Monachium, nieopodal Rathausu. Do jego nielicznych szaleństw należał}’ sporadyczne wypady z przyjaciółmi na piwo do Brunnenhof. Prawdziwą naturę antykwariusza — dziedzictwo kilkunastu pokoleń zawodowych morderców i urodzonych wojowników — skrywała niepamięć. Wystarczyło jednak, że tamtego przedpołudnia do sklepu wszedł Stary Chińczyk i rzucił hasło, aby wszystko wróciło: wspomnienie twarzy człowieka zakłutego w zaułku Bagdadu i męki przesłuchiwanym albigensów, gdy pracował jako oprawca dla Szymona z Monfort, sekretne zlecenia Cezara Borgii i jego słodkiej siostrzyczki, praca przy lyońskiej gilotynie czy przedostatnia, jakże pracochłonna fucha w Gestapo.

Znów był w swoim żywiole. Opadł na ziemię i w sposób kontrolowany skoziłkował z nasypu. Liliput musiał się znajdować po drugiej stronie pociągu. Ale to nie miało większego znaczenia. Niemiec przecisnął się jak żmija pod kołami wagonu. Oczywiście, ten mikry idiota nawet się nie krył. Biegł w stronę skutej mrozem rzeki. Po drugiej stronie rozciągało się miasto. Nie miał szansy tam dotrzeć przed rączym zabójcą.

Strach pomieszał mu rozum, pomyślał Renz i pobiegł za Jacquesem Vitrym, który, nie wahając się, wbiegł na skutą lodem rzekę.

Niemiec był tuż za nim. Zbliżał się szybko. Chyba za szybko. Tego doświadczenia nie przekazały mu geny. Może dlatego, że prawie wszyscy jego przodkowie żyli w regionach ciepłych. Karygodny błąd! Podążając za Jacquesem, wbiegł na lodową taflę, nie pomyślawszy, że zamarznięta skorupa, mimo marcowych chłódów, nie musi być równie tolerancyjna dla dwudziestosiedmiokilogramowego mikrusa, jak stukilowego mężczyzny.

Jakoż po kilkunastu krokach lód załamał się z trzaskiem, a Człowiek–Koń uczył, jak otwierają się przed nim chłodne nurty Warty. Do Łysonia, który dopiero wydostał się z pociągu, dobiegł zdławiony krzyk. Renz próbował jeszcze chwycić się krawędzi przerębli, ale ta wysunęła mu się z rąk, a wezbrany nurt uwięzionej pod zimowym pancerzem rzeki pociągnął go pod lód i włókł mrocznym tunelem. Morderca usiłował jeszcze wydobyć broń, ale nie mógł rozpiąć marynarki, zachłystywał się wodą. Kompletnie stracił głowę. Mimo ogromu doświadczeń z sześciu tysiącleci, osobiście umierał po raz pierwszy... Łysy zaklął. — Co za kretyn!

Nie miał zamiaru iść w ślady partnera. Wrócił na nasyp i pobiegł w stronę mostu. Jednak kiedy znalazł się po drugiej stronie Warty, po małym Vitrym nie było już śladu.

Obudziło go nadspodziewanie silne słońce świecące mu prosto w oczy. Przez moment Złocki, zawieszony między snem a dniem, usiłował przypomnieć sobie, gdzie jest i jak się nazywa. Na wprost twarzy zobaczył jeleni łeb, wpatrujący się w niego wytrzeszczonymi oczyma. Malował się w nich taki wyrzut, że dziennikarz czym prędzej przymknął powieki. Od razu przyjemniej. Czuł we wszystkich mięśniach rozleniwiające ciepło, poruszył się i zrobiło mu się jeszcze cieplej. Ostrożnie odwrócił głowę. Obok na poduszce czerniły się rozsypane loki, przechodzące niżej w przepięknie toczony ramiona... Złocki ostrożnie nachylił się w ich kierunku. Wolał sprawdzić, z kim spędził noc. Dawno temu na obozie naukowym w ostatniej chwili przed szturmem na ciało dzielące z nim pryczę zorientował się, że po pijackiej nocy usnął w jednym łóżku z brodatym hippisem, jedynie od tyłu przypominającym hiszpańską senioritę. Wszelako tym razem współspaczka z całą pewnością hippisem nie była. Kiedy kontrolnie uniósł kołdrę, zobaczył, jak ramiona przechodzą w przepiękne plecy, natomiast z przodu...

Anna ziewnęła i odwróciła się. I naraz miał ją w ramionach. Nagą, gorącą snem i kuszącą namiętnością. W nocy musiała się rozebrać i umyć. Juruś, nieludzko zmordowany przeżyciami poprzedniej doby, zasnął nie tylko w ubraniu, ale nawet nie zdjął skarpetek. Gwałtownie począł wysupływać się z odzieżowego kokonu. Nie otwierając oczu, miauknęła jak kotka:

— Nie spiesz się. Mamy czas. Rozbierz się, wykąp. Ja poczekam.

Oczywiście posłuchał jej.

A kiedy wrócił, czekała na niego odrzuciwszy kołdrę, naga, wsparta na łokciu, prawdziwa *Maja naga*, z uśmiechem tak niewinnym, jaki spotkać można jedynie u pańienek z naprawdę dobrego domu.

— Czy ty aby nie masz grzesznych zamiarów, Juruś?

— Ja, ależ Annette, o co ty mnie podejrzewasz?

— To powiedz, co chcesz mi zrobić?

— Przecież wiesz'

No i kochali się cały ranek, jak marcowe koty, robiąc niewielką przerwę na drugie śniadanie, potem trzecie śniadanie, następnie czwarte śniadanie...

Złocki miał w swoim życiu dwie żony, parę kochanek i kilka trudnych do zdefiniowania epizodów seksualno–gimnastycznych, ale tym razem miał wrażenie, że kocha się po raz pierwszy. Annette (coraz częściej nazywał ją imieniem, które nadal jej Jacques Vitry) akceptowała go i w niepojęty sposób sprawiała, że on gapa, nerwus i erotyczny egoista stawał się w jej ramionach kochankiem wszech czasów, łączącym jurność Zeusa z wirtuozerią Kriszny.

— Kochasz mnie, ty naprawdę mnie kochasz — wołała w uniesieniu dziewczyna, a rumieniec z twarzy wylewał się na jej ramiona i piersi.

— A myślisz, że co robię, gram na fortepianie?

Wielowiekowe doświadczenie nakazywało Łysoniowi ostrożność. Taką samą, z jaką w rodzinnym Londynie zajmował się handlem bronią. Na jego wizytówkach widniało: „Herbert Trenton — E.W.T.” I tylko wtajemniczeni wiedzieli, że ten skrót oznacza niewielką, ale operatywną firmę handlującą śmiertelnościami sprzętem. A jeśli zachodziła potrzeba — także i samą śmiercią. Również w poprzednich wcieleniach broń stanowiła przedmiot jego zainteresowań. Był egipskim konstruktorem rydwanów wojennych, płatnerzem w Damaszku, to jego przodek podsunął Archimedesowi pomysł na grecki ogień i był tym anonimowym Chińczykiem, który” udał, że wymyślił proch. Trochę bolało go, że w obecnym wcieleniu musi jedynie ubezpieczać faceta od mokrej roboty, ale spośród pozostałych on nadawał się do tego najlepiej. A i miał w tym względzie niejaki doświadczenie.

Był wściekły, zgładzenie kurdupła miało przypominać zgniecenie muchy, a tymczasem Renz, który zlekceważył mikrogo przeciwnika, stanowił już pożywienie dla ryb. Wszedł do miasta. Po Francuzie ani śladu. Pociągnął nosem. Jego węch, jak wszystkie zmysły ludzi z pierwszej serii, był nieporównywalnie doskonalszy niż u przeciętnych śmiertelników, dorównywał zwierzęcemu. Podobnie było ze wzrokiem i słuchem. W nocy widział noktowizyjnie, a z odległości kilkunastu metrów słyszał bicie ludzkiego serca. I jak ci biedni Polacy chcieli ich podsłuchiwać? Niestety indywidualny zapach karzełka rozplątał się w bukacie niezliczonych woni: spalin, psiej uryny i spoconych nóg obywateli śpiących w okolicznych domach. Gdzie mógł się, szelma, schronić? Na dworcu? Zajrzał, ale tam go nie było. Może wynajął taksówkę i kazał jeździć w kółko po mieście? Jednakże od przejścia przez rzekę nie słyszał zapuszczanego silnika.

Pozostawały domy. Większość jednak nie wyglądała nazbyt gościnne. Drzwi opatrzone wielką liczbą zamków, włączone alarmy, bramy zamykane na elektronicznego pilota świadczyły, że należą do ludzi ostrożnych. Ale czy miniaturowy Vitry musiał korzystać z drzwi? Istniały przecież niezliczone okienka piwniczne, najczęściej nie domknięte, uchylone lufciki, którymi wydostawały się koty, przerwy między kratami w otwartych oknach. Przez żaden z tych otworów nie przedostałby się dorosły mężczyzna, ale nawet wyrosnięty krasnolud nie miałby najmniejszych trudności.

W grę wchodził któryś z domów na peryferiach. Gdyby Vitry pobiegł dalej, Herbert z pewnością usłyszałby kroki uciekającego. Jasne, schronił się gdzieś tam! Uszy Trentona minimalnie wysunęły się ponad czaszkę i rozszerzyły. Był teraz jednym wielkim radarem. Wolno obracał głowę, osłuchując sąsiednie domy.

Wyczuł staruszkę z psującą się zastawką, potężne, zsynchronizowane i bardzo przyspieszone walenie dwóch młodych serc... Potem jego uwaga skoncentrowała się na domu w stylu późnocygańskim, który mnogością wieżyczek i setką dokładnie zakratowanych okien porażał zmysł estetyki. Utkwił wzrok w wąskim okienku u szczytu klatki schodowej. Dolatywał stamtąd intensywny łomot niedużej pompki mięśniowej. Mam go, umiera ze strachu.

Jak wszyscy Przebudzeni, nie odczuwał lęku wysokości i z małą zręcznością potrafił wspinać się

na mury. Przygotował sobie mały gazowy pojemniczek zawierający cyjanowodór. Dotrze do okna, psiknie, zeskoczy i problem pod nazwą Jacques Vitry należeć będzie do przeszłości.

Ruszył do góry. Łomot serca wzmógł się.

— Wiesz, że idę po ciebie, tym lepiej.

Mimo odczuwanej satysfakcji postanowił być ostrożny. Nie, nie wsadzi głowy do otworu, wystarczy wsunąć rękę i psiknąć.

Kraty na oknach klatki schodowej stanowiły doskonałą drabinę. Jeszcze jedna kondygnacja, jeszcze jedna... Wisząc na kracie, zaczerpnął tęgi haust powietrza (przy strzale cyjanowym lepiej nie oddychać), sprężył się...

Strzał. Kula z pistoletu z łatwością przebiła dwie szyby i rozerwała się w trzewiach Łysonia. Oszołomiony, lecąc ku ostrym jak bagnety szpikulcom zwieńczającym palisadę, miał jeszcze czas uświadomić sobie pomyłkę. Ukrytym w willi nie był ścigany kurdupel, tylko szczupły złodziej mieszkaniowy, który tej nocy postanowił obrobić zasobną rezydencję.

O świcie, na dziedzińcu ponurego gmachu przy ulicy Banacha w Warszawie, mieszczącego, sądząc po wywieszkach obok bramy, co najmniej kilkanaście wydziałów, zakładów i pracowni Uniwersytetu Warszawskiego, pojawił się mężczyzna znany w kręgach naukowych stolicy jako naukowy wolontariusz, Robert Krystyniak. Portier wpuścił go z uprzejmym uśmiechem. Szef Zakładu Biofizyki, szkolny kolega Docenta, już jakiś czas temu upoważnił swego przyjaciela do korzystania z sieci komputerowej pracowni. Neo-Krystyniak miał odpowiednią przepustkę, a gdy dotarł na trzecie piętro lewego skrzydła, bez większych trudności wystukał odpowiednią kombinację na zamku kodowym. W chwili, kiedy w kostnicy „tymczasowy” Alvarez wcielał się w Docenta, udało mu się jeszcze zarejestrować słabe promieniowanie mózgowe. Czym prędzej skopiował do swej własnej pamięci wszystko, co nadawało się do skopiowania. Na szczęście zachował się tam szyfr zamka i mnóstwo podobnie użytecznych, informacji. Po chwili znalazł się w jednej z pracowni i siedział przed wielkim ekranem IBM-owskiego komputera.

— RISK System 6000 — mruknął do siebie. — Dobrze. Uruchomił work station. Podał login, a następnie password Krystyniaka. Przeskoczywszy poziom sieci lokalnej, znalazł się w królestwie Internetu.

Kolejne user name i hasło otworzyło mu drogę do baz danych czołowych linii lotniczych. Okęcie — odloty. Drobną manipulacją i już mógł zacząć sprawdzać, dokąd udali się poszczególni uczestnicy warszawskiego konwentyku. Lee Mingh wybrał Zurych. Aż trzech innych, z generałem Iwanowem na czele, zarezerwowało lot do Moskwy.

Sprawdzały się najgorsze przypuszczenia. Spróbował anulować rezerwacje.

— Permission denied. — odpowiedział zimno komputer. Niestety udaremnienie podróży Spadkobiercom przekraczało możliwości hakera. Zrezygnował z tego pomysłu: posługując się innymi, zawczasu zdobytymi kodami i omijając blokady, wszedł do polskiej sieci policyjnej. Przelatywał pliki doniesień z komend terenowych. Szybko natrafił na informację z Koła o zatrzymanym pociągu i chudym mężczyźnie o nie ustalonych personaliach, wyposażonym w broń z tłumikiem, który poniósł śmierć w nurtach Warty. Dziwnym zrzędzeniem losu w pół godziny później, w tymże Kole zginął postawny, nie notowany w archiwach policyjnych osobnik, również nie posiadający żadnych dokumentów. Uzbrojony był w broń gazową, parę sztyletów, komplet śmiertcionośnych strzykawek i pistolet z tłumikiem. Prawdopodobnie razem ze współnikiem włamywał się do domu miejscowego biznesmena. Dom został splądrowany. Wspólnika ani łupów nie odnaleziono. Robocza hipoteza — kłótnia ze skutkiem śmiertelnym przy podziale łupów.

Wszystko wskazywało, że nikt w policji nie powiązał tych faktów ze sobą. Nie poszukiwano też małego mężczyzny, który mimo posiadanego biletu do Berlina, z nie ustalonych powodów pociągnął za hamulec bezpieczeństwa i uciekł, porzucając okrycie wierzchnie i bagaż. — Brawo, Vitry — uśmiechnął się Docent. Pozostało jeszcze poszukać doniesień o Hubie. Z niemałym zdumieniem przechwycił następującą informację:

W trakcie wypełniania obowiązków służbowych został ciężko ranny podinspektor Franciszek Huba (wybuch gazu i porażenie prądem). Odwieziony do szpitala w Grodzisku, walczy ze śmiercią...

— No cóż, dla was, moje diabełki, ta noc nie należała do pomyślnych — mruknął.

Gdyby w tym momencie ktoś wszedł do pracowni, musiałby się porządnie zdziwić, dlaczego zgarbiony mężczyzna ślęczy nad komputerem, nie zapaliwszy nawet monitora. Jeszcze bardziej zaskoczyłby postronnego obserwatora cienki kabel wychodzący z rękawa marynarki Krystyniaka i umieszczony we wtyku łączącym zazwyczaj klawiaturę z twardym dyskiem.

8. Nieoczekiwana zmiana ról

Antyk rozkwitał, a wraz z nim nasilały się kontakty potomków Umiłowanego. W roku 116 przed naszą erą w Aleksandrii udało się spotkać aż siedmiu z samoczynnie przebudzonych. Hellenizm osiągał swe apogeum, kolejne impulsy ze strony osobników z serii HS 1 zapładniały naukę i filozofię. A Spadkobiercy czuli, że wraz z każdym odnalezionym krewniakiem potęguje się ich zbiorowa moc. Oczywiście nie dało się w pełni zakonspirować ich istnienia przed zwykłymi ludźmi, ale nawet jeśli osobnicy z serii HS 2 podejrzewali, że w ich szeregach ukrywają się Inni, to dowodów nie było. Brak rzetelnej wiedzy sprzyjał mitologizacji. W Palestynie szerzyły się liczne podania o zbuntowanych aniołach...

Jeden z bardziej gorliwych Przebudzonych został jako fałszywy prorok ukamienowany w Tyrze, inny, nauczyciel z Damaszku, zginął z ręki ulubionego ucznia, który, częściowo wtajemniczony, uznał swego preceptora za demona. Przekazywane z pokolenia na pokolenie mity i legendy prowadziły do uproszczeń i przeinaczeń, sprowadzając wielki konflikt do prostej rywalizacji Dobra i Zła. Chcąc nie chcąc, potomkowie buntowników dokonywali także i rzeczy dobrych. Inspirowali ludzi do dokonywania użytecznych wynalazków, wprowadzali intelektualny ferment. Naprawdę niebezpieczny był jedynie cel główny. Głosili, że chodzi im o zrównanie ludzi z ich Twórcą i wyzwolenie człowieka z okowów strachu i ciemnoty, faktycznie zaś ukrywali przed maluczkimi, a nawet przed samym sobą swój strach. Zwierzęcy lęk przed końcem eksperymentu. Przewidywali, że prędzej czy później kolejny cykl dzieła kreacji zamknie się, nastąpi przebudzenie Twórcy. I weryfikacja. Czy to w wyniku ich lęków co do oceny dokonań obu serii homo sapiens powstały ludzkie wizje Sądu Ostatecznego? Kto wie?

Oczywiście nawet Spadkobiercy nie mieli pojęcia, czy w przypadku negatywnej oceny eksperymentu nastąpi nowy potop, czy nuklearny kataklizm. W każdym razie powątpiewali w niezmierną dobroć Kreatora. Zresztą ich gatunkowa pycha, rosnąca z pokolenia na pokolenie, nie dopuszczała nawet myśli o podjęciu takiego ryzyka.

Chcieli władzy, władzy nad światem, I w roku 52 przed naszą erą posunęli się dalej niż kiedykolwiek.

Przebudzony Archilos Cedrus był greckim wyzwolencem w służbie Rzymian, znakomitym skrybą, cenionym medykiem i świetnym doradcą, choć zgodnie z praktyką epoki należałoby nazywać go raczej zausznikiem. Dla Sprawy bezcenne okazało się jego uplasowanie. Podczas wojny galijskiej jego dotychczasowy pryncypał. Lucius Titurius, poległ w dość zagadkowych okolicznościach (celtycka strzała ugodziła go od tyłu) i Cedrusa „odziedziczył” sam wódz naczelny. Juliusz Cezar. Trudno sobie wyobrazić lepsze narzędzie do realizacji odwiecznych planów. Uniwersalne Mocarstwo Wschodu i Zachodu mogło stać się tygłem Nowej Cywilizacji, nad którą rząd dusz sprawować by mieli Spadkobiercy.

W roku 51 w Marsylii stała się rzecz niezwykła — spotkało się aż ośmiu męskich potomków Umiłowanego, ośmiu Pamiętających. (Ten ósmy był celtyckim kapłanem, który po przebudzeniu

dobrowolnie oddał się w ręce Cedrusa). Na spotkaniu nakreślony został plan działań obejmujący przekształcenia niesprawnej republiki w centralistyczne imperium, następnie reformę kalendarza, reorganizację szkolnictwa, wreszcie — zastąpienie politeizmu oficjalnym kultem Minerwy — Bogini Rozumu! Wszystkich lekarzy w Rzymie oraz nauczycieli sztuk wyzwolonych obdarzono obywatelstwem, aby tym chętniej mieszkali w stolicy i aby inni tam napływali. Zaplanowano podróże aż do kresów świata, mając nadzieję, że przy ich okazji uda się skompletować magiczną Trzynastkę.

Pełnej realizacji tych zamierzeń przeszkodził geniusz Boskiego Juliusza, który zrazu im sprzyjał, ale wkrótce po opanowaniu Rzymu postanowił się pozbyć zbyt wpływowego wyzwolenca. Nakazał go śledzić. Rychło natrafiono na trop podejrzanych kontaktów... Jeden z najbliższych współpracowników Cedrusa został stracony pod zarzutem cudzołóstwa z żoną rzymskiego rycerza, mimo że nikt nie wnosił skargi w tej sprawie. Sam Cedrus uciekł do Ostii, gdzie dwudziestego dziewiątego lutego 44 roku przed naszą erą (był to pierwszy rok przestępny po dokonaniu reformy kalendarza). Spadkobiercy wyznaczyli sobie kolejne spotkanie.

Jakoż zeszli się w opuszczonym domostwie, zasiedli w kręgu wokół kamienia zastępującego stół, na którym płonęła jedna lampa oliwna. Wiedzeni intuicją, połączyli ramiona i poczuli przepływającą moc.

Nad ich głowami rozszalała się burza. Naraz Celt Herwix wyrwał się z kręgu i wczółgał na kamień, bluźniąc Kreatorowi mową przedwieczną. Towarzysze chcieli go ściągnąć. Atoli gdy ręce wszystkich zacisnęły się na jego członkach, pojawiła się błękitna poświata. I opuściła ich wszelka siła, przechodząc na Herwixa. Pobladli, bez krwi w twarzy osunęli się na podłogę i pozostali tam do świtania, a on powstał silniejszy i młodszy niż kiedykolwiek.

Nie wiedział jeszcze, że stał się pierwszym Strażnikiem, a posiadana moc umożliwia mu budzenie licznych Uśpionych pochodzących od pozostałych braci Umiłowanego i nie posiadających genetycznych budzików. Dotąd słyszeli zaledwie o paru przypadkach samoczynnego odblokowania pamięci u nie-Spadkobierców. Jakże mieli rozpoznawać Uśpionych? Dopomógł przypadek. Świadkiem ich ostyjskiego spotkania był pewien marynarz. Pojmali go i zamierzali zabić, gdy onże pod ciężarem wzroku Herwixa i słów: „Itar Tar”, które same nasunęły się Celtowi na usta, ocknął się i przemówił do nich w pradawnym języku...

Teraz poszukiwania przybrały na sile. Odszukano licznych krewnych żeglarza. Obudzono kilkunastu, którzy stali się potem gwardią Ósemki. Analizując jego linię genealogiczną (bez trudu wymieniał wszystkich swoich protoplastów). Spadkobiercy odkryli, że los podsunął im niezwykle szansę.

Żył w Rzymie mąż w onych czasach sławny, dowódca floty wielkiego Pompejusza, Gajusz Kasjusz Longinus, po galijskiej babce od Piątego ze zbuntowanych się wywodzący. Z początkiem marca powracał on z włości swoich w Kampanii do Rzymu, drogą appijską. Jechał zamyślony, aż naraz wyszedł z kępy cyprysów mężczyzna młody jeszcze, o oczach pałających, i zakrzyknął, aby stanął.

Niewłocznie zamierzyły się na niego gladiusy przybocznych Kasjusza, ten jednak powstrzymał

ich. A gdy Herwix wykrzyknął wielkim głosem: „Itar Tar, Tar Itar”, co w prajęzyku człowieczym oznaczało: „Zbudź się!”, osunął się z konia Kasjusz, albowiem naraz spadła na niego wiedza straszna, tysiącletnia... A gdy w chwilę potem z pomocą swych sług powstał, był już innym człowiekiem. A Herwix zniknął.

Spisek antycezariański tlił się, rzecz jasna, dużo wcześniej, jednak dopiero teraz Kasjusz, świadom Wielkiego Celu, zdynamizował akcję. Cezara należało usunąć, a następnie zachowując formalnie instytucje republikańskie, wprowadzić władzę absolutną i dokonać reformy państwa, która umożliwiłaby rozwój sztuk wyzwolonych i przyspieszoną rewolucję techniczną. Jediną boginią miała stać się Minerwa, a lud rzymski już w ciągu najbliższych stu lat poznać moc maszyny parowej, silnika elektrycznego i chemii organicznej. Oczywiście, nawet Brutus, mający się za przywódcę zamachu, nie znał istoty zamysłu Kasjusza.

Nadeszły pamiętne Idy marcowe roku 44. Cezar udający się do Kurii legł pod ciosami morderców u stóp posągu Pompejusza. Jednakże ciąg dalszy nie ułożył się po myśli Przebudzonych. Po zabójstwie Boskiego Juliusza lud rzymski ogarnęło takie wzburzenie i gniew na morderców, że pozostało im tylko chronić się po domach. W tych krytycznych godzinach padła na nich niepojęta słabość i niezdolność do działania. Próżno Kasjusz namawiał, by zawlec ciało dyktatora do Tybru i skonfiskować jego majątek. Emocje pospólstwa osiągnęły apogeum, gdy zapłonął stos żałobny Cezara. Lud cały z pochodniami ruszył na domy Kasjusza i Brutusa.

W czasie walk w ciasnych uliczkach ugodzony włócznią padł Herwix, wzięty zresztą za kogo innego. Oczekujący pod Ostią pozostali Przebudzeni i ich gwardia postanowili odpłynąć do Kampanii i tam przeczekać okres zamętu. Nie wzięli pod uwagę sił innego żywiołu, morza. Potężna fala rozszalałej nawałnicy przełamała galerę wpół, wysyłając pozostałych przy życiu siedmiu Spadkobierców i wszystkich sztucznie obudzonych na dno Morza Tyrreńskiego. Całe ich doświadczenie uległoby zmarnowaniu (paru w ogóle nie miało dzieci, inni splotzili je dość dawno, tak że te nie mogły dziedziczyć ostatnich doświadczeń), gdyby nie to, że Cedrus, zabawiając się poprzedniej nocy w szynku z hożą dziewczką z Etrurii, sprawił, iż ta poczęła syna. A ów, mimo pełnej nieświadomości matki, odziedziczył całą wiedzę przodków włącznie z pamięcią dramatycznych wydarzeń roku 44. Tyle że obudzić się miał dopiero jako sędziwy poganiacz mułów w roku 12, należącym do zupełnie nowej ery.

We wczesnych godzinach rannych na trasie bardzo wolnego (z konieczności) ruchu, Poznań–Warszawa zamieszanie wywoływał pusty „maluch” na rejestracji konińskiej, szybko podążający w stronę stolicy. Dopiero po dłuższym czasie okazać się miało, że wóz został skradziony z nie strzeżonego parkingu w Kole. Póki co, dzięki szczególnej dozie szczęścia, przemykał nie zatrzymywany przez policyjne patrole, które choć gęsto rozstawione wokół trasy, z zasady zasadzały się na wozy szybsze i droższe. Na wysokości Łowicza mały fiat skręcił na stację benzynową, a zdarzenie to tak relacjonował pracownik obsługi: „Zajechał pusty fiacik i wysiadło z niego dziecko”. Jacques Vitry, bo on był tym kierowcą nie wystającym prawie sponad kierownicy, zmienił pierwotne plany. Po szczęśliwym pozbyciu się prześladowców, zamiast uciekać do Francji, postanowił wrócić do Warszawy. Tak mimo wszystko było bezpieczniej. Przypomniawszy sobie o zaprzyjaźnionym radcy kulturalnym ambasady francuskiej. Korzystając z jego pomocy, zamierzał jak najszybciej połączyć się ze swoimi wpływowymi przyjaciółmi. A przede wszystkim skontaktować się z Charlesem Marignym, który zainteresowany był wynikami badań nad tajemniczym sprzysiężeniem i obiecywał pomoc. Działania zorganizowanej grupy niezwykłych facetów, wprawdzie dotychczas nieskuteczne, przekonały Francuza, że sprawa przekracza jego siły, a nawet możliwości Towarzystwa Psychotronicznego. Jadąc próbował analizować sytuację, przypominając sobie rozmaite niepokojące wydarzenia z przeszłości, a także pewne budzące grozę fragmenty z Apokalipsy.

Około ósmej rano dotarł do Warszawy. Porzucił „pożyczonego” fiacika w pobliżu Pałacu Kultury, po czym taksówką pojechał do Anina, gdzie zastał radcę przy śniadaniu. Wystarczyło parę słów, a dopuszczony do domowego komputera, zanurkował w otchłanie Internetu i łączności modemowej.

Po godzinie zdobył trochę informacji o Trentonie. Stateczny ów obywatel nieoczekiwanie porzucił swoje dotychczasowe zajęcia i nie powiadamiając rodziny ani znajomych, udał się do Warszawy.

Zaczął szukać nowych danych o Lee Minghu. I w tym momencie zorientował się, że ktoś oprócz niego buszuje w bazie danych. Hm, merde! Vitry miał jednak opracowany sposób na ciekawskich. Po paru minutach wiedział, gdzie znajduje się ten drugi zainteresowany Starym Chińczykiem. Komputer wskazywał Zakład Biofizyki Uniwersytetu Warszawskiego...

Dziesiąty marca przypadał w niedzielę, toteż wczesnym rankiem nikt nie przeszkadzał neo-Krystyniakowi w pracy z komputerem. Obraz sytuacji stawał się coraz bardziej czytelny. Posiadając pełną listę przeciwników, uzyskał rychło dane na temat ich losów wraz z miejscem aktualnego pobytu:

1. *James Lee Mingh (z Kalifornii) — poleciał do Zurychu*
2. *Karl Renz (z Monachium) — zginął w Kole*
3. *Herbert Trenton (z Londynu) — jak wyżej*

4. *Juan Alvarez (z Barcelony), zastąpiony przez podinspektora Hubę — obaj wyeliminowani*
5. *Iwan Iwanow (general z Moskwy.) — poleciał do domu*
6. *Wilhelm Müller (inżynier elektronik z Wiednia) — poleciał do Moskwy*
7. *Peter Johanssen (dziennikarz ze Sztokholmu) — poleciał do Moskwy*
8. *Niccolo Spidola (alpinista z Mediolanu) — poleciał do Moskwy*
9. *André Laforet (informatyk z Paryża) — wrócił do Francji*
10. *Marcus Boillier z Zurychu (szwajcarski kolekcjoner dzieł sztuki) — poleciał razem z Lee Minghiem*
11. *René Bikenen z Brukseli (eks-ksiądz, aktualnie superpostępowy dziennikarz) — wyjechał z Laforetem*
12. *Grzegorz Pawłowski (biznesmen z Białegostoku specjalizujący się w handlu ze Wschodem) — wyruszył do Kijowa*
13. *Zeman Havliczek (chemik z Pragi zatrudniony w przemyśle zbrojeniowym, specjalista od broni laserowej i środków wybuchowych) — BRAK DANYCH*

Krystyniak powtórzył dyspozycję, ale otrzymał ponownie: BRAK DANYCH. W tym samym momencie zatrzęsły się wszystkie systemy ostrzegania, a potem uczył ognisty, przeszywający ból.

Dałem się podejść, pomyślał, usiłując włączyć mechanizmy obronne.

Ponowne smagnięcie gorąca. Z osłupieniem skonstatowałem, że nie ma władzy w kończynach. Ktoś, mimo wielowarstwowej ochrony, przeciął jego obwody ruchu. Próbował otoczyć się polem unieruchamiającym. Rozległ się śmiech. Obraz przekazywany przez oczy Krystyniaka zrobił się mglisty, stabilizatory wyostrzyły go z największym trudem.

— A mówili, że jesteś nieśmiertelny. Żydu — Zeman Havliczek stał z uniesionym laseromiotem i przypatrywał się swej ofierze.

Alvarez—Krystyniak jeszcze raz usiłował wysłać impuls obezwładniający, który tylekroć ratował go z opresji. Nie mógł. Promień lasera uszkodził kondensator mocy.

— To już koniec zabawy — chichotał Czech. — Game over. Zlokalizowanie tego wścibskiego kurdupla i polskiej parki dyletantów nie sprawi mi najmniejszej trudności. Zresztą kim są bez ciebie? Małpiatkami chodzącymi na dwóch łapach? Przyznaj się, nie takiego zakończenia meczu się spodziewałeś?

— Jak mnie... na-mie-rzy-liście? — mówienie przychodziło mu z największym trudem, czuł pogłębiający się zamęt w myślach. Niedoenergetyzowanie obwodów!

— Dzięki sieci. Domyślaliśmy się, że będziesz próbował dorwać się do systemu. Na szczęście w Polsce nie ma jeszcze tak wielu miejsc, w których mógłbyś to zrobić. No, ale kończmy tę zabawę...

Jeszcze raz strzelił błękitnym promieniem. Ciałem Krystyniaka wstrząsnął ostatni skurcz. Potem neo-Docent znieruchomiał. Havliczek wyciągnął z plecaka bańkę z benzyną, oblał leżące ciało, spiętrzył na nim trochę szpargałów i podpaliwszy wszystko, wybiegł z gmachu, mijając po drodze martwe ciało portiera.

Skręcając w aleję Żwirki i Wigury, Vitry usłyszał wycie syren. Chwilę potem jego taksówkę minęły dwa rozpędzone wozy strażackie. Przewornie kazał podwieźć się na parking przed szpitalem przy ulicy Banacha. Stamtąd miał ogląd sytuacji. Przed wejściem na dziedziniec kłębił się tłum gapiów. Małą uliczkę vis–à–vis szpitala zastawiały wozy straży pożarnej. Najwyższe piętro lewego skrzydła uniwersyteckiego gmachu płonęło, a centrum ognia znajdowało się najwyraźniej na trzeciej kondygnacji. Francuza przeszył dreszcz. Kimkolwiek był człowiek szukający tej niedzieli w Internecie danych na temat Starego Chińczyka, jego los musiał być nie do pozazdroszczenia. Tylko kim on był? Krystyniak nie żył, prześladowcy w pociągu wspominali o jakimś Żydzie... Nie miał pojęcia, kto nim mógł być. Może ten, który przysłał mu ostrzeżenie?

Vitry nie zamierzał pakować się w środek zbiegowiska. Parę razy, choćby w pamiętnym paryskim maju 1968 roku, tłum omal go nie zdeptał. Nie zbliżał się do ciżby gapiów, policjanci zresztą nie dopuszczali postronnych do płonącego budynku. Spróbował precyzyjnie się między wozami straży.

— A ty dokąd się wybierasz, kurduplu?! — warknął wąsaty sikawkowy.

Zrezygnował z prób dotarcia od frontu. Uliczką Pasteura, a potem jakimiś ogródkami, między garażami przedostał się na tyły kompleksu budynków. Tutaj mimo dymu nie było ani śladu ognia. Dojrzał jednak w środku fasady wybite okno na trzecim piętrze i ślad na murze, jakby wylano przez parapet beczkę smoły. Podeszedł bliżej, wspiął się na taras biegnący ponad parkingiem. Mimo mikrych kształtów był doskonale wygimnastykowany. Jako bardzo młody człowiek marzył nawet o karierze cyrkowej, ale mu przeszło. Na tarasie nieomal wpadł w kałużę smolistej mazi, w której pływały jakieś trudne do zidentyfikowania szczątki. Znowu przeszył go dreszcz. Cofnął się instynktownie.

— Podejdz, Jacques, śmiało! — usłyszał nagle słabutki głosik.

Włosy stanęły mu dęba. Czyżby bezkształtna kałuża żyła?

— Nie bój się, podejdz, potrzebuję twojej pomocy.

Vitry zastanawiał się, skąd dobiega ten głosik, i dopiero po chwili dotarło do niego, że wołanie o ratunek dźwięczy bezpośrednio wewnątrz jego czaszki.

— Tak, mówię wprost w twoim mózgu. Inne moje emitery są zniszczone, większość zespołów sterujących chyba też...

Nie miał czasu na zdziwienie. Cokolwiek to było, timbre głosu wskazywał, że to coś jest w rozpaczliwej sytuacji. Jacques spytał więc po prostu:

— Czy mogę ci jakoś pomóc?

— Chyba tak. Widzisz tę czarną skrzyneczkę z osadzonymi na niej kryształami, tu, na samym środku?

— Widzę, strasznie zapaćkana... Co to jest?

— Ja, kretynie! Nie wyciągaj ręki, bo się poparzysz. Weź jakąś deskę albo kawałek eternitu, teraz kijkiem przetocz mnie nań... Ostrożnie, nie dotykaj mnie rękami! Poczekaj, aż ostygnę. No!

Rozległo się coś przypominającego westchnienie, po czym głosik ucichł. Vitry, hamując wstręt, jakim napawał go swąd spalonego ludzkiego ciała, postąpił według polecenia. Podczas przetaczania odpadły od skrzyneczki resztki przepalonych kabli oraz paskudne bąble powstałe z elementów stopionej masy. Ale to, co najważniejsze, zostało wydobyte z cuchnącej mazi.

— I co mam teraz zrobić? Odpowiedzią była głucha cisza.

— Ej ty, kryształowy!

Ani słowa. Francuza ogarnął strach, że oto żyjący mechanizm skonał na jego oczach. Tracił skrzyneczkę patykiem.

— Więcej szacunku — zabręczała słabiutko. — Zbieram siły.

— Mów szybko, jak ci pomóc.

— Potrzebuję słońca. Energii!

Niestety niebo zasnuwały grube ołowiane chmury, zaczął nawet padać drobny deszcz ze śniegiem.

— Według prognoz długoterminowych słońce pojawi się w przyszłym miesiącu — powiedział Vitry.

— To przynajmniej postaraj się o jakąś kwarcóóóów...

Głosik umilkł na dobre. Szczęściem Jacques przypomniał sobie, że z okien taksówki widział w pobliżu reklamę salonu odnowy biologicznej. Odczekał, aż skrzynka ostygnie, potem zawinął ją w kurtkę i dygocąc z chłodu, podreptał w kierunku solarium. Oczywiście, było nieczynne. Jednak w porównaniu z przestępstwami, których był świadkiem w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, włamanie wydawało się przewinieniem najbłaższym.

W życiodajnych promieniach słoneczka myśląca skrzynka zaczęła odżywać. Najpierw rozległo się mruczenie, podobne do tego, jakie wydaje rozpoczynający pracę czajnik elektryczny, potem całkiem ludzkie westchnienia, a na koniec, jak na bardzo dobrze wychowane urządzenie przystało, padło jedno krótkie słowo:

— Dziękuję.

— Nie ma za co. Czy teraz jest już wszystko w porządku?

— Nic już nigdy nie będzie w porządku — usłyszał w odpowiedzi. — Została ze mnie tylko część główna... Cała reszta przepadła.

— Jeśli podasz plany, może uda się wszystko zrekonstruować.

— Nie jestem jakimś mechanicznym robotem — odparł głosik cierpko. — Raczej wkładem androidalnym mogącym koordynować funkcje istoty białkowej po jej fizycznej śmierci...

— To ty byłeś Alvarezem?!

— Pośmiertnym Alvarezem, potem Docentem Krystyniakiem. A przedtem paroma setkami różnych ludzi. Żeby było jasne, zawsze tylko zmarłych.

— A więc to ty odwiedziłeś w nocy z piątego na szóstego marca kostnicę szpitala MSW?

— Ja.

— I dopiero tam wszedłeś w ciało Alvarezza?

— Słuszne rozumowanie.

— Co, w takim razie, zrobiłeś z poprzednim ciałem?

Kryształowy wydał dziwny odgłos, jak istota, która bardzo niechętnie zdradza własne tajemnice.

— Autorozkład. Po opuszczeniu przez androidalny wsad cielesnego skafandra następuje atomizacja ciała i przemiana w ciecz.

— No to powinna przynajmniej zostać kałuża?

— Był zlew... Ale nie traćmy czasu. Jeśli ty mnie znalazłeś, Havliczek prędzej czy później dotrze do ciebie. Wprawdzie myśli, że ja nie żyję, ale z pewnością zechce zlikwidować ostatnich świadków... Zamów taksówkę, musimy ostrzec redaktora Złockiego i jego piękną dziewczynę.

Jacques wykręcił numer Radio Taxi, podał telefon salonu i wyczytane na reklamie nazwisko właścicielki, po czym zwrócił się do Pana Skrzyneczki:

— A co będzie z twoim zasilaniem, jak stąd wyjdziemy?

— Tam, gdzie jedziemy, mam kwarcówkę. Trzymałem ją na wszelki wypadek.

— A czy nie możemy znaleźć ci nowego ciała?

— Niestety, laser Havliczka przeciął wszystkie wiązania i zniszczył podzespół samoadaptacji. Jestem skazany na egzystencję ograniczoną do tej puszki, nie mam przetwornika pozwalającego podłączać się do komputera, nie posiadam emitera promieni paraliżujących. Nic w ogóle nie mam!

— Tylko nie płacz.

— Nigdy nie płaczę. Ale nie da się ukryć, poniosłem porażkę na całej linii. A sukces był tak blisko. Dzięki doczesnej powłoce Alvareza podszedłem Spadkobierców jak nigdy dotąd.

— Nazywasz ich Spadkobiercami, wiesz kim są?

— Później ci opowiem. W każdym razie znalazłem się w środku sprzysiężenia. Mogłem poznać ich zamiary i je udaremnić. A dziś co mogę? Kibicować tragedii?

— Musi się znaleźć jakiś sposób.

— Jedynym sposobem, jaki mam pod ręką, jesteście wy. Przynajmniej dopóki nie dotrę do Konstruktora.

— A kto jest tym Konstruktorem?

— Ten, Który Nas Wszystkich Wyprodukował.

Dopiero koło południa Anna i Jerzy nasycili się sobą w stopniu pozwalającym myśleć o czymś innym poza erotyczną gimnastyką. Neo–Docent nie wracał. Nie mieli pojęcia, kim była dziwna istota wypełniająca jego ciało, ale podświadomie odczuwali do niej zaufanie. Przynajmniej nie byli zdani wyłącznie na siebie. Istniał ktoś dorównujący siłą przeciwnikowi.

Anna miała właśnie zaproponować spacer, kiedy usłyszeli warkot samochodu. Złocki poznał znajomy dźwięk mercedesa. Spiesznie zarzucili na siebie ubranie i wyszli na ganek. Samochód zatrzymał się, ale ze środka wyszedł nie znany im blondyn. Jego twarz opromieniał uśmiech. — Panienska Leśniewskowa i pan Złocki, wielce mi miło — mówił dziwną czecho–polszczyzną. — Robert mi was opisał. Nazywam się Zeman Havliczek i sem waszem prjatelem. Robert czeka w lesu. — Tu wskazał przesiekę prowadzącą w głąb Puszczy Kampinoskiej.

Mimo przyjemnej aparycji i uśmiechu, Czech wzbudził w Jerzym niepokój, a w Annie nieufność.

— Nigdzie nie pójdziemy — powiedziała.

— Tu zaczekamy na niego — dorzucił.

Uśmiech znikł, a w niebieskich oczach pojawił się gniew. Nagle w rękę Czecha błysnął dziwny przedmiot jakby rodem z filmów science–fiction.

— Jak mówię, że pójdete, to pójdete! — rzucił twardo. — Chcete probowat laserovu zbrojowku?

Złocki pomyślał o zgromadzonych w domu dubeltówkach i zaklął w duchu. Jakim frajerem okazał się wychodząc na ganek z pustymi rękami.

— Nie musisz nas zabijać, my nic nie wiemy — zawołała Anna. — I w niczym wam nie przeszkadzamy. — Usiłowała wyglądać zalotnie, ale jej uroda nie robiła na przybyszu wrażenia.

— Idte, to ne zginete! — warknął.

Poszli więc. Tymczasem wbrew zapowiedziom synoptyków w rozwierającej się szczelinie między chmurami ukazało się w całej pełni słońce.

Piękny dzień na umieranie, pomyślał Złocki. Dobrze chociaż, że przed śmiercią przeżyłem odrobinę prawdziwej miłości!

Szli wąską ścieżką wśród mokradeł. Procesy gnilne sprawiały, że woda była tu cieplejsza, bowiem powłoka śnieżna wszędzie już poznikwała, a bagna nabrały wiosennej grzeskości. Anna posuwała się potulnie jak zwierzę prowadzone na rzeź. W sercu Jerzego tliła się iskierka nadziei, choć racjonalnie myśląc, był to co najwyżej błędny ogień. Maszerowali ślepą ścieżką, drogą bez powrotu. Nikt nie mógł udzielić im pomocy. Nawet z helikoptera trudno byłoby wypatrzeć

kogokolwiek w gęstwinie. A Czech zmierzał w głąb bagnisk, chcąc ich chyba tam potopić.

Ścieżka skończyła się przy paśniku dla zwierząt. Bagna otaczały ich ze wszystkich stron. Na wąskich ustach Czecha wykwitł ironiczny uśmiech.

I w tym momencie coś usłyszeli. Z wnętrza lasu dobiegł chrzęst. Coś albo ktoś przemieszczało się szybko w ich kierunku. Nadzieja ożywiła skazańców, niepokój załęgł się w duszy kata. Havliczek uniósł laserowy miotacz, ale już po chwili roześmiał się. Z zarośli wyszło stadko łosi. Dorodny samiec, obok nieco mniejsza klempa. Dwójka młodszych. Na widok ludzi zwierzęta nie zatrzymały się. Zwinnie przeskakując z kępy na kępę dotarły do ścieżki.

I posuwały się dalej.

W oczach Havliczka pojawiło się niedowierzanie. W ciągu sześciu tysięcy lat rodzinnych doświadczeń nie zdarzyło się, aby jeleń, daniel, łoś, renifer czy antylopa nie niepokojone, z własnej inicjatywy zaatakowały człowieka. Tymczasem młode zostały z tyłu, a ogromny samiec pochylił gigantyczne, półtorametrowe poroże i przeszedł w kłus. Klempa podążała za nim. Czech odbezpieczył miotacz, wycelował. Na moment zapomniał o swych ofiarach. Anna wykorzystała to. W chwili gdy naciskał spust, podbiła mu ramię. Zdążył wystrzelić, ale promień tylko musnął klempę i ściał wierzchołek brzozy. Sekundę później rogi łosia uniosły Havliczka do góry, a następnie cisnęły w środek topieliska. Plasnęło błoto i rozległ się rozpaczliwy krzyk trwogi. Złocki stał jak sparaliżowany, przekonany, że będzie następną ofiarą samca. Zwierzęta jednak po szarzy, jakby zupełnie straciły zainteresowanie ludźmi. Ojciec rodziny polizał samicę po zranionym grzbiecie. Całe stado zawróciło i majestatycznie zniknęło w kniei.

— Pomoc, pomoc! — wołał Czech. Z błota wyglądała jedynie głowa. Jedną ręką uchwycił się niedużego korzenia. — Na myłość Boha!

Złocki nie mógł pozostać obojętny, ruszył z wyciągniętą ręką, ale w tym momencie pękł trzymany przez Czecha korzeń, z gardła Zemana wydarł się krótki skowyt, po czym bagno zamknęło się nad nim.

Sto metrów od nich zdyszany Jacques Vitry postawił skrzyneczkę z Kryształowym na pniaku. Serce prawie rozrywało mu piersi. Od taksówki pozostawionej pół kilometra przed leśniczówką poruszał się wyłącznie biegiem. Najważniejsze, że zdążyli.

— Nie jest ze mną tak źle — słyszał uszami duszy pomruk swego dziwnego towarzysza. — Moje fluidy są za słabe, aby wpływać na ludzi, ale, chwała Panu, zwierzęta są dużo wrażliwsze i bardziej podatne.

Tymczasem słońce znów skryło się za chmurami.

9. O jedną tajemnicę mniej

Ku zaskoczeniu lekarzy, zrazu nie dających policjantowi najmniejszych szans, podinspektor Kazimierz Huba obudził się wkrótce po południu. Bardzo pokancerowany, miał dwie złamane kończyny, stracił oko, a poparzenia pokrywały znaczną część jego ciała, jednak żył. Po incydencie zachował mgliste wspomnienie upiornych snów, jakichś gwałtownych zdarzeń i dojmującej trwogi. Kiedy jednak przesłuchiowano go, nie potrafił przypomnieć sobie, co się wydarzyło od chwili, gdy przybył na osiedle Za Żelazną Bramą, aż po ocknięcie się na sali pooperacyjnej. Nie pozostał nawet ślad kontaktu z pamięcią genetyczną. Oczywiście nikt nie wpadł na pomysł, żeby porównać wypadek polskiego policjanta z historią Poliglotty z Anzere.

Do leśniczówki wracali tą samą zarośniętą ścieżką, którą uprzednio szli na stracenie. Jacques ledwo trzymał się na nogach, Złocki zgodził się więc nieść inteligentną skrzyneczkę, z wielkimi oporami przyjmując do wiadomości, że jest ona wszystkim, co pozostało z Alvareza i Krystyniaka razem wziętych.

— Co mi pan za ciemnotę wciska?

— Tylko nie ciemnotę — zamruczał Kryszałowy. — Moja inteligencja przekracza sumę wiedzy członków rzeczywistych waszej Akademii Nauk.

Juruś był zbyt zdenerwowany, żeby zauważyć, że głos rozbrzmiewający w jego mózgu nie jest bynajmniej głosem Vitry'ego.

— Czy może mi pan wytłumaczyć, co tu się dzieje?! — narzekał. — W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dwukrotnie cudem uniknęliśmy śmierci, chciano nas wysadzić, zagazować, utopić... Wydarzenia toczą się jak w filmie rysunkowym, a ja ciągle nie mam pojęcia, o co chodzi!?

— Wiem niewiele więcej od was — westchnął Francuz.

— Czemu nie zapytacie o to jego?

— A co to jest, komputer na kryształkach?

— Bardzo przepraszam — zabrzmiał głos w mózgach całej trójki. — Protestuję przeciwko mówieniu o mnie w rodzaju nijakim, nie jestem byle cybernetyczną maszynką, ale w pełni myślącą i odczuwającą istotą.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś żywy? — zdumiała się Anna.

— W innym sensie niż wy, białkowcy. Ale jeśli podstawową cechą życia jest samodzielna działalność intelektualna, umiejętność zabezpieczenia swoich potrzeb życiowych oraz możliwość podejmowania decyzji, to jestem równie żywy, jak wy.

— Pochodzisz z kosmosu? — dopytywała się Leśniewska.

— Ziemia też jest częścią kosmosu. W każdym razie nie jestem ludzikiem z latającego talerza.

— A więc kim jesteś?

— Tego nie da się opowiedzieć w trzech słowach.

— To opowiedz w czterech.

Doszli do leśniczówki, Anna zrobiła śniadanie, a w jednej z szaf znaleźli kwarcowe słoneczko. Skąpany światłem Kryształowy od razu wpadł w lepszy humor i zaczął opowiadać:

Jeśli spojrzy się pod właściwym kątem, Mleczna Droga ma kształt klepsydry. Wystarczy obserwować ją odpowiednio długo (powiedzmy miliard lat), by spostrzec, jak gwiazdny pył przesypuje się w tej klepsydrze od plus do minus nieskończoności...

Przez następne trzy godziny zapoznawali się z historią Wszechmocnego Przybysza z Gwiazd i jego ziemskiej działalności. Anna słuchając szkicowała machinalnie surrealistyczne rysunki, Złocki notował zawzięcie, z biegłością stenografki przysięgłej, a Vitry, który przycupnął na krawędzi stołu niczym maskaron z Notre Dame, co pewien czas niespodziewanie zrywał się z miejsca, wykonywał parę nerwowych obrotów wokół własnej osi, po czym kamieniał ponownie.

Dowiedzieli się mnóstwa szczegółów o funkcjonowaniu ziemskiego laboratorium Kreatora, o stworzeniu na martwej planecie warunków do życia, o inżynierii genetycznej i powtarzających się aktach twórczych.

— Twierdzisz więc, że Stwórca jest kosmitą? — zapytał Vitry.

— Nie wiem, kim jest. Mnie wystarcza, że jest potężny i dobry. Nie dociekam, czy to On stworzył reguły wszechświata, ale na pewno potrafi się nimi posługiwać. Nie potrafię wam powiedzieć, czy kiedykolwiek miał początek i czy może mieć koniec. Nie wiem także, czy istnieje cokolwiek ponad Nim. Ale czasami myślę, że nie chcę tego wiedzieć.

— Ale stwierdzasz równocześnie, że Jego moc ma swe ograniczenia. Że pomiędzy kolejnymi aktami stworzenia odpoczywa, traci kontakt ze swym dziełem, które wymyka mu się z rąk. To nie jest zgodne z żadną z ziemskich religii.

— Wszystkie religie tworzyli ludzie. Po części z własnych wyobrażeń, opartych o ich mocno niedoskonałe zmysły, po części z tego, co im sam powiedział. Sporo przeniknęło za pośrednictwem Spadkobierców, jednak często była to wiedza tendencyjna lub świadomie skażona.

W tym momencie poruszył się Złocki.

— Twoja historia jest naprawdę fantastyczna i w każdej innej sytuacji oddałbym za możliwość jej wysłuchania połowę życia. Teraz jednak zagrożone jest całe. Kilku Spadkobierców zginęło, ale pozostali, jak mówiłeś, dalej coś knują. Czy nie powinniśmy czegoś zrobić?

— Zrobimy. Mamy sporo czasu. Jest niedziela. Banki szwajcarskie, którymi interesuje się ekipa Lee Mingha, są nieczynne. Tak samo zamknięte jest paryskie Centrum Komputerowe, do którego zmierza Laforet. Zostało zatem parę godzin na zapoznanie was z problemem i cała noc na działanie.

— To zbyt mało, żeby dotrzeć do Paryża.

— Na razie nie powinniście się stąd ruszać. Wykorzystajcie innych. Z tego, co wiem, Jacques, masz zaufanego przyjaciela w Paryżu.

— Charlesa? — Nie wiedzieć czemu Vitry oblał się pąsem.

— Tak, myślę o panu kapitanie Martigny z Sûreté. Chyba nie odmówi ci pomocy.

— Zamierzacie wciągnąć do sprawy przedstawicieli władzy? — zaniepokoiła się Leśniewska.

— Stosunki Jacquesa z Charlesem są, powiedziałbym, specyficzne... — mruknęła skrzyneczka. — Poza tym może nam pomagać nieoficjalnie, bez uruchamiania struktur policyjnych. O ile wiem, i tak był informowany o twych odkryciach na bieżąco...

Vitry rozbrajająco spuścił oczy.

— Musiałbym do niego zadzwonić — bąknął. — Tylko skąd?

— Niech Juruś zajrzy do zegara — poradził Kryształowy. — Z tyłu za cyferblatem znajdziecie telefon komórkowy.

Na skraju lasu Fontainebleau, ongiś ulubionego terenu łowieckiego królów Francji, znajduje się na pozór mocno zaniedbana, ale krzepko trzymająca się willa w kształcie baszty. Potężne ściany pokryte dzikim winem tłumią wszelkie odgłosy z wewnątrz, a trzy otwierane na fotokomórkę bramy umożliwiają dostęp tyleż szybki, co dyskretny. Całość posesji skrywa przed oczyma ciekawskich gruby mur, a system obronny stanowi sieć elektronicznych czujników uzupełnianych nocą przez sforę dogów, gotowych rozerwać na strzępy każdego niepożądanego gościa. Właścicielem rezydencji jest od kilkunastu lat wpływowy przemysłowiec (nie chcąc narażać na szwank jego wybitnej pozycji, nazwijmy go baronem Henri de X), posiadacz stalowni, domów towarowych, a jednocześnie znacznych udziałów w mediach.

Szerszej publiczności, Henri, ze względu na ostry profil przezywany Baronem Księżycem, znany jest jako filantrop, koneser sztuki i hojny mecenas artystów.

Tylko nieliczni, włączając w to ministra spraw wewnętrznych znają ciemną stronę Księżyca. A jest nią umiłowanie dewiacji seksualnych. Całkiem zrozumiałe jeśli prześledzić rodzinne parantele łączące Henriego z markizem de Sade. Nie znaczy, żeby sam baron miał wyjątkowe potrzeby erotyczne, jego wachlarz zainteresowań wyczerpywały zmieniane co miesiąc luksusowe modelki i Murzyn masażysta. O wiele bardziej bawiło go kolekcjonowanie ludzkich ułomności. Rozpalenie ich, podsycanie, a następnie obserwowanie z ciekawością badacza i — w szczególnych sytuacjach — współuczestniczenie.

Nic więc dziwnego, że w baszcie chętnie widziani byli poczciwi geje i lesbijki, smutni onaniści — ekstremiści, podniecający się w najbardziej nieprawdopodobnych sytuacjach, bestiofile, szerzący zgorszenie wśród zwierzątek, nimfetki, skazane na nieustanne poszukiwanie za każdą cenę dojść do świata sztuki, i zdemoralizowani starcy, trawieni żądzą przywołania dawno utraconej młodości. Poza tym — fetyszyści i koprofadzy, sadomasochiści i masosadystycy, specjaliści od gier zespołowych i podglądacze. Wszyscy traktowani przez barona z jednakową wyrozumiałością i sympatią, nawet jeśli ktoś na narkotykowym haju utopił partnerkę w wannie czy nożykiem do obierania pomarańczy odciął koledze genitalia.

Że te i podobne sprawy nigdy nie trafiły do prasy ani na wokandę sądową, było wyłączną zasługą Charlesa Martigny'ego. Kapitan nie był wprawdzie współnikiem barona (kontentował się jedynie skromnym tytułem doradcy prawnego), ale działał bezbłędnie i nikomu nie przychodziło do głowy łączyć przypadkowo wyławianych z Sekwany lub kanału La Manche zwłok z rezydencją ekscentrycznego filantropa. Pokrzywdzeni, ze zmienioną osobowością i ciężką kasą, rozpoczynali nowe życie na Polinezji czy w Gujanie. W zamian za to DST (Direction du Surveillance Territoire), czyli kontrwywiad otrzymywał materiały — filmowe, zdjęciowe i fonograficzne, które mogłyby stać się ozdobą każdego festiwalu hard-porno. Niejednokrotnie materiał taki stawał się podstawą werbunku współpracowników lub środkiem dyskretnego nacisku. Tym bardziej, że do gości baszty zaliczali się i czołowi politycy, i wybitni intelektualiści, i międzynarodowa finansjera, a nawet dzieci z domów panujących oraz dyplomaci bynajmniej nie mikroskopijnych państw.

Tego popołudnia nie działo się nic specjalnego, baron uciał sobie drzemkę (wyjątkowo bez masażysty), małolata z certyfikatem dziewicy trzecią godzinę z rzędu robiła bez rezultatu laskę autorytetowi moralnemu z Akademii Francuskiej, a w piwniczce wybitej jedwabiem hermafrodyta o piersiach Wenus i fallusie Priapa dymał czcigodnego amerykańskiego kaznodzieję, chłoszcząc go dodatkowo szpicrutą po świątobliwych lędźwiach. Zadzwoił telefon. Charles niechętnie oderwał się od monitorów.

— To ja, Jacques... — zabrzmiało z oddali.

— Już myślałem, że nie żyjesz, konusie! Nie odzywałeś się od tylu godzin.

— Ja też myślałem. Słuchaj, Charles, będę potrzebował twojej pomocy.

— Wpierw informacja. Słyszałem o pożarze u twoich warszawskich partnerów i o śmierci gościa, który cię zaprosił?

— Ależ Charles, wiesz przecież, że nigdy nic przed tobą nie ukrywam.

— Zacznijmy więc od najważniejszego. Wiesz już, kto się za tym kryje?

— Będę wiedział.

— To wtedy zadzwoń. Jeśli nie sprawdzi się hipoteza, że ma to coś wspólnego z mafią lub obcymi wywiadami, przestaje mnie to interesować.

— Sprawa jest poważniejsza, byłem świadkiem rzeczy, które nie mieszczą się w głowie...

— Mam wierzyć w teorię diabelskiego sprzysiężenia. Daj mi spokój przynajmniej w niedzielę.

— Słuchaj, Charles, pewne rzeczy trzeba załatwić jeszcze dzisiaj. Masz kogoś w Zurychu?

— Mogę mieć.

— Chodzi o obstawienie Lee Mingha.

— Tego starego Kitajca? Wiem, że przyleciał przed południem do Szwajcarii... Mój człowiek nie spuszcza go z oczu.

— Dobrze. Natomiast w Paryżu, chciałem cię prosić, żebyś załatwił jedną sprawę osobiście.

— Teraz mam zajęcie. I to... — zerknął na biorącą prysznic tajską modelkę — bardzo interesujące.

— Mamy czas do rana.

— To lepiej, nie mów jednak tak tajemniczo, dobrze? Przekaż nowości. Tylko gadaj wolno.

Palcem bosej stopy włączył magnetofon. Na monitorze nr 2 małolata zniechęcona bezskuteczną działalnością ugryzła akademika.

— Tak, tak! — zaryczał staruch. — Od początku o to chodziło!

Katastrofa na Morzu Tyrreńskim nastąpiła w momencie zaiste newralgicznym, rozerwała krzywą wzrostu potęgi Spadkobierców.

Trudno wyrokować, czy gdyby nie ów zbieg okoliczności, decydująca walka o świat rozegrałaby się dwa tysiąclecia wcześniej? W każdym razie, kiedy w 12 roku naszej ery nastąpiło przebudzenie kolejnej generacji, Spadkobiercy mieli ogromne trudności z odbudową wzajemnych kontaktów. Sędziwy syn kobiety z Etrurii zmarł w momencie uruchomienia budzika, natomiast jego dwudziestoczteroletni wnuk, Markus Stabius, służył akurat daleko od centrum świata w legionach na Unii Renu. Dwa lata minęły, zanim, korzystając z uroczystości pogrzebowych Oktawiana Augusta, mógł przybyć do Rzymu i spotkać się ze szczupłym gronem Pamiętających.

— Cofnęliśmy się — oświadczył Arystarch Egipcjanin. — Udało się nam zebrać jedynie ledwie w pięciu, nie mamy swoich ludzi w Senacie ani wśród zauszników pryncypsa Tyberiusza.

— A jeśli zjednoczymy moc, tak jak nasi dziadkowie przelejemy siłę na jednego, to czy on nie będzie mógł obudzić jeszcze paru naszych, na przykład z krwi Kasjuszów?

Spróbowali — atoli w pięciu nie dysponowali odpowiednią mocą. Postanowili tedy czynić wysiłki celem odszukania następnych Spadkobierców, tak jak oni przebudzonych samoistnie. Bez rezultatu. Kiedy spotkali się ponownie po pół roku poszukiwań, do rozmowy wkradły się nuty zwątpienia.

— Być może będą znów musiały upłynąć setki lat — wzdychał Arystarch.

— Mamy czas — uspokajał Stabius.

— Doszły mnie bardzo niepomysłne wróżby związane z naszą misją — powiedział najstarszy ze Spadkobierców, zwany Sygillusem z Cyreny, a pochodzący z rodziny kupców zbożowych. — Mówi się o rychłym powrocie Kreatora.

— Wierzycie w zabobony — parsknął Marcus. — Wy, Świadkowie pamiętający czasy Cieplarni!

— Każdy z nas wie, co jest rzeczywistością realną — zabrał głos Arystarch. — Wiemy, iż światem rządzą prawa materii i energii, a jednak istnieją wróżby, które się sprawdzają, pojawiają się znaki zwiastujące pecha, dni szczęśliwe i nieszczęśliwe, i mimo że to wszystko klóci się ze zdrowym rozsądkiem, nie należy tego lekceważyć.

— No więc cóż to za wróżby, Sygillusie? — ozwał się milczący Gal z Arelatum.

— Słyszeliście o Żydzie Eliaszu, który był zaproszony parę wieków temu do wozu powietrznego Pana?

— Znam tę historię, jedna moja praprababka osobiście знаła siostrę Eliasza — powiedział Stabius. — Wszystko wskazuje, że wizje tego proroka nie były autentycznym przeżyciem, jeno stanowiły emanację innej starszej historii, która zdarzyła się dużo wcześniej naszemu Praojcu. Zaprawdę powiadam wam, nie macz współcześnie na Ziemi Kreatora, albowiem śpi od tysiąclecia.

— A wiecie, co się zdarzyło w Palestynie niespełna dwadzieścia lat temu?

— O czym mówisz?

— O gwieździe z ogonem, niespotykanej jasności. Pojawiła się w czasie tego wielkiego spisu powszechnego, zarządzanego przez cesarza Augusta. To niezwykle zjawisko astronomiczne ściągnęło do Palestyny wielu astrologów Wschodu, magów chaldejskich...

— Rozumiem, że macz własną hipotezę i pewnikiem stwierdzisz, iż nie była to zwyczajna kometa?

— Nie była! To On wylądował...

— Wylądował i zniknął?

— Niektórzy miejscowi twierdzą, że zamieszkał w ciele nowo narodzonego dziecka.

— Dla niego nie byłoby to problemem, wszelako w jakim celu by to czynił?

— Doskonale wiecie, niezbadane są jego pociągnięcia. Może chciał zobaczyć ten świat od wewnątrz, ludzkimi oczami... W każdym razie, gdy plotka o owej inkarnacji się rozniosła, miejscowy władca wpadł w taką panikę, że począł wszystkie niemowlęta mordować.

— Zabobonów nigdy na tym padole nie brakło — Marcus wzruszył ramionami. — Ważniejsze jest to, iż dwadzieścia lat upłynęło i nic się nie wydarzyło. Myślmy lepiej, jak utraczone quorum odzyskać...

— Życie miało potwierdzić informacje Sygillusa — ciągnął swą relację Kryształowy. — Rzeczywiście, dobiegł końca kolejny cykl snu. Kreator wrócił na Ziemię... A widząc realną groźbę dla rodzaju ludzkiego zdecydował się na krok bezprecedensowy. Postanowił zejść między ludzi, w ciało jednego z nich i dzielić mizериę ziemskiego żywota aż po tragiczny kres. Sądzę, że groźbę dla ludzkości dojrzał nie tylko w niekontrolowanym rozwoju nauk. O wiele bardziej niepokojącymi symptomami musiały być rozkład wartości moralnych, upadek obyczajów, zatrata jakichkolwiek cnót, kryzys instytucji małżeństwa...

— Nie chcesz powiedzieć, że ten twój Kosmita to był...?

— Chcę! — Kryształowy powiedział to tak dobitnie, że aż im zaszumiło w głowach. — Zastanawiać się można jedynie, czemu tak uczynił? I można szukać wielu interpretacji. Z pewnością chciał dać indywidualny przykład postępowania, moralny impuls mogący wystarczyć przynajmniej na dwa następne tysiąclecia. Przejmujące świadectwo miłości i solidarności z człowiekiem. Osobiście uważam, że zdecydował się na korektę gatunku bez uciekania się do genetyki. Być może wyłącznie dlatego skupił dwunastu uczniów, aby dać algebraiczną odpowiedź trzynastu liniom potomków Arcybuntownika: „Nasza Trzynastka pokona waszą!” Przesłanie zawierało jeszcze inny znak: ukazywało, że rozwijanie zewnętrznego świata winno iść w parze z doskonaleniem duchowego wnętrza człowieka.

— Niesamowite! — wykrztusił Złocki. — Ale tak sugestywne, że prawie ci wierzę.

— Dalszą historię chyba znacie. Impuls został nadany. Zapłonęło światło: przedziwna latarnia morska, silniejsza i trwalsza od aleksandryjskiej. Ludzkość zyskała busolę, narodził się system innych wartości.

— A Spadkobiercy? — spytała Anna.

— Przez następne dwa stulecia nie udało się im uzyskać quorum potrzebnego, ażeby odwrócić bieg wydarzeń, lub chociaż powiększać szeregi Obudzonych.

— I to był powód upadku antycznego świata.

— Powodów było wiele, ale nie przeczę, ogólny regres cywilizacyjny znacznie ograniczył możliwości spiskowców. W wyniku rzezi, wędrówek ludów, wojen i epidemii doszło do ich całkowitego rozproszenia. A rozwój techniki został zahamowany na półtora tysiąclecia...

— Mam obiekcje, czy akurat to było takie pożyteczne. Średniowiecze oznaczało tryumf ciemnoty, upadek kultury — mruknął Vitry.

— Ja uznałbym to raczej za kosztą ówczesnej transformacji — oponowało gadające pudełko. — Mimo wszystko tak było bezpieczniej dla gatunku, nie przygotowanego psychicznie do wykorzystania

wszystkich sił ukrytych w naturze. Wyobrażacie sobie broń nuklearną w rękach ludzi o mentalności Hunów czy (nie ubliżając szlachetnym intencjom) konkwistadorów!

— Do dziś ta mentalność nie bardzo się zmieniła.

— W każdym razie za cenę przejściowego zacofania uchroniliśmy ludzkość w okresie jej wieku dziecięcego.

— Uchroniliście?! — wykrzyknął Złocki. — A więc już wtedy tam byłeś?

— Skonstruowano mnie jeszcze wcześniej. Początkowo jako pozbawiony ludzkiej postury przekaźnik, uformowany na kształt złotej skrzyni. W obecnym kształcie androida, mogącego przywdziawać ludzkie powłoki, przystąpiłem do pracy, kiedy Kreator, dokonawszy autowskrzeszenia, zakończył swą misję między ludźmi.

— Więc kimże ty w końcu jesteś?

— Może rzeczywiście należałoby nazywać mnie Kwarcowym Aniołem. Kiedy Twórca zapadł w sen, ja pozostałem na Ziemi jako ten wierny pies, żeby pilnować trzody. Miałem reagować na największe nieprawidłowości, korygować je, a w ostateczności posłużyć jako budzik. Starałem się, dla dobra sprawy, ukrywać w cieniu, pozostawać anonimowym, ale nie do końca mi się powiodło. Musiałem tedy wyprodukować fałszywą legendę na własny temat. Legendę odwracającą przez długi czas uwagę Spadkobierców od istoty mej misji. Ci, którzy trafiali na mnie lub na mój ślad, powtarzali przypowieść o człowieku, którego przekleństwo Pana skazało na nieśmiertelność. Nadano mi nawet imię, którego czasem sam używam, albowiem nie wiem, jak się nazywam.

— Jakież to imię? — Jacques Vitry sięgnął po kolejny brulion do notatek.

— Żyd Wieczny Tułacz.

10. Inna historia

Moment ciszy. Złocki z wrażenia przestał notować, a grdyka skoczyła mu jak gwałtownie zahamowana winda. Leśniewska wydała ciche westchnienie.

— Jesteś tym słynnym Żydem Wiecznym Tułaczem? — wykrztusił wreszcie Jacques, wyraz jego twarzy wskazywał na parapsychologiczny orgazm.

— Przynajmniej oni mnie za niego uważają!

— I znasz osobiście... Kreatora? — zapytała Anna.

— Trudno, żeby sługa nie znał swojego pana.

— I opowiesz nam, jaki On jest? — odezwał się mocno poruszony Vitry.

— Nie!

— Ale dlaczego? — w Złockim obudził się obrońca nieskrępowanej wolności prasy.

— Tajemnica zawodowa. Zresztą pewne rzeczy są poza waszym systemem pojmowania.

— Rozumiem — włączyła się Leśniewska — że do twoich zadań należy pilnowanie Spadkobierców i obserwowanie ich poczynąń, w jaki jednak sposób możesz im się przeciwstawić?

— W zasadzie nie jestem androidem represyjnym. Chociaż bywało różnie. Czasami rzeczywiście zdarzało mi się przeszkadzać im w knowaniach, częściej jednak po prostu ostrzegałem ludzi, uczulałem kapłanów, podsuwałem pewne informacje władzom...

— I władze wysłuchiwały rad tajemniczego Izraelity?

— Występowałem w wielu różnych kostiumach. Początkowo rzeczywiście językiem i obyczajem związany byłem z kulturą żydowską. W okresie Dziejów Apostolskich przebywałem w Palestynie, później w Azji Mniejszej, w Rzymie za rządów Antoninów, w Bizancjum za czasów Konstantyna, w Aleksandrii, gdzie zastały mnie wojska Omara, potem długi czas w islamskiej Hiszpanii, z krótką przerwą na pobyt w kaganacie chazarskim. Przestałem się wcielać w ciała Izraelitów po edykcje Arcykatolickich Królów Hiszpanii Ferdynanda i Izabelli wypędzających Żydów z Kastylii i Aragonii.

— 1942 — mruknął Vitry.

— Jedną z moich właściwości, o której początkowo sam nie miałem pojęcia, była ogromna zdolność adaptacji. Jeśli wchodziłem w ciało człowieka tuż po jego śmierci, potrafiłem przechwytywać część jego myśli, jego mowę, jego odruchy. Od piętnastego wieku mogłem być

praktycznie człowiekiem każdej narodowości, rasy czy wyznania. Było to zresztą konieczne w dobie prześladowań wyznawców religii Mojżesza.

— Nie mogłeś im zapobiec?

— Zgodnie z zasadami mojej misji starałem się interweniować możliwie jak najrzadziej. W sytuacjach naprawdę koniecznych, kiedy nie było innego wyjścia. No i wtedy robiłem rzeczy z waszej perspektywy szokujące.

— To znaczy. Potrafisz zdradzić choćby jedno z twoich wcieleń?

— Na przykład Savonarola.

— Ten fanatyczny mnich florencki?

— Rekwizyty, kostium, retoryka stanowiły jedynie element sztafażu, a moja rola sprowadzała się de facto do manipulacji nastrojami florentyńczyków. Oczywiście w sposób zgodny z psychiką epoki. Chciałem przeszkodzić wynaturzeniom Renesansu, które uosabiał dwór Borgiów i zbyt szybkiemu rozwojowi myśli. Gdyby mi się wtedy udało (w końcu Florencja była stolicą kulturalną ówczesnego świata), kto wie, może doszłoby do szybszej reformy Rzymskiego Kościoła zamiast Reformacji. A ta, jak wiadomo, stała się bazą rozwoju cywilizacji technicznej Zachodu.

— Do licha, jeśli byłeś Savonarolą, to przecież spalono cię na stosie?

— Tylko mój człowieczy skafander, zdążyłem w porę znaleźć innego nosiciela.

A gdy wreszcie Spadkobiercy zorientowali się, że mają poważnego przeciwnika, zaczęli na niego polować. Fakt, że ukrywał się najchętniej w ciałach Żydów, co podsyciała rozprzestrzeniająca się legenda o Wiecznym Tułaczem, leżał u podstaw niejednego antysemitckiego pogromu.

Budzący się co 64 lata i odszukujący nawzajem Spadkobiercy wielokroć przekonywali się o jego istnieniu. Ścigali go, a nie mogąc wyśledzić igły w stogu siana, wypowiadali wojnę sianu. Tępiąc całe wspólnoty, mieli nadzieję pozbyć się i jego.

Wystarczy prześledzić historie prześladowań, aby wśród przyczyn bezpośrednich, oprócz opowieści o zatruwaniu studni i rytualnych mordach, znaleźć plotki o pojawieniu się Wiecznego Tułacza... Prawdopodobnie ktoś kiedyś powiąże cykliczne fale represji z okresami przebudzeń, wzmożoną aktywnością słońca i mutowaniami wirusów dżumy.

Istotne było co innego: przystępując do organizowania nagonki, Spadkobiercy ryzykowali ujawnienie swego istnienia przed normalnymi ludźmi.

A przecież i tak po przebudzeniu, mimo starannego kamuflażu, prawie zawsze rzucali się bliźnim w oczy. Stawali się przecież zupełnie inni. Przerażali najbliższych. Rozpoznawali ich intuicyjnie niektórzy księża. Prześladowali egzorcyści. Zresztą w owych epokach wszyscy zbyt mądrzy bywali podejrzani. Czy tak realizowała się forma samoobrony gatunku HS 2? Nie dziw, że w testamentach Pamiętający zalecali swym potomkom, aby w określonym czasie znajdowali się w podróży, poza kręgiem rodziny i znajomych.

Tymczasem, mimo upływających wieków, odszukiwanie się Spadkobierców postępowało niesłychanie opornie, zgromadzenie quorum umożliwiającego transmisję mocy i budzenie Uśpionych, przez ponad tysiąc lat leżało poza granicami ich możliwości. W roku 1484 po raz pierwszy od półtora tysiąca lat spotkała się aż szóstka. Współpracowali zaledwie parę lat, jak wcześniej, tak i teraz każdy z nich żył niedługo. Dwóch zginęło na stosie, dwóch śmiercią samobójczą (nie mogąc znieść pamięciowego balastu tysiącleci), jeden po prostu zniknął w tajemniczych okolicznościach, a ostatni, jak zwykli zjadacze chleba, od zarazy. Wszelako pokłosie ich dokonań okazało się niebywałe. Jeden z Pamiętających, żeglarz nazwiskiem Pedro Correo udzielił mężowi swej kuzynki, niejakiemu Krzysztofowi Kolumbowi precyzyjnych informacji o lądzie po drugiej stronie oceanu. Wiedział o nim od swego przodka, Umiłowanego, który lecąc z samym Kreatorem ponad Ziemią, oglądał Nowy świat z lotu ptaka.

Inny, florencki medyk, miał ogromny wpływ na utalentowanego malarza Leonarda i rozpalenie w nim pasji wynalazczej.

Trzeci, niemiecki kupiec, stał u kolebki chłopca imieniem Marcin Luter. Tenże, tworząc po latach protestantyzm miał zbudować fundament pod społeczeństwo pragmatyczne, niezbędne dla dokonania technicznego skoku. Czwarty otrzymał za zadanie doprowadzić do fundamentalnego przewrotu światopoglądowego...

Którejś burzliwej nocy pod dachem warmińskiego biskupa Łukasza Watzenrodego schronił się wędrowny balwierz i opowieściami o świecie zawładnął wyobraźnią biskupiego siostrzeńca. Ów chłopiec z Torunia rodem przegadał z wędrowcem całą noc. A nad ranem ni to na jawie, ni w półśnie zobaczył, jak tajemniczy cyrulik na odwrocie karty wydartej z księgi, kreśli schemat sfer niebieskich sprzeczny z nauką Ptolemeuszową, a potem gniecie go i ciska w ogień... Po wielu latach, chłopiec, jako mąż dojrzały, sam już kanonik fromborski odtworzy ten rysunek w swym traktacie „O obrotach ciał niebieskich”.

I znów przeminęły 64 lata! Sztambuł, rok 1548.

Sto lat po zajęciu Konstantynopola stolica imperium Sulejmana Wspaniałego zdawała się być stolicą świata.

Nic dziwnego, że tam właśnie ściągnęli przebudzeni Spadkobiercy. Można wyobrazić sobie ukrytą w głębi zaułka, kilkaset kroków od pałacu Topkapi willę beja Kaleba ibn Mutasali. Upajająca woń nargili, dyskretna muzyka ukrytej kapeli, tańczące płomyki świec, a wokół stołu zgromadzeni Pamiętający. Aż siedmiu — Francuz, Anglik, Niemiec, Hiszpan, Turek, Rosjanin i przybyły z odległych Chin mędrzec Li Ming, pochodzący z linii zaginionej przed tysiącami lat.

W onym czasie w Europie Spadkobiercom robi się trochę ciasno. Od trzech lat obraduje sobór trydencki, mający uzdrowić Kościół Katolicki. Niemcy czekają na kolejną powtórkę z wojen religijnych, we Francji rośnie napięcie między hugenotami a wyznawcami rzymskiej wiary. Jednak Spadkobierców przepelnia optymizm — wreszcie zdobyli moc — udaje się im obudzić kilku Uśpionych: włoskiego medyka, żeglarza z Cypru, podróżnika z Lechistanu...

W następnym roku po raz pierwszy obradują w Trzynastu: siedmiu Spadkobierców i sześciu Przebudzonych.

— Musimy zmienić sposoby naszego działania. Za każdym razem zaczynamy praktycznie od początku — mówi Niemiec. — Mamy ogromne kłopoty ze wzajemnym odszukiwaniem się, z budzeniem naszych uśpionych braci z młodszych linii. Postarajmy się, aby przynajmniej jeden z nas doczekał w pełnej świadomości do początku następnego cyklu.

— Jak to zrobić?

— Postąpmy jak nasi przodkowie w dobie Cezara. Przelejmy wspólną moc na jednego z nas, a on, stroniąc od jakiegokolwiek działalności, niech czeka i gromadzi wiadomości, przydatne podczas następnych faz. Niech doczeka następnego cyklu, zgromadzi braci, pobudzi przydatnych do nowych zadań.

— Możemy spróbować. Tylko kto z nas ma szansę przeżyć jeszcze 64 lata?

— Wiemy, jak żyć, jak unikać chorób, jak zachowywać tężyznę...

Wybrano najmłodszego, dziewiętnastoletniego Francuza — Armanda Lapina. Ten bez szemrania udał się do klasztoru w górach Owernii, aby tam czekać. Niezupełnie mu się to udało. W roku 1570, przeniesiony przez swych duchownych zwierzchników do Paryża, zginął na skutek donosu jako heretyk podczas Nocy św. Bartłomieja.

— To twoja robota — Anna spogląda na Tułacza, a ten skromnie nie potwierdza ani nie zaprzecza. Opowiada dalej:

— Mimo niepowodzenia misji Lapina instytucja Strażnika została zachowana. Naturalny syn Armanda, Roger, przechował jego papiery pisane hieroglifami. Oczywiście sens ich pojął dopiero dwudziestego dziewiątego lutego 1612 roku, gdy wkroczył w fazę przebudzenia. Wprawdzie nigdy nie udało się zgromadzić pełnej Trzynastki Spadkobierców, to jednak dzięki instytucji Strażnika konspiratorzy, ze stulecia na stulecie, konsekwentnie realizowali swe plany.

— Coraz bardziej rozwijając naukę i technikę — pokiwał głową Złocki.

— I podważając wiarę we Wszechmocnego! Oczywiście stopniowo. Najpierw trzeba było skruszyć w ludziach szacunek do wartości absolutnych. Wiarę zastąpić przekonaniem o wszechmocy ludzkiego rozumu. I tak przebudzenie 1612 roku zaowocowało licznymi impulsami w świecie nauki. Łatwo jest zauważyć wpływ Spadkobierców choćby na Kartezjusza.

— Na Kartezjusza?

— A któż podyktował mu słynne: „Myślę, więc jestem”? A właśnie ta formuła stanowiła fundamentalny przewrót w relacjach między człowiekiem a kosmosem. Zamiast podejścia: „Stworzono mnie, a więc mogę myśleć”, Kartezjusz wylansował śmiało: „Myślę, a więc sam jestem dla siebie ostateczną instancją”.

Z kolei bez pobudki w roku 1676 nie byłoby Newtona i podstaw mechaniki, która zrewolucjonizowała świat. W roku 1740 — emisariusze Pamiętających rozpoczynają kolejne stadium planu — radykalnie przyspieszają rozwój wynalazków (jeszcze chwila, a ludzkość skorzysta z energii pary wodnej), inspirują powstanie masonerii w Anglii, ruchu encyklopedystów we Francji...

Obudzony Wolter wspiera intelektualnie wzorcowe nowoczesne mocarstwo, jakim stają się Prusy Fryca Wielkiego. Inny obudzony tytan myśli działa w Rosji, nosi nazwisko Łomonosow... Trwa nieprzerwane pasmo spadkobierczych sukcesów, ideologia oświecenia podcina filary, na których wspiera się gmach Kościoła, dochodzi do kasaty zakonu jezuitów...

— A gdzie ty wtedy byłeś? — zapytała Anna. — Poddałeś się? Nie przeciwdziałałeś?

— Mówiłem już, że działania ofensywne są sprzeczne z moją naturą i misją. Poza tym długo miałem ograniczone możliwości, nie mogłem być w więcej niż jednym miejscu naraz, wnikać mogłem tylko w ciała niedawno zmarłych, a komunikacyjnie zdany byłem na nogi mych „nosicieli”, ewentualnie ówczesne środki podróży: wóz, statek... Zanim nie pojawiła się łączność elektroniczna, nie mogłem skutecznie śledzić wszystkich mych przeciwników. Na dodatek każda gwałtowniejsza akcja mogła ściągnąć na mnie uwagę Spadkobierców bądź podejrzliwych ludzi postronnych.

— Co więc robiłeś w tamtych czasach?

— Obserwowałem, podróżując po świecie. Dłuższy czas przebywałem w Ameryce. Najpierw w Paragwaju, w republice Guaranów, którą przy pomocy miejscowych Indian tworzyli jezuici. Bardzo ciekawy eksperyment...

— Widzieliśmy film „Misja”... Aż tam cię zaniósł?

— Miałem nadzieję, że z tego łacińsko–indiańskiego tygla wyłoni się moralna alternatywa dla technoracjonalistycznej cywilizacji, tworzącej się w Europie. Nie udało się. Wróciłem więc do Starego Świata. Tam ugrzązłem na pewien czas w Indiach i Chinach, próbując analizować, co może wyniknąć z kontaktu odmiennych kultur z coraz szybciej rozwijającą się Europą. Wreszcie ze Szkocji pod nazwiskiem Smali przybywam do brytyjskich kolonii w Ameryce Północnej, gdzie nareszcie znajduję odpowiedniego ucznia. Niesłychanie utalentowanego młodzieńca, którego mam nadzieję wykorzystać do kontrakcji. Ciągle mam jeszcze nadzieję, że nie hamując cywilizacyjnego postępu, ludzkość zdoła zachować humanistyczną równowagę.

— I cóż to był za uczeń?

— Thomas Jefferson...

— Doprawdy?

— Jeśli dobrze wczytać się w napisaną przez niego konstytucję Stanów Zjednoczonych to wśród oświeceniowej frazeologii znajdziecie sporo elementów, do autorstwa których mogą się przyznać...

Wiek XIX — stulecie sukcesu buntowników. Na dobre zaczęło się od rewolucji francuskiej, do której wybuchu Spadkobiercy walnie się przyczynili, współtworząc pierwsze loże masońskie i stymulując ruch encyklopedystów. Czy d’Alambert i Wolter należeli do Przebudzonych, czy mieli tylko tajnych doradców? A Benjamin Franklin? A James Watt? ... Wieczny Tułacz nie był pewien. Poczynania Spadkobierców nabrały takiego rozmachu, że wymknęły się spod jego kontroli. Homo technicus stał się faktem. Religia nie mogła stanowić przeciwwagi, coraz częściej cofała się za mury kościołów, podobnie jak papież — w drugiej połowie stulecia dobrowolny „Więzień Watykanu”. Przez cały wiek XIX trwały nieustanne przygotowania do decydującej fazy. „Nieświadomymi narzędziami” Pamiętających byli Darwin i Engels, Nietzsche i Becquerel, Niels Bohr i Albert Einstein, Edison, a nawet bracia Lumiere...

Każdorazowo w okresach przebudzeń uzupełniano skład do pełnej Trzynastki. Po przeszukaniu najdalszych zakamarków świata (pod tym względem inspiracja Spadkobierców przyczyniła się do likwidacji ostatnich białych plam na kuli ziemskiej) okazało się, że aktywnych Pamiętających pozostało zaledwie osiem linii. Odnajdywano za to coraz więcej Uśpionych. Odszukiwanie ich nastroczało zresztą wiele trudności. Przypominało zarzucanie wielkiej sieci bez pewności, czy w akwenu znajdują się ryby. W celu przetestowania maksymalnej liczby kandydatów bez wzbudzenia ich podejrzeń szeroko posługiwano się hipnozą. W latach 1868–71 około tysiąca wytypowanych osobników na pięciu kontynentach potraktowano formułą: „Itar Tar”. Tylko sześciu zareagowało pozytywnie, zasilając wraz ze swymi rodzinami kartoteki Spadkobierców Potencjalnych.

Mimo wszystko bilans dokonań ówczesnej Trzynastki był niemały — zjednoczenie Niemiec, rewolucyjny eksperyment Komuny Paryskiej, socjalizm...

Podczas spotkania w 1868 roku w Wiedniu kolejnym Strażnikiem wybrano dziewiętnastoletniego Włocha, Augusto Stardiego. Pozostali nie przeżyli następnej dekady, choć każdy w swoim kraju walnie przyczynił się do rozwoju nauki i techniki. Zgodnie z ustaloną praktyką, Stardi starał się trzymać na uboczu, co nie znaczy, że nie kontynuował poszukiwań potencjalnych krewniaków.

Właśnie w trakcie owych hipnotyzerskich zabiegów doszło do nieprawdopodobnego zdarzenia. Wiosną 1869 Augusto, który został studentem Uniwersytetu Monachijskiego, zdecydował się odwiedzić w domu swego profesora Maxa Haushofera. Z analizy genealogii rodzinnej wynikało, że powinien należeć on do bawarskiej linii Uśpionych. Stardi zapukał do mieszkania naukowca w pewne kwietniowe popołudnie, lecz go nie zastał. Chciał zawrócić i przyjść innym razem, ale żona profesora i jego brat Karl życzliwie zaprosili go do wnętrza i zaproponowali herbatę. Karl, doskonale zapowiadający się geolog, nawiązał interesującą rozmowę z młodzieńcem. A ten po chwili wahania postanowił wypróbować na nim hasło. Skoro jeden Haushofer powinien być potomkiem Czwartego, to i jego rodzony brat też nim być musi. Stardi, wykorzystując ledwie jedną dziesiątą mocy, bez trudu uśpił Bawarczyka, a następnie pochylił się nad nim i rzucił dramatycznym szeptem: „Itar Tar, Tar Itar!”

Haushofer nie zareagował, rozległ się natomiast krzyk i łomot ciała. To zemdląca podsłuchująca przez szparę w drzwiach szwagierka geologa. Zaniepokojony Stardi ulotnił się i jeszcze tego dnia opuścił Monachium. Skreślił Haushoferów z listy. Zbyt pochopnie. Naukowcy z Monachium rzeczywiście byli potomkami Jedenastego... Tyle że Karl, w odróżnieniu od pierwotnego Maxa, był owocem romansu swojej matki ze stangretem... Ale któż to mógł wiedzieć?

Trzy miesiące później pani Haushofer urodziła dorodne niemowlę. Nazwano je również Kań, po stryju. Noworodek ważył prawie pięć kilo i nic nie wskazywało, żeby kwietniowe omdlenie matki w czymkolwiek zaszkodziło ciąży.

Może nawet pomogło. Bo, kiedy już Karl junior wydał, pierwszy krzyk i miano go obmyć w wodzie, matka przysięgała, że słyszała, jak noworodek krzyknął do położnej:

— A podwiązać pępowinę, kretyńko!

— Czyżby niechcący Stardi obudził genetyczną pamięć płodu? — zdumiała się Anna.

— Tak było. I dzięki temu zdarzeniu rzesza uspionych Spadkobierców miała na przełomie stuleci aż dwóch Strażników, do roku 1932 nie kontaktujących się ze sobą. Haushofer odziedziczył wprawdzie całą pamięć ponad dwustu pokoleń, nie wiedział jednak nic o działalności Spadkobierców. Nikt z jego protoplastów nie uczestniczył bezpośrednio w spisku. Działał sam. Trzeba przyznać, dość skutecznie.

O profesorze, czy może przede wszystkim generale artylerii Karlu Haushoferze, podróżniku, twórcy niemieckiej geopolityki można przeczytać w każdej szanującej się encyklopedii. Czyż to nie on był prekursorem niemieckiego etnocentryzmu, formułując twierdzenie: „Polożenie geograficzne Niemiec oraz właściwości rasowe narodu niemieckiego postulują dla wszystkich Niemców zarówno jednolitą koncepcję historii, jak i jednolite stanowisko polityczne”. Haushofer nie wiedział nic o wielowiekowej konspiracji Spadkobierców, pamiętał jednak o początkach ludzkiego gatunku, nie zapomniał Kreatora i wygnania z Cieplarni. Trzeźwo analizował fakty — żaden z jego przodków nie został obudzony, a jemu samemu nadzwyczajna pamięć odblokowała się w łonie matki. Czy to mógł być przypadek? Czy był jedynym egzemplarzem swojego rodu na Ziemi? Analizując epoki, w których dane było żyć jego antenatom, wybierał fakty niezwykle, a przypominające jego osobistą iluminację. Zauważywszy prawidłowość zdarzeń powtarzających się co 64 lata, doszedł do wniosku, że między rokiem 1932 a 1933 stanie się coś ważnego. Tylko co? Można się zastanawiać, jak doszło do tego, że Karl Haushofer żył tak długo z równie nieprawdopodobnym bagażem wspomnień. Nie zwariował, nie popełnił samobójstwa, co tak często przydarzało się jego kuzynom, których przebudzenie nastąpiło w wieku dojrzałym. Średni czas życia po iluminacji wynosił dla nich od roku do pięciu lat (nie dotyczyło to Strażników, ci wraz z mocą otrzymywali wzmocniony mechanizm odporności psychicznej). Karl, obudzony jeszcze w łonie matki, miał najwyraźniej czas zaadaptować się, zanim jeszcze wyrósł z wieku dziecięcego. Jako osesek oswoił się z innością. Oczywiście, w swych pracach bardzo ostrożnie wykorzystywał wielowiekowe doświadczenia i nikomu nie zdradzał prawdziwych korzeni swej wiedzy. Odbywał podróże i studiował kultury Dalekiego Wschodu. Choć nie musiał. Jego ścieżka genealogiczna prowadziła poprzez kulturę Ariów — toteż od urodzenia biegle posługiwał się sanskrytem, hindi, staroperskim, greką... Jego przodkowie przyswoili sobie japoński i han. Z łatwością nawiązywał kontakty z tajnymi stowarzyszeniami propagującymi magię i satanizm. Wprawdzie w duchu śmiał się z ich naiwnych praktyk, ale nie lekcewał znaczenia i korzyści, jakie dawało przynależenie do tych kręgów. Często podczas seansów okultystycznych, które namiętnie organizowała monachijska śmietanka, podawał się za chaldejskiego maga. Lubił zwać się Wielkim Mistrzem Nowego Zakonu Templum, był ważną figurą Bractwa Różokrzyżowców. Uważał, że los dał jemu i nacji niemieckiej wyjątkową szansę zdobycia władzy nad światem. Potrzebował tylko narzędzia. Czy mógł nim być jego młody asystent na monachijskiej katedrze, Rudolf Hess? A może ten nieśmiały, niepozorny Austriak, kapral z Linzu?

Po raz pierwszy zobaczył go w piwiarni Brennesel, zbierała się tam grupka życiowych popaprańców: kapitan Rohm — władczy pedał z pokiereszowaną twarzą, dziennikarz i nieudacznym literat, a przy okazji pijak i morfinista — Dietrich Eckart, ślusarz Drexler — proletariacki listek figowy przyszłej partii, i trzydziestoletni włóczęga, przezywany „zebrakiem z Wiednia”, kapral nie istniejącej armii, kawaler Żelaznego Krzyża — Adolf Hitler.

Co takiego zobaczył w tym niepewnym sobie, wymizerowanym osobniku wyrafinowany intelektualista, dziedzic pamięci dwustu pokoleń? Bestię z Apokalipsy? Nadcześniaka? Zoologicznego antysemitę? A może raczej — utalentowanego aktora naturšczyka, któremu

należało nadać szlif?

Haushofer dokonał wyboru. Postawił na Hitlera — z prawd i półprawd sklecił nową religię Krwi i Swastyki i jak truciciel Klaudiusz wpuścił ją do ucha ojca Hamleta, tak on zaaplikował ją Adolfowi. Zadbął o wszechstronne przygotowanie swego adepta, wybrał dlań optymalny image, wpoił wiarę w siebie i własne posłannictwo. Aż wreszcie podczas mrocznej ceremonii, przez próby krwi i trucizny, ognia i magii wprowadził go tunelem wśród obnażonych szpad do Łoży Thule. I do wielkiej polityki...

Miał zatem swoje narzędzie, doradzał mu, wspierał i czekał na rok 1932, kiedy, jak wierzył, sam też się dowie, czemu może posłużyć uwolniony demon.

*

— No właśnie — przerwał Złocki. — Usiłujesz nam udowodnić, że Spadkobiercy maczali swoje palce w praktycznie wszystkich ważniejszych wypadkach na Ziemi. Ale czy możesz wreszcie wydusić z siebie, jaki był ich główny zamysł? Dopędzić technologicznie Przybysza z Kosmosu. I co jeszcze?

— Myślałem, że jest to dla was jasne od początku. Zabić Go!

— Zabić Boga? — wyszeptał Vitry. — Oh, mon Dieu!

— Zabić, zanim się ponownie obudzi i poskromi ich szalone zapędy.

— Czy mieli szansa?

— W roku 1932 jeszcze niewielkie. Ale próbowali.

Spotkali się po północy z trzydziestego kwietnia na pierwszego maja, w Noc Walpurgi. Sceneria spotkania też wyglądała jakby żywcem przeniesiona z legendy o Nibelungach — stary dwór w Hochenschwangau, o rzut kamieniem od architektonicznej fantasmagorii Ludwika Bawarskiego, czyli zamku Neuschwanstein, którego minaretowe wieże, wylaniające się z mroku w świetle błyskawic szalejącej nawałnicy, przywodziły na myśl gotyckie pandemonium lub kunsztownie przygotowane widowisko z gatunku „Światło i dźwięk”.

W alpejskiej kryjówce zjawili się wszyscy żyjący Spadkobiercy — sędziwy, na wpół sparaliżowany Stardi, od paru lat poruszający się wyłącznie w fotelu na kółkach, młody kandydat na kolejnego Strażnika — dwudziestojednoletni Chińczyk Lee Mingh, którego rodzina o mandaryńskim rodowodzie po rewolucji Sun Jat Sena przeniosła się do Kalifornii, Szwajcar Wolfgang Boillier — , Francuz Guy La foret, Anglik Trenton ojciec, nadto jeszcze dwóch Spadkobierców i pięciu Obudzonych przez Stardiego, aby dopełnić składu. Jako trzynasty przybył Karl Haushofer.

Wprawdzie Stardi, zgodnie z regulaminem Strażników, trzymał się na uboczu (od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku mieszkał w willi na Capri, sąsiadując ze słynnym Axelem Munthe, z którym wielokrotnie wiódł długie rozmowy o ludziach i zwierzętach), nie tracił jednak z oczu wydarzeń rozgrywających się na świecie. O Karlu Haushoferze i jego teoriach było zbyt głośno, aby nie skojarzyć wybijającego się geopolityka ze swoją nieudaną misją w domu jego ojca w Monachium. Nie mógł wręcz się doczekać dnia 29 lutego 1932, kiedy będzie mógł rzucić w słuchawkę: „Itar Tar...” i usłyszeć w odpowiedzi: „Tar Itar... Czekalem na znak, bracie.”

Po grzmotach i błyskawicach przyszła pora na ulewę, ale zgromadzeni nie zwracali na nią uwagi.

— Czas Armageddonu nadchodzi — skrzypiał Stardi. — Szanse wyrównują się.

Mimo podniosłej atmosfery istniały poważne różnice w ocenie sytuacji. Staremu Haushoferowi trudno było pogodzić się z myślą, że przyszłość świata należy nie do germańskich nadludzi, a jedynie do potomków zbuntowanej Trzynastki. Jak to możliwe, żeby w kaście panów znaleźli się zarówno nordycy, jak Słowianie, Chińczycy, Arabowie...

— Bracia, wykluczcie przynajmniej Żydów! — wołał.

— Decyduje boska krew naszego rodu HS 1 — uspokajał go Stardi.

— Na razie jest nam po drodze z twoimi nazistami — dorzucił Guy Laforet. — Jeśli faszystom powiedzie się przejęcie władzy w Niemczech, a następnie dokonają zjednoczenia świata, przyjdzie nam łatwiej przeprowadzić dzień Wielkiego Przebudzenia.

— Co więcej, jeśli Hitlerowi i towarzyszą mu uda się rozwiązać kwestię żydowską w Europie i

przy okazji pozbyć Wiecznego Tułacza, będziemy mogli być im tylko wdzięczni — dodał Stardi.

— Wszelako jeśli ułatwimy dojście do władzy liderom NSDAP, oznaczać to będzie konflikt zbrojny — zaniepokoił się Boillier, ostrożny jak każdy Szwajcar. — A wynik wojny zawsze bywa niepewny...

— Wojna bardzo się przyda — odezwał się Trenton, którego rodzina od paru pokoleń specjalizowała się w handlu bronią. — Od wiek wieków wszystkie wojny przyczyniały się do dynamizowania postępu technicznego.

— Głównie jeśli idzie o narzędzia śmierci — zauważył półgłosem Lee Mingh.

— Przecież poszukujemy narzędzia, którym pokonamy naszego Wielkiego Przeciwnika — zarechotał Stardi.

— W paru krajach fizycy teoretycy twierdzą, że nowa bomba o nieprawdopodobnej sile może powstać już w ciągu najbliższego dwudziestolecia — zauważył Laforet.

— Sądzę, że wybuch wojny światowej mógłby skrócić ten czas o połowę — powiedział Trenton z entuzjazmem.

— Jest jedno ale — odezwał się Wielki Mistrz Zakonu Templum. — Nawet jeśli zdobędziemy broń o wystarczającej sile, nadal nie mamy pojęcia, gdzie ją skierować, gdzie znajduje się cel.

Zapadła cisza. Słysząc bębnienie gradowych kul po blaszanym dachu. Rzeczywiście, od sześciu tysięcy lat nie udało im się natrafić na najmniejszy nawet ślad kryjówki Kreatora.

— Istnieje niebezpieczeństwo, że znajduje się ona w przestrzeni pozaziemskiej. Na odwrotnej stronie Księżyca, na Marsie lub głęboko pod gorącą powłoką chmur ukrywających powierzchnię Wenus — odezwał się w końcu Stardi.

— Jednak z tego, co o Nim wiemy, wynika, że podczas kolejnych procesów hibernacji nie oddalał się od Ziemi — skontrolował go Laforet.

— Tak! — wykrzyknął Lee Mingh. — Pamiętam, jak opowiadał Umiłowanemu, że raz podczas milionletniego snu omal nie pochłonęło Go pęknięcie tektoniczne, a innym razem tylko czujniki zbudziły na czas przed upadkiem gigantycznego meteorytu.

— Pytanie zatem brzmi: nie czy, ale gdzie na Ziemi zaszył się Kreator — podsumował Haushofer. — Tu również może się przydać organizacja faszystowska. Sfinansujemy tajne wyprawy...

— Pod hasłem: „Szukamy kryjówki Pana Boga”? — skrzywił się Boillier.

— Hasła mogą być różne: „Święty Graal”, „Zaginiona Arka Przymierza”, „Pierścień Nibelungów”, „Atlantyda”, „Egipski Labirynt”. Program naturalnie może trwać latami, ale prędzej czy później musi przynieść rezultaty. Wybierzmy tylko priorytetowe kierunki i do roboty...

— *Obawiam się, że przyjdzie przetrząsać nam Tybet, Saharę, dno Morza Sargassowego...*

— *Toteż warto zainwestować w system, który stać będzie na sfinansowanie tak kosztownych ekspedycji.*

— *Zastanawiam się tylko — odezwał się Boillier — czy koszta nie przerosną ceny?*

— *Nie ma ceny, gdy stawką jest Świat i Wieczność.*

— Ale jednak się im nie powiodło! — przerwała mu Anna.

— Na szczęście — odpowiedział Kryszałowy. — Początkowo wszystko szło po ich myśli: Hitler przejął władzę już w następnym roku i zbudował totalitarne państwo. Himmler zgodził się patronować ekspedycjom opatrzonym kryptonimami: „Święty Graal” i „Pierścień Nibelungów”. Żadna z nich nie trafiła jednak na ślad Pana. Nic nie wyszło z próby zawładnięcia superbronią. W roku 1938 udało mi się osobiście skłonić Enrico Fermiego do emigracji z faszystowskich Włoch. Wprawdzie wkrótce skonstruował broń atomową, ale oddał ją w ręce demokracji amerykańskiej. Swoich żydowskich naukowców pozbyli się sami naziści... Ja w onych czasach byłem jasnookim aryjskim blondynem z legitymacją SS i nie groził mi los ofiar Holocaustu.

— Nie mogłeś mu zapobiec? — w głosie Jacquesa zabrzmiał wyrzut.

— Nie mogłem. Władze Zachodu, a także diaspora amerykańska byli głusi na krzyk ginących. Tymczasem, jak można było przewidzieć, coraz bardziej rozmijały się drogi Hitlera i jego magów. Po wybuchu wojny wpływ Haushofera na Führera słabnie. Uczeń urywa się ze smyczy czarnoksiężnikowi. Zaczyna popełniać błędy. Przestaje słuchać kogokolwiek, wdaje się w wojnę na parę frontów. I nie pozwala się zawrócić z drogi nawet Spadkobiercom. Syn Karla, dyplomata Albrecht Haushofer, aktywnie uczestniczy w przygotowaniach wyprawy Hessa do Anglii, później bierze udział w spisku generałów, za co pod koniec wojny zapłaci głową w katowni Gestapo. W obliczu zbliżającej się klęski Trzeciej Rzeszy Spadkobiercy nie tracą głowy. Pamiętający wiedzą, że nim nadejdzie koniec dwutysiąclecia, będą mieli jeszcze jedną szansę.

Nie zamierzają jednak aż tak długo czekać. Lee Mingh, po przekazaniu mu mocy Strażnika, budzi aż czterdziestu dziewięciu Uśpionych, odnajdując ich w najrozmaitszych miejscach i środowiskach, od elitarnych jednostek Waffen SS po obozy koncentracyjne, sam zaś, zgodnie z procedurą „ochrony Strażnika”, udaje się przez Szwajcarię do USA. Pozostali zwołują poszerzony sabat w ustronnym Gasthausie w malowniczym zakątku Saksonii.

— Wojna jest przegrana, ale po wojnie rozejdziecie się po świecie — szepce do uczestników konwentyklu sparaliżowany, ale wciąż dysponujący jasnym umysłem Stardi. — Przygotujecie ostatnią fazę...

Jego głos niknie zagłuszony warkotem silników. Jest noc z trzynastego na czternastego lutego 1945. Uczestnicy narady podrywają się, ich wyostrzone zmysły czują zagrożenie, intuicja zapowiada śmierć i zniszczenie. Jęczą pikujące bombowce. W odległej Lizbonie, w małym hoteliku na Bairro Alto, oczekujący na lot do Stanów Lee Mingh budzi się i wyje ze strachu. Mimo otwartych oczu śni sen na jawie, kołysze się ziemia, ściany ociekają krwią. Widzi toczące się czerepy, urwane ręce, skręcające się konwulsyjnie, i drobiny mózgu ściekające po ścianach wśród dymu i wapiennej kurzawy... I wydaje mu się, że słyszy chichot niewidzialnego wroga. Czy to trzęsienie ziemi? Nie, niebo nad stolicą Portugalii jest czyste i gwiaździste. Chińczyk czuje, co się stało, wychodzi na balkon i oddychając ciężko, wygraża rozgwieżdżonemu Niebu.

— Już wiem, to była noc nalotu na Drezno! — wykrzyknął Złocki... — Powiedziałeś jednak, że wszyscy spiskowcy przebywali poza miastem.

— Jeden z amerykańskich bombowców nieoczekiwanie zmienił kurs. Opróżnił luki bombowe ponad spokojnym, sielskim pensjonatem. Nikt z uczestników narady nie przeżył. Co ciekawsze, aliancom nie udało się ustalić nazwiska niesubordynowanego pilota. Okazało się, że człowiek, który odmeldowywał się przed lotem, zginął trzy dni wcześniej. Ktoś musiał się pod niego podszyć, trudno bowiem uwierzyć, że bombowcem kierował niezdyscyplinowany trup. Zresztą — dodał skromnie Kryształowy — pilot po wykonaniu zadania wyskoczył na spadochronie i nigdy go nie odnaleziono.

— To byłeś ty!?

— Musiałem zyskać na czasie. To był ostatni moment. Na szczęście załoga, przez piętnaście minut sparaliżowana po tym, jak wyskoczyłem, ocknęła się i szczęśliwie wróciła do domu...

— A co z Haushoferem? — zapytał Vitry. — Też zginął?

— Na swoje szczęście nie dotarł na miejsce konwentyklu. Atoli podwójna klęska, planu i Trzeciej Rzeszy, zdruzgotała go. Czternastego marca 1946 roku generał profesor Karl Haushofer odebrał sobie życie, popełniając zgodne z zasadami samurajskimi harakiri.

Za oknem pojawiają się pierwsze zapowiedzi świtu, w gęstwinie Puszczy Kampinoskiej odzywają się ptaki. Złocki odczuwa nieprawdopodobne wręcz zmęczenie, a jednak nie chce mu się spać.

— A więc przegrali — mówi. — Nie udało im się zrealizować żadnego z wyznaczonych celów. Dlaczego miałyby powieść się im teraz?

— Bo teraz już wiedzą, gdzie śpi Kreator — głucho odpowiada Wieczny Tułacz.

11. Kapitan Charles wkracza do akcji

Jedenastego grudnia 1992 roku amerykański satelita zwiadowczy, dokonując rutynowych obserwacji nad obszarem południowego Zakaukazia, przekazał do Centrum Kontroli Lotów zaskakujące informacje. Oto wiązka promieni, penetrująca północny stok Wielkiego Araratu, natrafiła na niezwykle wysoką koncentrację ciężkich metali ukrytych pod jęzorem lodowca wypełniającego tak zwaną Górną Dolinę Noego.

— System zbrojonych bunkrów na wysokości czterech i pół kilometra, niezidentyfikowana wyrzutnia rakiet? — dziwili się wojskowi analitycy.

Indagowani tureccy generałowie reagowali śmiechem. W tej części masywu nie posiadali żadnych instalacji. Stacje nasłuchu i kontroli sanitarnej znajdowały się w innych punktach.

— A może to słynna Arka Noego? — zażartował ktoś w sztabie. — Biblia mówi, że gdy wody Potopu opadły, osiadła opodal wierzchołka Araratu.

— Arka Noego, o ile znam Stary Testament, była zbudowana z drewna — odparł szpakowaty pułkownik O'Malloney — a w raporcie są informacje o ołowiu, niklu, aluminium, żelazie...

— Może spadł tam kiedyś samolot, a jego szczątki zatopiły się w lodzie. Należałoby to sprawdzić w archiwum.

— Sprawdzimy, jednakże sądząc po rozmiarach, musiałby to być nie samolot, a lotniskowiec.

Poszukiwania w archiwach nie wykazały żadnych jednostek zaginionych na tym terenie, helikoptery Tureckich Sił Powietrznych, które parokrotnie przeleciały nad Doliną, nie zauważyły niczego godnego uwagi. Lodowiec miał w tym miejscu kilkadziesiąt metrów grubości i cokolwiek znajdowało się pod nim, było doskonale ukryte. Pojawiła się również hipoteza pozaziemskiego meteorytu, przeważały jednak opinie, że natrafiono na naturalne nagromadzenie minerałów.

— Ararat jest wulkanem potencjalnie aktywnym — powiedział ekspert, doktor Cosmi. — W zasadzie zbudowany jest z trzeciorzędowych bazaltów, ale nie wyklucza to występowania żył mineralnych pochodzących z późniejszych erupcji. Całkiem przecież niedawno, bo w roku 1840, był jeszcze aktywny.

I tę interpretację przyjęto. Nie znaleziono funduszy na dalsze badania, a z militarne punktu widzenia meteoryt bądź lava, nawet o ciekawym składzie, nie pobudzały wyobraźni naukowców. Niemniej kiedy w prasie pojawiły się przecieki, po raz kolejny odżyły spekulacje o Arce Noego. Wnet wyroili się zainteresowani sprawą poszukiwacze skarbów i sensacji. Nie dziwota — olbrzymi wąż morski, potwór z Loch Ness czy okręty widma na Morzu Sargassowym, stanowiły, podobnie jak wieści o natrafieniu na ślad Arki, podstawę repertuaru newsów, elektryzujących prasę bulwarową w okresie kanikuly. Poszukiwawczej pasji uległ nawet słynny astronauta amerykański,

John Irvin, ale i on w czasie swojej ekspedycji na Ararat niczego interesującego nie odnalazł.

Tak i tym razem kandydaci na następców Indiany Jonesa szybko ochłodli w zderzeniu z nieprzyjawnymi realiami. Od dłuższego czasu rząd turecki nie dopuszczał w rejon Araratu turystów, tłumacząc swą decyzję wzmożeniem walk z partyzantką kurdyjską. Wspinanie się od strony irańskiej nie wchodziło w grę... Po stronie północnej na byłym sowieckim Zakaukaziu wrzało...

Mimo to znalazło się kilku śmiałków, którzy ruszyli na Bujuk Agri Dagi, jak miejscowi nazywają Świętą Górę. Nie mieli szczęścia. Trójkę Włochów zmiotła kamienista lawina, niemiecki biznesmen i jego kumpel zginęli z rąk Kurdów, a kobieca ekspedycja ze Szkocji zrezygnowała po ataku trzech rosnących psów pasterskich pilnujących stad owiec na stokach góry.

Stosunkowo najbliżej celu dotarła, latem 1994 roku wyprawa alpinistów tureckich. Warto zaznaczyć, że w jej składzie znalazł się zarówno pułkownik O'Malloney, który właśnie przeszedł na emeryturę w NASA, jak i dr Ralf Cosmi, podejrzewany, i słusznie, o ścisłe związki z Centralną Agencją Wywiadowczą.

Dzięki hojnie rozdawanym łapówkom i odpowiednim kontaktom w Ankarze, dotarli oni bez przeszkód do Dogubayazit, skąd ruszyli w góry. Udało się im znaleźć doświadczonych przewodników, służących w spokojniejszych czasach chętnym wybierającym się na świętą górę. Normalny szlak turystyczny prowadzi stokiem południowym aż na sam szczyt, wyprawie O'Malloneya jednak nie zależało na osiągnięciu szczytu, tylko na spenetrowaniu północnego stoku, surowego i trudno dostępnego. Nie było tam turystycznych ścieżek ani przygotowanych obozowisk. Główną bazę założyli na przełęczy Ardar Bulak rozdzielającej dwa wierzchołki Araratu — Mały, nie sięgający czterech tysięcy metrów, i Wielki wznoszący się 5122 metry nad poziomem morza.

Sama wspinaczka nie nastręczała poważniejszych trudności. Była uciążliwa i nudna. Kolejny obóz założyli na wysokości 4250 metrów. Dalej zaczynały się wieczne śniegi. Byli doskonale przygotowani, szef wyprawy, Sulejman Erol, zaliczał się do najlepszych ekspertów od spraw Araratu. Zdobywał go już parokrotnie, posiadał również doświadczenia himalajskie i miał piękne karty jako grotolaz. Przed ekspedycją Erol zadał sobie sporo trudu i jeszcze raz przeanalizował podania ludowe dotyczące Araratu. W miejscowej tradycji żywa była legenda o Gigancie, który śpi wewnątrz wulkanu i budzi się raz na tysiąc lat. Dotąd interpretowano mit wyłącznie jako metaforę powracających okresów aktywności sejsmicznej, ale czy nie mógł się kryć w tych bajaniach inny sens? Krążyło też немало budzących grozę opowieści o śmiałkach poszukujących skarbów, z których żaden nie powrócił żywy...

Dwunastego sierpnia 1994 roku piątka zuchwalców z Erolem i O'Malloneyem (dr Cosmi, który czuł się nie najlepiej, postanowił spędzić ten dzień w obozie) stanęła w kotlinie u czoła lodowca. W porównaniu z gigantycznymi lodowcami himalajskimi nie robił on szokującego wrażenia. Był brudny, spękany, pełen głębokich rozpadlin, jego krawędź, obficie garniowana materiałem skalnym, przywodziła na myśl kieliszek z tequilą. Spod lodowego jezora wypływał wartki potok. Opodal wywierzyska znaleziono ślady paru dawniejszych obozowisk. Posługując się dokładną mapą i szkicami sporządzonymi na podstawie ustnych przekazów, ruszyli wschodnim zboczem obok

wznoszącego się lodowca. Krajobraz wokół był surowy, przygnębiający. Sprawiał wrażenie najbardziej niegościnniej krainy na Ziemi.

Nocowali na skalnej półce zaledwie kilkaset metrów od miejsca, w którym Erol radził rozpocząć poszukiwania. Cosmi wyposażył ich w niezwykle precyzyjne czujniki, które wskazywały owo tajemnicze miejsce nagromadzenia metali. Nie znajdowało się daleko...

Na krótko przed zapadnięciem eksploratorów w sen, z mroku wyłonił się stary Kurd. Mimo chłodu miał na sobie jedynie cienką wełnianą szatę, bardzo stare sandały i brudny turban.

— Kim jesteś? — spytał Sulejman w miejscowej gwarze.

— Pustelnikiem — odparł starzec, zwracając się do O'Malloneya nienaganną angielszczyzną. — Mój erem leży tam w dolinie...

— Czemu wspiąłeś się tak wysoko?

— Aby was przestrzec... Niczego tu nie znajdziecie. Najwyżej śmierć. To miejsce naznaczone klątwą. Zawracajcie!

Nie usłuchali. O'Malloney zaczął zadawać dociekliwe pytania. Starzec, wyraźnie obrażony, okręcił się na pięcie i znikł w gęstniejących ciemnościach.

O świcie trzynastego sierpnia (przesądny Erol proponował opóźnić eksploracje o dobę, ale O'Malloney go wyśmiał) czwórka badaczy rozpoczęła sondowanie lodowcowych rozpadlin. Wkrótce natrafiono na pęknięcie głębsze od innych. Sonda, którą opuścili, wykazała, że pod lodem znajduje się wejście do rozległego systemu grot. A wykrywacze metalu po prostu wariowały...

— Ruszamy — zdecydował pułkownik i pierwszy zagłębił się w szczelinie. Na warcie pozostał jedynie dwudziestosześcioletni Mustafa Ozal. Miał do dyspozycji silną radiostację zapewniającą łączność z bazą; dzięki radiotelefonom mógł utrzymywać stały kontakt z grupką badaczy.

Zarejestrowane raporty są krótkie i rzeczowe. Poszukiwacze meldują o stałym opuszczaniu się w dół, o poszerzaniu lodowych przejść, likwidowaniu przeszkód, wreszcie przychodzi meldunek: „Dotarliśmy do surowej skały, korytarz prowadzi w głąb”.

I wtedy nastąpił wstrząs. Niewielki wstrząs tektoniczny, który jednak przerwał transmisję i wytrącił radiostację z rąk Ozala.

Pochwycił ją natychmiast, jeszcze w locie. Była nie uszkodzona.

— U mnie wszystko w porządku — zawołał do kolegów. — Hej, zgłóście się.

Ale z drugiej strony odpowiedziała mu cisza. Zerwał z uszu słuchawki. Zawołał raz i dwa w głąb rozpadliny. Cisza, wycie wichru, co jakiś czas szmer osuwających się kamyków...

Mocno zaniepokojony porozumiał się z Cosmim i z bazą. A potem, choć było to wbrew

przepisom, sam zagłębił się między zwaly lodu; oświetlane z góry przez zachodzące słońce połyskiwały i złoto, i purpurowo jak grzbiet mitycznego potwora.

Daleko nie dotarł. Po kilkudziesięciu metrach natrafił na lodowe osuwisko. Jeśli ktokolwiek znajdował się głębiej, miał odcięty odwrót.

Jeszcze raz połączył się z bazą. Kazali mu natychmiast wracać. Turcy wysłali już ekipę ratowniczą...

Całą noc trwały próby dotarcia do zasypanych. Warunki meteorologiczne pogorszyły się. Zerwał się wichur i rozszalała zamieć śnieżna. Lodowe rumowisko okazało się grubsze niż przypuszczano. Po oczyszczeniu sporego odcinka lodowej sztolni znaleziono jednak tylko jeden bardzo stary chodak. Ożal mógłby przysiąc, że identyczny nosił Kurd, który poprzedniego dnia pojawił się w ich obozowisku. Czyżby zaczął się w lodowym labiryncie i czekał tam na eksploratorów?

— Nikt nie miał prawa przeżyć — powiedział komendant ratowników, kiedy nastał kolejny świt, a spod jęzora nie dochodziły najmniejsze sygnały życia.

— To klątwa bogów — twierdzili górale.

Trzeciego dnia, kiedy ważyła się decyzja o sprowadzeniu ciężkiego sprzętu, alarm podniosła grupa ratowników obozująca u czoła lodowca. Oto podziemny strumień, wezbrany po dwudniowych opadach, wyrzucił trzy zmasakrowane ciała poszukiwaczy. Trudno było stwierdzić, czy ponieśli śmierć od obrażeń podczas spływu w lodowym kanionie, czy pierwotną przyczyną zgonu było zimno, czy też, jak podejrzewał jeden z lekarzy, ogromny stres. W każdym razie patolog stwierdził, że Erol i jego ludzie byli martwi dopiero od kilkunastu godzin, co oznaczało, że przynajmniej przez pół dnia po zasypaniu musieli jeszcze żyć. Co tam robili, co mogli zobaczyć? Dlaczego nie wzywali pomocy? Może byli nieprzytomni? Niestety, nie znaleziono przy nich żadnych taśm ani notatek.

Najciekawsze jednak zdarzyło się trzy godziny później. Gdy rozważano ponownie plan przebijania się przez lód, ścieżką z góry nadszedł pułkownik O'Malloney.

Wyglądał jak żywy trup. Ubranie miał całe w strzępach, wzrok błędny... Belkocząc mówił o tąpnięciu, o toczeniu się ich czwórki spadzistym korytarzem (w trakcie spadania stracili cały sprzęt), wreszcie o decyzji dotarcia do podziemnej rzeki. Pułkownik, który szedł jako ostatni, potknął się w ciemnościach i po upadku w rozpadlinę utracił kontakt z resztą. Jak się wydostał? Po odzyskaniu przytomności promyk słońca wskazał mu drogę w lodowym labiryncie.

O'Malloney nie potrafi opisać dokładnie miejsca, którędy się wydostał, wielokrotnie tracił przytomność, nieustannie powtarzał, że jest zmęczony, bardzo zmęczony...

— Ale co tam znaleźliście pod lodowcem? — naciskał Cosmi.

— Nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby być dziełem rąk ludzkich. Stosunkowo świeże żyły lawy bogate w rozmaite rudy... Żadnej sensacji.

Pułkownik O'Malloney zmarł parę dni później — jego ciało zostało poddane kremacji. Cosmi stracił serce do poszukiwań. Zresztą stanowisko rządu tureckiego uległo jeszcze większemu usztywnieniu.

I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, który wyśledził Ozał. Stary pustelnik, który przestrzegał ich przed penetracją i który podczas katastrofy musiał być pod lodem, w rzeczywistości zmarł trzy miesiące przed rozpoczęciem wyprawy...

Na twarzach słuchających odmalowało się napięcie...

— A więc Kreator śpi w pieczarach Araratu? — wyszeptała Anna.

— Spadkobiercy tak uważają — odpowiedział wymijająco Kryształowy.

— Wyłącznie na podstawie przebiegu tej wyprawy? — zapytał Vitry.

— Niezupełnie. Wiem, że wkrótce po ukazaniu się artykułu Ozala, w którym turecki alpinista szczegółowo opisał przebieg pechowej ekspedycji, skontaktował się z nim stary Lee Mingh. Na jego zaproszenie Turek poleciał do Stanów. Nie wiem, czy się spotkali i o czym mogli mówić. W każdym razie, parę dni później znaleziono Sulejmana zakłutego nożami w Chinatown... Policja z Los Angeles uznała to za przypadkowe wmieszanie się turysty w bójkę miejscowych opryszków. W zeszłym roku zaginął również w niewyjaśnionych okolicznościach doktor Cosmi. Pewnego dnia wyszedł ze swego domu w Dallas i dotychczas nie powrócił. Wiele wskazuje, że wiedział dużo więcej, niż ujawnił podczas śledztwa.

— Czy to znaczy, że tajemnica Araratu wyszłaby na jaw, gdyby żywioty nie przeszkodziły ekspedycji?

— Nie żywioty, tylko ja — obruszył się Wieczny Tułacz.

— Ty?’

— Jak możecie się domyślać, śledziłem bardzo pilnie całą wrzawę wokół Araratu. Nie przedstawiało to specjalnych trudności. W ciągu ostatnich lat udało mi się dopasować do systemów komputerowych użytkowanych przez ludzi. Mówiąc współczesnym językiem, okazało się, że jestem kompatybilny... Roztoczyłem nadzór nad poczynaniami Lee Mingha, odnalazłem paru czekających na obudzenie...

— Ale co z ekspedycją? — przerwał mu Vitry.

— Kiedy dowiedziałem się o zamierzeniach spółki Erol–O’Malloney, postanowiłem ich wyprzedzić. Korzystając ze śmierci pustelnika, przywłaszczyłem sobie jego ciało. Chciałem uczciwie ostrzec badaczy.

— Chyba wiedziałeś, że cię nie posłuchają?

— Ostrzegłem, a potem zrobiłem, co musiałem. Moim obowiązkiem jest chronić Pana. Kiedy natrafili na wejście główne, kiedy stanęli przed pancernymi wrotami... Nie miałem innego wyjścia, jak wywołać ten wstrząs. Reszty dokonała lodowata woda.

— A cudowne ocalenie O'Malloneya? — zapytała Anna.

— Musiałem pojawić się w jego skórze, aby zdementować przypuszczenia, że cokolwiek ciekawego kryje się pod lodowcem.

— Nie bardzo poskutkowało...

— Wszyscy uwierzyli oprócz Lee Mingha. Kiedy dowiedziałem się o jego kontakcie z Ozalem i zamordowaniu młodego Turka, poczułem, że sytuacja robi się groźna. Tym bardziej, że zbliżał się krytyczny termin przebudzenia, 1996 rok.

— A nie mogłeś po prostu zabić Lee Mingha i wyeliminować pozostałych Spadkobierców, zanim się obudzą?

— Nie jestem mordercą! Poza tym nie znałem wszystkich nazwisk. Komputerami zajmuję się od niedawna. Zresztą Sieć też jest w końcu przedsięwzięciem nowym. To, co opowiadałem wam o historii Spadkobierców, to w dużej mierze wiedza uzyskana w ciągu ostatnich tygodni...

— Co więc zrobiłeś?

— Uznałem, że najlepszym sposobem będzie pójście tropem Chińczyka. Pojechałem za nim do Hiszpanii, potem przykleiłem się do obudzonego Alvareza.

— A właśnie, Alvarez? — odezwał się Vitry. — Czy ten Hiszpan to Spadkobierca czy Obudzony?

— Oczywiście że Obudzony. W populacji HS 1 istniała zawsze część jednostek bliższych Spadkobiercom. Zaobserwowałem, że w okresie poprzedzającym dwudziestego dziewiątego lutego wielu z nich samodzielnie dąży do obudzenia. Ma sny, widzenia. Kiedy po Wielkiej Nocy moc słabnie i wracają do normy, zapominają o zwidach... Chyba że Strażnik ich obudzi.

— Wróćmy do twojego planu...

— Cóż, mówiłem już wam, mój plan polegał na przeniknięciu do Trzynastki, poznaniu ich knowań, no i udaremnieniu ich...

— I w tym celu zabiłeś Alvareza?

— Nie wiedziałem dokładnie, co robi, chociaż po zamordowaniu żony i psychiatry Juan Portillo nie cieszył się moją sympatią. Ostateczną decyzję podjąłem, kiedy idąc za nim Marszałkowską, zobaczyłem, jak kruszy się ten gzyms. Hiszpan miał intuicję, chciał zrobić krok w bok. No, więc go troszeczkę unieruchomiłem... Czy to morderstwo, czy lekkie wsparcie losu? W każdym razie, gdyby nie wasze śledztwo, dziś wiedziałbym wszystko o ich zamiarach...

— Atak?

— Mogę się ich tylko domyślać. Najgorsze, że jestem kompletnym wrakiem, niezdolnym do samodzielnego przeprowadzenia kontrakcji.

— Możesz liczyć na naszą pomoc — zadeklarował Vitry z powagą. — A mój przyjaciel Charles już zaczął działać.

Charles Martigny opuścił Fontainebleau krótko przed północą. Godzinę później znalazł się w zaułku na tyłach CIM-u (Centre Informatique Mondiale). Miał przy sobie legitymację funkcjonariusza Sûreté na nazwisko porucznika Coligny z Direction Active de Renseignement Generaux. Bez trudu wszedł więc do wnętrza, kierując się wprost do bloku D. Niczym nie ryzykował, prawdopodobieństwo, że senny wartownik go rozpozna, było niewielkie, jeśli zaś idzie o prawdziwego porucznika Coligny'ego, to przebywał on akurat na wakacjach wśród cienistych palm Martyniki. Konstruktorzy Światowego Superkomputera doskonale wyposażyli swoje najnowsze dziecko.

CIM-1 nazwany przez jednego ze swych sponsorów Cimesem, posiadał więcej niż tylko wręcz monstrualną bazę danych. Był arcybezpieczny. Nie sposób było włamać się do niego z zewnątrz i dokonać jakiegokolwiek manipulacji... Po prostu przezornie nie podłączono go do Sieci. Wszystkie dane z trzech pozostałych CIM-ów roboczych otrzymywał po przekopiowaniu na dyskietki i oczyszczeniu z potencjalnych wirusów.

A w zgromadzonych w pamięci Cimesa gigabajtach znajdowały się nie byle jakie informacje. Zazdrościło ich Francuzom KGB, a Interpol mógł występować tylko w roli petenta. CIA w ogóle nie miało dostępu. Jeden z najam — bitniejszych realizowanych programów zakładał zewidencjonowanie wszystkich obywateli Ziemi — na razie spisano ponad trzy miliardy, ale prace ciągle trwały. Kartoteka obejmowana imiona, nazwiska, daty urodzenia, profesje, aktualne adresy, a nade wszystko uwzględniała koligacje rodzinne.

— Największy krok naprzód w ewidencji ludności od czasu ksiąg stanu cywilnego wprowadzonych na mocy Kodeksu Napoleona — szczyił się dyrektor Michelet.

Spadkobiercy zainteresowali się Superkartoteką przed paroma miesiącami. Dopomógł przypadek, Laforet był pracownikiem Centrum na długo, zanim nadszedł czas jego przebudzenia.

Co więcej, jego budzik odezwał się wcześniej niż inne. Pierwszego stycznia 1966 roku. Gdy przypomniał sobie, kim jest i komu służy, natychmiast skontaktował się z Lee Minghem. Adres Strażnika odziedziczył wraz z genami ojca. Sytuacja nie przedstawiała się ciekawie. Większość uczestników akcji z roku 1932 (oprócz żyjącej w Szwajcarii rodziny Boillier i kolejnego członka klanu Trentonów) zmarła bezpotomnie albo ich dzieci zginęły podczas działań wojennych. Laforet nie załamał rąk. Póki żył Chińczyk, istniała szansa obudzenia większej liczby Uśpionych. Później nie mieliby szans na odpowiednią koncentrację mocy. U Marcusa Boilliera w Zurychu Laforet odszukał zgromadzone akta Uśpionych.

Stary Chińczyk ucieszył się z kontaktu i nakazał wykorzystać wszystkie możliwości, jakie daje komputerowy skarbiec.

— Dwudziestego dziewiątego lutego nastąpi pierwszy przyływ mocy. Ja przybędę do Europy i zrekonstruuje Trzynastkę, ty do tego czasu odszukaj jak najwięcej Uśpionych.

Laforet zabrał się do pracy. Dane ze szwajcarskiej kartoteki kompletowanej przez wieki metodami tradycyjnymi uległy zmultiplikowaniu. Dzięki programowi wyszukiwania powiązań i wspólnych przodków, wychodząc od informacji dotyczących kilkudziesięciu rodzin, zewidencjonował nazwiska ponad stu tysięcy ludzi wywodzących się z serii HS 1, których obudzić powinno się dać bez trudu, i około miliona takich, których można było podejrzewać, że też są Uśpionymi.

— To będzie prawdziwa armia — ekscytował się Laforet, opowiadając na warszawskiej naradzie o efekcie swej kwerendy. — Wybierzemy wszystkich, którzy mogą się przydać przy realizacji Ostatecznego Planu.

— Lepiej mniej, a dobrych — powściągnął go Strażnik.

Teraz, po stratach poniesionych przez organizację w Polsce, kolejne uzupełnienie Trzynastki stawało się palącą koniecznością. Trzeba było też wybrać rezerwowych. W końcu spośród tych, którzy obudzili się samoczynnie, pozostało już tylko trzech — Lee Mingh, Laforet i Szwajcar Marcus Boillier. Byli jednak dobrej myśli.

Tymczasem w bloku D okazało się, że legitymacja porucznika Coligny'ego nie wystarczy, aby dostać się do serca Systemu...

— Nikt nie może tam wejść o tej porze... — dwaj strażnicy pawilonu stanowili zgrany tandem cerberów. — Zresztą nie dysponujemy kluczami otwierającymi drzwi do głównej pracowni.

— Muszę rzucić tylko okiem na wycinek bazy danych. Wymaga tego dobro państwa — naciskał pseudo-Coligny.

— To proszę zadzwonić do dyrekcji. Przed godziną to samo mówił nam doktor Laforet, a przecież mimo że to pracownik z upoważnieniami, też będzie musiał poczekać do rana.

A więc Laforet coś podejrzewa — przemknęło kapitanowi przez myśl. — A niech podejrzewa. Najważniejsze, żeby go wyprzedzić.

Martigny nie lubił strzelać do ludzi noszących narodowe mundury, ale musiał. Wypalił dwukrotnie. Obserwował wyraz niedowierzania i strachu pojawiający się w oczach strażników, kiedy porażeni ładunkiem paralizującym osuwali się na podłogę...

— Spijcie smacznie! — poklepał ich, siadając do komputera w dyżurce. Pomyśl, jak dostać się do środka, nasunął mu się błyskawicznie. Najpierw odłączył system czujników ruchu sprzęgnięty z komendą policji, następnie przez kanał wywietrznika wrzucił na korytarz prowadzący do pracowni świecę dymną. Spowodowało to natychmiastową reakcję czujników przeciwdymnych i włączenie alarmu przeciwpożarowego. Równocześnie nastąpiło samoczynne zwolnienie blokad. Stalowe drzwi stanęły otworem.

Teraz wystarczyło je tylko zablokować i zadzwonić do straży.

— Tu CIM, strażnik NA-124 Blanchard — rzucił do słuchawki. — Odwołuję fałszywy alarm.

Pięć minut potem znalazł się w środku. Drzwi do pracowni miały wprawdzie zamki, ale nie zamierzał się z nimi bawić, po prostu wybił szybę, przełożył rękę, otworzył drzwi od wewnątrz i wszedł do środka. Kiedy będzie po wszystkim, z magazynu przyniesie identyczną tafłę szklaną, dotnie ją i oprawi, tak by nic nie zdradziło jego bytności wewnątrz.

Pozostawała drobnostka. Aby wejść do Systemu, musiał zdobyć kod dostępu, zaprogramowany codziennie i znany jedynie dyrektorowi i jego zastępcy.

Profesor Michelet, zastępca dyrektora CIM-u, znajdował się na kolacji w jednej z wytwornych restauracji przy Champs Elysee, kiedy zadzwonił jego telefon komórkowy.

— Kto mówi, o co chodzi? — warknął z ustami pełnymi krewetek.

— Pozdrowienia od małego Armanda — zabrzmiało w słuchawce.

Cybernetyk zbladł i wypluł krewetki na gors śnieżnobiałej koszuli...

— Przepraszam, zakrztusiłem się — wybełkotał do towarzyszących mu notabli z Ministerstwa Kultury. Wstał i wyszedł na korytarz. — Kto mówi? — wyjąkał.

— Nieistotne, kto mówi, profesorze, potrzebuję drobnostki, dzisiejszego kodu dostępu do Bazy Głównej.

Micheletowi przez moment stanęło w oczach śniade ciało algierskiego chłopca, nieruchome gałki oczu, zsiniałe usta...

— To był wypadek — wybełkotał — głupi wypadek, dziesięć lat temu. Kto u licha dziś chce do tego wracać?

— Ktoś, kto dysponuje zdjęciami i filmem, na którym mały Armand był żywy, powiedziałbym bardzo żywy, zanim pan nie przystąpił do zabawy... Ale spokojnie, profesorze. Nikt się nie dowie o pańskiej roli w tym incydencie. Chodzi naprawdę o drobną usługę. I żeby uspokoić pańskie sumienie, potrzebuję tego dostępu dla celów prywatnych, a nie dla KGB czy Mosadu.

— Ale...

— Chodzi o małego Armanda? Układ jest jasny. Pan podaje kod, a ja natychmiast o wszystkim zapominam... — Przynajmniej na jakiś czas, dorzuca w myśli Martigny.

Kiedy w poniedziałek otwarto Centrum, nikt niczego nie zauważył. Strażnicy zbudzili się z bólem głowy, ale nie pamiętali o nocnym gościu. Laforet dotarł do swojego stanowiska. Podał kod osobisty i wszedł do banku danych. Zgodnie z poleceniem Lee Mingha miał przekopiować dotychczas zgromadzone dane stu tysięcy Uśpionych na płytę CD. W domu dokona dalszej analizy. Przede wszystkim musi wybrać tych, którzy przydadzą się w Szwajcarii, potem w Rosji. Następnie ustali pulę rezerwową.

Bez trudu otworzył wielki katalog, teraz musiał tylko wprowadzić hasło wyodrębnienia. Ich hasło.

„Itar Tar! Tar Itar” — na moment maszyna zaszumiała, potem z niewiarygodną prędkością, poczęły przelatywać kolumny nazwisk. Daremnie usiłował je zatrzymać. Jeszcze chwila, a wszystko zniknęło. Powtórzył dyspozycję. Uderzył „enter”. Wyświetlił się napis:

ZŁA KOMENDA, PODAJ PRAWIDŁOWE HASŁO!

Cybernetykowi zrobiło się gorąco. Jeszcze raz wprowadził hasło–klucz. To samo. Twardy dysk został wyczyszczony. Zdenerwowany Francuz próbował odzyskać dane. Potem sprawdził parę paryskich nazwisk, w tym własne. Jakiegokolwiek adnotacje, potwierdzające przynależność do Uśpionych zniknęły.

Ktoś nas ubiegł!, pomyślał, wprowadzając selektywnego wirusa. — A ja sam skasowałem cały dorobek! Dobrze, że mam w domu część wydruków i dane pierwotne...

— Paniel” doktorze — w drzwiach stała rudowłosa programistka. — Jest do pana telefon z policji w Auteil.

— Z policji!!! — jęknął, czując jak nogi uginają się pod nim. — O co chodzi? — rzucił do słuchawki.

— Prosilibyśmy o powrót do domu — bezosobowo cedził policjant. — W pańskim mieszkaniu doszło do wybuchu...

— Gaz?

— Pirotechnicy nie wykluczają bomby. Czy ktoś mógł przebywać w lokalu?

Pomyślał o Renę. Tłustym eks–księżulku René Rikenenie, który po pracowicie spędzonej nocy usnął w małym pokoiku gościnnym.

— Mógł być tam znajomy... — mruknął. — Czy są duże straty.

— Zapadły się dwa piętra. Sądzę, że będzie pan musiał poszukać sobie innego mieszkania...

Czy intuicja chodzi w parze z Mocą?

Tego ranka Lee Mingh poczuł się wyjątkowo źle. Patrząc z balkonu pięciogwiazdkowego hotelu Baur au Lac na chłodną toń Jeziora Zuryskiego, czuł, że sprawy nie idą najlepiej. Owszem, meldunki od Iwanowa z Moskwy i Pawłowskiego z Kijowa brzmiały uspokajająco. Natomiast akcja w Polsce została spaprana. Havliczek zameldował o likwidacji Żyda i namierzeniu dwójki Polaków, ale od kilkunastu godzin nie dawał znaku życia. Chińczyk nie lubił, gdy ktoś za długo milczał.

Inna sprawa, że wszyscy ci niezorientowani śmiertelnicy nie byli mu w stanie zaszkodzić. Co innego Wieczny Tułacz. Ale Zeman przysięgał, że całkowicie zniszczył androida.

Pozostawał Vitry. Lee Mingh był wściekły na Rentza i Trentona, że zlekceważyli kurdupła. Jeszcze bardziej irytowało go, że tu, w Zurychu i on, i Marcus byli śledzeni. Ten staruszek, mimo zimna nie ruszający się z ławeczki na Talstrasse. Ogromny Szwajcar o twarzy rottweilera, który przycupnął koło recepcji i od godziny czytał tę samą gazetę... Dla kogo pracowali? Żyd od tysiącleci działał w pojedynkę. Oficjalne struktury policyjne nie miały pojęcia o ich istnieniu. Czyżby wężycieli wynajęło to niepoważne Towarzystwo Parapsychologiczne?

— O jedenastej jesteśmy umówieni w banku. Awionetka będzie gotowa do startu na lotnisku Kloten o dwunastej trzydzieści — melduje Boillier. — Gdyby nie śmierć tego kretyna Alvareza, mielibyśmy dokonany transfer via Kajmany i Iwanow z Pawłowskim mieliby pełne walizy forsy, na temat której nikt nie zadawałby żadnych pytań.

— My podejmiemy tę forszę — odpowiada Lee Mingh. Wszystko jest pod kontrolą.

Odzywa się telefon komórkowy.

— To z pewnością Laforet — mruczy Chińczyk i dla pewności przechodzi na język aramejski. Boillier widzi, jak poorana zmarszczkami twarz tężeje. Słyszy sumeryjskie przekleństwa. Rozmowa trwa kilkanaście minut. Chińczyk odzywa się tylko monosylabami.

— Nic nie rób, czekaj na instrukcje! — mówi wreszcie. — Znajdę kogoś na miejsce Rikenena. I nie denerwuj się. Najważniejsze, że Tułacz został zlikwidowany.

— Ale moja kartoteka?

— Może nie będzie nam potrzebna. Wyłączam się.

— Co się dzieje? — Boillier z niepokojem spogląda na Chińczyka.

— Małe kłopoty, ktoś wyczyścił nasze paryskie archiwum. Załatwili też mieszkanie André, a przy okazji szlag trafił Rikenena.

— Wiesz, kto to zrobił?

— André podejrzewa kumpli tego liliputa. W każdym razie, w tym który nocą odwiedzał Centrum Informatyczne, rozpoznano niejakiego porucznika Coligny'ego z Súreté.

— Súreté się nami interesuje?

— Wątpię, czy sama Firma, wygląda to raczej na prywatne zlecenie. André sprawdził parę rzeczy, okazuje się, że ten Coligny relaksuje się na Antylach. Ktoś posłużył się jego dokumentami.

— Wiemy kto?

— Laforet wspomina innego faceta z tajnych służb, fizycznie bardzo podobnego do Coligny'ego. Niejaki kapitan Charles Martigny, który doskonale zna się z tym małym Vitrym.

— Martigny, wiemy o nim coś więcej?

— To zawodowiec czystej wody. Zaraz na laptopie będziemy mogli zobaczyć jego fotografię.

— Pozbędziemy się sukinsyna, ale jak bez archiwum sięgniemy do rezerw kadrowych?

— Cóż, możemy liczyć tylko na tych braci, których zdążyliśmy obudzić. I to powinno wystarczyć. A po operacji zastosujemy totalny wariant awaryjny!

— Chciałbym to zobaczyć. Na razie jednak musimy jakoś pozbyć się tej obstawy.

— Zamów pięć taksówek. Każdego, kto sądzi, że nas przechytrzy, spotka przykra niespodzianka.

12. Warszawa, Zurych, Los Angeles

Zdarzają się takie chwile, gdy noc szarzeje za oknami, a napięcie jest tak wielkie, że zaciera się granica między jawą a snem, zmęczeniem a gotowością do działania. Ten niebezpieczny moment bezbłędnie zauważył Wieczny Tułacz i zakończył swoją opowieść krótkim poleceniem: — Teraz pójdziemy spać!

Zaprotestowali, mieli tysiące pytań, ale Kryształowy zamilkł. Złocki wstał. Kręciło mu się w głowie. Przechodząc obok szafy, ujrzał w lustrze cień człowieka. Usiadł na łóżku i słuchał szmeru prysznic, pod którym zniknęła Anna. Zasnął na siedząco.

Leśniewska zachowała odrobinę więcej sił, uśmiechnęła się na widok śpiącego kochanka, ściągnęła mu buty, położyła go i nakryła kocem. Potem sama wślizgnęła się obok, wsłuchując się w miarowy oddech mężczyzny.

Nie mogła zasnąć. Świat w ciemności wirował wokół niej. Widziała twarz Bogusia, kiedy kochali się po raz ostatni, martwego Krystyniaka ze strumyczkiem krwi wypływającej z ust. Lodowate spojrzenie Zemana Havliczka. — Gdzie ja jestem, co ja tu robię? — szepnęła do siebie. Zawsze marzyła o wielkiej przygodzie. Kiedy w swym ojczystym przysiółku obserwowała klucze gęsi odlatujących w dalekie strony, marzyła, że kiedyś zabierze się z nimi. A tam spotka tego jednego jedyne, z którym zadziwi świat. Czowała, że jest o krok od spełnienia tych marzeń, tylko nie miała pewności, czy Jerzy Złocki jest właściwym mężczyzną.

— Jemu potrzeba matki, mnie Indiany Jonesa — westchnęła. — Ale życie to przecież sztuka kompromisów. — Pokrzepiona tą konstatacją zapadła w sen.

Tymczasem Vitry jeszcze dwukrotnie usiłował połączyć się z Paryżem. Jednak Martigny nie odpowiadał. Najwyraźniej wyruszył na akcję albo wyłączył telefon i zasnął.

Mały Francuz, mimo ogromnego zmęczenia, kręcił się po mieszkaniu jak pies, dopiero uklepujący sobie legowisko. Czuł się, jakby wypił setkę kaw. Umysł miał jasny, wzrok wyostrzony, a w wyobraźni zamęt, czy to wszystko mogło być prawdziwe? Czy działo się na jawie czy na jakimś piętrze snu o śnie?

Gdzieś w głębi domu cykał zegar, dochodziły odgłosy pobliskiego lasu, zza ściany dobiegało chrapanie Złockiego. Lekko wilgotne łóżko pachniało skórami zwierząt, wyschniętą trawą, wonią jakichś nieokreślonych perfum, być może zapachem ludzi, którzy dawno temu spali na nim, kochali sięj umarli.

Gdzie ja jestem, co ja tu robię? Może zwariowałem... — Mimowolnie biegł wzrokiem w kierunku szpary pod drzwiami, przez którą wyciekało kwarcowe światelko. Najwyraźniej Wieczny Tułacz postanowił poopalać się na zapas.

Było jasno, kiedy wreszcie Jacques zapadł w sen. Winda półświadomości opuściła się z nim w głąb krainy dziwnej, rządzącej się własnymi prawami. Tego niezwykłego magazynu spraw, ludzi i zdarzeń pomieszanych przewrotnie, bezplanowo, a może wedle jakiejś wyższej logiki. Kręcił się w lamusie pamięci, potykał o niewidzialne progi, krążył bezszelestnie nie zauważany przez aktorów tańczących w ciszy. Widział Juliusza Cezara, broczącego krwią i osuwającego się do stóp pomnika Wielkiego Pompejusza, i Karola Haushofera prowadzącego kaprała z Linzu pod baldachimem skrzyżowanych szpad. Niczym w grafice komputerowej obraz zwijał się i skręcał w barwnym wirze, potem rozpadał się na dziesiątki obrazów... Noe pijący z drewnianych kubków z Kopernikiem. Kartezjusz wymachujący nerwowo rękami w dyskusji z Talesem pod wzorzystym portykiem w Milecie. I wyłaniająca się z wiru dziejów wykrzywiona zagadkowym uśmiechem twarz Starego Chińczyka.

Za pięć dziesiątą jedenastego marca pod przednie i tylne drzwi Hotelu Baur au Lac podjechały dwie z zamówionych taksówek. Marcus Boillier wskoczył do zaparkowanej przy kuchennym wyjściu, natomiast Lee Mingh wyszedł ostentacyjnie przez drzwi frontowe. Naturalnie Heinz, czuwający w holu, niezwłocznie zaalarmował swoich ludzi.

Do taksówki Chińczyka prawie natychmiast przykleiło się czerwone audi. Lee Mingh uśmiechał się. Wszystko szło, jak przewidział.

— Jedzie bulwarem Generała Giutana — meldował Wolfgang, prowadząc pewnie jaskrawe audi. — Kieruje się w stronę autostrady, prawdopodobnie chce wyjechać z miasta, dajcie mi drugi wóz, niech czeka... Nie, zaraz, chyba zmienił koncepcję, zawrócił na światłach, skubany, jedzie na Tessinerplatz. Cholera, zawinął nieprawidłowo!

— Skręcaj i ty, nie przejmuj się mandatami!

— A co ja robię? Trzymam się go jak prosię swojej maciory.

— Dobrze, gdzie teraz jesteście?

— Chyba... tak na Bederstrasse. Jedziemy na południe, zaraz będziemy pod autostradą do Chur... Żeby to szlag!

— Co się stało?

— Wysiada. Chyba chce uciekać na piechotę!

— To idź za nim. Nie dogonisz starucha?

— Lecę za nim. Wbiega na górę na poziom autostrady... Skurczygnat! Ucieka nam!

Doskonale zsynchronizowana czasowo taksówka jechała wolno autobahnem i zatrzymała się przy Lee Minghu. Ten mimo podeszłego wieku wskoczył ze zwinnością wiewiórki. Mercedes ruszył, a Chińczyk zdążył jeszcze pokiwać Wolfgangowi wymachującym rękami w bezsilnej wściekłości.

Koło domu reformatora Zwingliego Strażnik jeszcze raz zmienił taksówkę. W międzyczasie założył perukę, ciemne okulary, wywrócił granatowy płaszcz na jasną, wiosenną stronę...

— Bahnhofstrasse! — powiedział do kierowcy.

Nadzorujący akcję Heinz był wściekły. Staruch uciekł. Teraz cała nadzieja w Rudim. Nie wolno mu zgubić Marcusa Boilliera. Tymczasem taksówka Szwajcara od kwadransa kluczyła uliczkami Starego Miasta. Potem skierowała się na zachód. Rudi w passacie trzymał się go, zachowując

maksimum czujności. W tym czasie Heinz zaopatrzył się w motor. Jakiś naiwniak pozostawił maszynę na hotelowym parkingu i nie wyjął kluczyków. Heinz zapalił, pokonał wysoki krawężnik, wspiął się na pochyłą skarpe, niczym cyrkowiec pojechał wąskim murkiem, przeskoczył ponad uliczką dla pieszych i włączył się do ruchu. Gotów był gonić Szwajcara, choćby mu przyszło jechać nawet po dachach.

Tymczasem Marcus raptownie zrezygnował z kluczenia i zjechał ku rzece. Wsiadł z taksówki przed hotelem Zurych, jednak nie wszedł do wnętrza. Skręcił w boczną uliczkę i chwycił jeden ze stojących tam rowerów, które łatwowierni Szwajcarzy zwykli parkować bez zabezpieczeń. Z impetem wjechał na Drahtschmidlisteg, przeciął odnogę rzeczki Limmat, potem przez park i mostek Mattensteg dotarł na drugi brzeg. Goniący go passatem Rudi był bezradny. Chciał wprawdzie, gwałcąc przepisy, ruszyć w pościg ścieżką dla rowerów, ale dwaj barczyści policjanci wyperswadowali mu tę myśl w zarodku.

— Obiekt B jedzie rowerem w stronę Dworca Głównego! — zameldował Heinzowi przez radiotelefon.

— Jestem w pobliżu, nie martw się, stary.

Kiedy schody ruchome wyniosły Boilliera na powierzchnię, kolejna taksówka już na niego czekała.

Udało się, pomyślał.

Ale w tym momencie z rykiem silnika wypadł na plac mężczyzna w skórzanym płaszczu. Ten sam, którego rano zauważył w holu hotelowym.

Dzięki swoim poprzednim wcieleniom Marcus zmagazynował doświadczenia ponad dziesiątki żołnierzy zaciężnych, od piechurów Karola Zuchwałego, po Szwajcarów z Gwardii Królewskiej, ginących w Tuileryach za Ludwika XVI. Strzelił prawie nie celując. Kula trafiła w przednie koło hondy. Heinz wywinął efektownego koziołka i wylądował na trotuarze. Chrupnęły łamane żebra.

— Chyba skończyłeś zabawę, chłopie! — skomentował Marcus i rzucił ogłupiałemu taksówkarzowi. — Bahnhofstrasse!

— Przecież jesteśmy na Bahnhofstrasse — odpowiedział lekko zakłopotany kierowca, wpatrując się w czarny wylot lufy.

— Ale pojedziemy okrężną drogą, bo chciałbym trochę zwiedzić miasto — uśmiechnął się, chowając broń, Boillier.

O jedenastej trzydzieści trzy Lee Mingh i Boillier znajdowali się już w banku, którego nazwę w związku z delikatnymi pertraktacjami na temat hitlerowskiego złota wypada pominąć, w gabinecie dyrektorskim przeznaczonym wyłącznie dla wyjątkowych gości i specjalnych transakcji.

— Dawnośmy się nie widzieli, kuzynie — powiedział młodszy z bankierów, nazwiskiem Rundel, potrząsając dłonią Marcusa.

Generalny dyrektor, kościsty i wyschnięty jak portfel skąpca, był powściągliwszy w ruchach.

— Pojawiły się pewne kłopoty, Meine Herren — rzucił gdzieś między Szwajcara a Chińczyka.

— Papiery są nie w porządku? — zdumiał się Boillier.

— Nie, nie, papiery są w najlepszym porządku — pospieszył się Rundel. — Jeśli idzie o twoją skrytkę, możesz natychmiast odebrać depozyt. Natomiast jeśli idzie o rzeczy pana Alvareza...

— Mamy jego pełnomocnictwo.

— Niestety, procedura wydawania depozytu plenipotentowi jest trochę dłuższa i bardziej skomplikowana — westchnął prezes.

— Ile to może potrwać? — spytał Lee Mingh.

— Nie sędzę, żeby dłużej niż trzy dni.

Chińczyk pobladł, choć bladość trudno zauważyć na chińskich obliczach, a szczególnie leciwych. Zachował jednak kamienny spokój.

— W takim razie dziś weźmiemy tylko twoją teczkę, Marcus — wycedził.

— Zatem zapraszamy do skarbcza... — kuzyn Boilliera usiłował rekompensować ostentacyjną życzliwością powstałe komplikacje.

Zjechali na dół. Obaj dyrektorzy umieścili swoje klucze w mechanizmie wyzwalającym automat otwierający pancerne wrota. Następnie cała czwórka weszła do sali depozytów.

— Parę lat temu wprowadziliśmy system daktyloskopijny — chwalił się prezes. — Skrytki otwierają się wyłącznie po zidentyfikowaniu odcisku palca użytkownika...

— A jak postępujecie w wypadkach awaryjnych? — zainteresował się Lee Ming. — Jeśli użytkownik nie żyje, a odcisków jego spadkobierców nie ma w banku informacji?

— Stosowana jest procedura nadzwyczajna wymagająca równoczesnego dotknięcia palcami

czytników przez prezesa i jego zastępcę...

Boillier przytknął palec do szybki. Rozległa się przyjemna melodyjka, szafka otwarła się posłusznie, a schowana w niej teczka wysunęła na zewnątrz.

— Teraz panów kolej — Lee Mingh zwrócił się do bankierów. — Otwierajcie drugą skrytkę.

Na ustach prezesa pojawił się drwiący uśmiezek, Rundel zaś stęzał i pokręcił przecząco głową.

— Nie słyszałem nawet tej propozycji — wykrztusił z wyrazem bezgranicznego smutku.

Chińczyk nie drgnął, natomiast jego chuda główka obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni w stronę Rundela, jak gdyby znajdowała się na niewidzialnym łożysku.

Głowa kobry, cholera, wygląda jak prawdziwa głowa kobry — przemknęło przez myśl wiceprezesowi.

Usta Lee Mingha rozchyliły się niczym szerniały kielich mięsożernej rośliny.

— Itar Tar, Tar Itar — syknął dobitnie.

Rundel zachwiał się, jakby ukąsiły go te słowa, przez moment oczy miał szkliste, nieprzytomne.

— Itar Tar, Tar Itar — powtórzył Strażnik formułę.

— Co mam robić? — spytał bankier głuchym, nie swoim głosem.

— Otwórz sejf.

— Co ty wyprawiasz! Zabraniam, kategorycznie ci zabraniam, Peter! — zapiszczał prezes. — Co się z tobą dzieje!?

Boillier wyciągnął z oprawki okularów cienką jak włos stalową nić i podał ją Obudzonemu.

— Wiesz, co masz zrobić, ja przytrzymam.

Obaj z Lee Minghem unieruchomili prezesa. Rundel natomiast zwinnym ruchem owinał jego kciuk stalową żyłką i szarpnął. Nieludzki skowyt, fontanna krwi. Zemdlony bankowiec osunął się na posadzkę skarbcza. Boillier podniósł odcięty kciuk i przytknął go obok palca Renza do czytnika. Sejf otworzył się przy dźwiękach sympatycznej melodyjki.

— Skoro tu już jesteśmy, na pewno wiesz, gdzie jest przechowywana kolekcja kamieni Fundacji Wallenhoffa...? — Boillier uśmiechnął się szelmowsko do pobladłego Rundela. — W końcu dziesięć milionów franków piechotą nie chodzi.

W trzy minuty później byli gotowi do opuszczenia skarbcza. Strażnikom mieli powiedzieć, że prezes został na chwilę sprawdzić własny depozyt. Piąta z zamówionych taksówek powinna już czekać na

tyłach banku. Zresztą i tak musieli opuścić pomieszczenie ze względu na porażający fetor.

— Co tak śmierdzi? — zastanawiał się Boillier.

— Twojemu sympatycznemu kuzynowi w trakcie nieoczekiwanego przebudzenia puścił zwieracz...
Ludzka rzecz — odpowiedział Lee Mingh.

Do Flughafen w Kloten dotarli nie niepokojeni przez nikogo. Jeśli nawet ludzie Charlesa obserwowali lotnisko, Spadkobiercy w toalecie jeszcze raz gruntownie zmienili charakterystykę. A Peter Rundel także spodnie. Obaj Szwajcarzy pobiegli w stronę awionetki, którą wynajęli, podając się za turystów chcących polatać nad Alpami, Lee Mingh zaś ruszył do bramki, za którą oczekiwali pasażerowie lotu 328 do Los Angeles. On swoje już zrobił. Kolej na młodszych.

Sunąc korytarzem terminala, Chińczyk minął grupkę pasażerów opóźnionego samolotu Air France z Paryża. Od razu zwrócił uwagę na wysokiego, barczystego mężczyznę bez bagażu podręcznego, o charakterystycznych, grubych, zrośniętych brwiach. Nie różnił się od wizerunku na zdjęciu przesłanym faksem. Mężczyzna ten prawie biegł, potrącając po drodze pasażerów. Lee Mingh podał stewardesie swój bilet i uśmiechnął się. W Paryżu Martigny był wprawdzie górą, ale tu najwyraźniej przybył za późno.

Złocki spał do południa. Śniło mu się, że jest pięknym i młodym dziennikarzem z „Washington Post”, współtworzącym najnowszą historię świata, i ma u boku trzecią wicemiss Ameryki (zaledwie trzecią, albowiem wedle zasad *political correctness* pierwsza musiała być Murzynką, a druga transwestytą).

Po przebudzeniu okazało się, że w śnie było sporo prawdy. Na drugiej połowie łoża znalazł śliczną młodą dziewczynę, a jeśli idzie o tworzenie historii — ciągle jeszcze miał duże szansę.

Juruś chciał pokochać się z Anną na dzień dobry. Ale ta stwierdziła:

— Za widno!

Poza tym zaraz zjawił się w sypialni podniecony Francuz, niosąc w ręku Kryształowego, który też pobłykiwał radośnie.

— Wreszcie dodzwoniłem się do Charlesa — zameldował. — Jest w Zurychu.

— I?

— Wyrwał draniom połowę zębów! Jesteśmy prawie bezpieczni.

— To znaczy?

— Zniszczył archiwum Uśpionych i zlikwidował kolejnego z Trzynastki. Rikenena.

— A co z drugą szczęką? — zapytała sceptycznie Anna. — Została dla nas?

— Ludziom Charlesa w Zurychu nie udało się zapobiec podjęciu pieniędzy... Lee Mingh przechytrzył ich i z tego, co wiem, jego wspólnicy są już w drodze do Rosji.

— Co to oznacza dla nas?

— Chyba koniec z ukrywaniem.

— Ale co mamy robić?

Vitry uśmiechnął się szeroko.

— Charles przylatuje około osiemnastej na Okęcie i sami będziecie mogli zapytać go o szczegóły. Kochany chłopak.

— Ufasz kapitanowi Martigny'emu? — zapytał Wieczny Tułacz z wnętrza kryształu.

— Oczywiście. To zawodowiec. Sam powiedziałeś, że nie dasz rady, ja i Juruś też nie mamy kwalifikacji komandosów.

— Osobiście radziłbym wybrać się wam do Turcji. Oczywiście zabierając mnie ze sobą.

— Do Turcji? — zdziwiła się Anna.

— Przypuszczam, że gdybym się znalazł w odległości mniejszej niż paręset metrów od hibernatora, mój sygnał ostrzegawczy mógłby obudzić Pana.

— Proponujesz nam wspinaczkę na Ararat? — zaniepokoił się Złocki.

— To w końcu nie Mount Everest. Wasz rodak, niejaki Chodźko, zdobył go w poprzednim stuleciu.

— Ale nie zimą — mruknął Juruś, któremu pomysł się zdecydowanie nie podobał. — Poza tym, czy potrafisz nam od ręki załatwić wizę turecką?

— Uważam, że powinniśmy wpierw poczekać na Charlesa — upierał się Vitry. — Mówiłeś zresztą, że obudzenie Kreatora to ostateczność.

Kapitan Martigny nie spodobał się Złockiemu od pierwszego wejrzenia. Może dlatego, że stanowił jego antytezę. Juruś był szczupłym, z lekka łysiejącym blondynem o wiotkich mięśniach, za to wyraźnych zaczątkach brzuszka. Oficer Súreté przypominał bohatera książek Harlequina, przeredagowanych przez Fredericka Forsytha. Smagły, wysportowany, o bezczelnym wejrzeniu szafirowych oczu i wydatnych, może nawet zbyt wydatnych jak na mężczyznę ustach.

A poza tym, jak on wyzywająco patrzył na Annette! Dziewczyna była wyraźnie zmieszana.

Za samo takie patrzenie cudzoziemiec powinien być wydalony z Polski, pomyślał Juruś.

Martigny oczywiście zauważył irytację Polaka. Rozbawiło go to. Wysłuchał informacji Jacquesa. Parokrotnie, gdy Vitry usiłował rozgadywać się na temat Spadkobierców, przywoływał go do porządku lakonicznym: „Konkrety, mon ami!” Potem sam zrelacjonował swoje dokonania. Paryski sukces i porażkę w Zurychu.

— Gdyby nie godzinne opóźnienie mojego samolotu, nie poszłoby im tak łatwo — zakończył. — A tak są już z pieniędzmi gdzieś na obszarze Wspólnoty Niepodległych Państw.

— Nie uważa pan, że już najwyższa pora, aby powiadomić władze, Interpol? — spytała Anna.

— O czym, o przygotowywanym zamachu na Pana Boga? — zaśmiał się kapitan. — Zaufajcie mi, sam potrafię to załatwić. Jacques może potwierdzić.

— A jeśli pan zginie? — francuszczyzna Anny, może nie najlepsza, była jednak w pełni zrozumiała.

— Mało prawdopodobne, ale jeśli... Wtedy zadzwonicie pod numer w Paryżu, jaki wam podam. Teraz pokażcie mi to urządzenie. Tego... jak go żeście nazwali, androida!

— Jeśli nie sprawi ci to różnicy, młodzieńcze, to bardzo proszę nie nazywać mnie urządzeniem. Ja nie mówię o panu per ssak.

— Ach przepraszam, najmocniej przepraszam, Wieczny Tułaczu — roześmiał się Martigny. — Sądząc po tym, co opowiedział mi Jacques, jesteś moim starszym kolegą po fachu.

— Zależy, dla kogo pan pracuje — odezwał się Kryszałowy. — Dla Súreté?

— Wziąłem urlop, w tej chwili pracuję dla was... No i dla pańskiego Szefa, ma się rozumieć. — w głosie Francuza zabrzmiała lekka ironia, lecz Wieczny Tułacz zignorował ją. Poprosił Złockiego, aby wsadził go pod kwarcówkę.

Rozmowa odbywała się w mieszkaniu Złockiego. Anna zrobiła dla wszystkich lekki obiad, po

którym Charles stwierdził:

— Sądzę, że możemy już dokonać podziału zadań. Najlepiej będzie, jeśli ja i pan Kryształowy pojedziemy śladem spiskowców na Wschód...

— Momencik — zaproponował Złocki. — To jest mój materiał, moja sprawa i nie zamierzam jej nikomu oddawać.

— Ani ja — dorzucił Vitry. — Nasze odkrycie stanowi ukoronowanie wieloletnich prac badawczych.

— Pani też chce jechać? — niebieskie oczy Charlesa spoczęły na podającej kawę studentce.

— A ma pan coś przeciw temu?

— Proszę nazywać mnie Charles.

— Annette.

Redaktor Złocki uczuł nagle pieczenie w gardle, jak po przełknięciu setki czystego spirytusu.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — uśmiechnął się Martigny — proponują państwo rodzinne wczasy wędrownie. Jakim środkiem komunikacji, jeśli wolno spytać? Oprócz naszej czwórki musielibyśmy zabrać trochę sprzętu, kwarcówkę dla Wiecznego Tułacza...

— Kolega z roku ma nowego forda transita, może go nam wypożyczy — zaproponowała Annette.

Kolega z roku, który zjawił się po pół godzinie, okazał się postawnym rzeźbiarzem. Po krótkiej rozmowie, w której czynny udział wziął portfel Charlesa, Rafał zgodził się pożyczyć wóz. Przygotowanie maszyny do drogi miało mu zabrać najwyżej dwie godziny. Chciał nawet jechać w charakterze kierowcy, ale Martigny odmówił.

— Zawsze prowadzę sam — stwierdził.

W międzyczasie Kryształowy razem ze Złockim wpadli do redakcji „Najświeższego Wydania” i tam kontynuując zabawę w hakerów, wytropili większość uczestników spisku.

— Co pan tu robi, i to wieczorem, przecież jest pan na urlopie, panie Jureczku — powiedziała dyżurująca w news-roomie pani Gosia.

— Muszę coś skopiować z komputera — powiedział Złocki.

— A co to za pudełko ma pan ze sobą? — dziewczyna zainteresowała się opakowaniem ukrywającym Kryształowego.

— Kupiłem żywy pokarm dla mojej rybki. Niech pani nie odpakuje. Małeństwa są czułe na światło.

O dwudziestej pierwszej redaktor wrócił do domu. Po drodze Wieczny Tułacz nie szczędził mu wyrzutów.

— Pokarm dla rybek? Ja! Nie mogłeś wymyślić nic inteligentniejszego? Światłoczuła aparatura, bezcenny kaktus kwitnący nocą...

— Oprócz Lee Mingha wszyscy pozostali z Trzynastki są w Rosji bądź na Ukrainie — oświadczył Złocki.

— A Lee Mingh? — spytał Martigny.

— Wszystko wskazuje na to, że poleciał do Ameryki. Chyba uznał swą misję za zakończoną.

— Zorganizowałem już kogoś, kto go tam szturchnie. Na wszelki wypadek — prychnął Charles. — A ci dwaj cwaniaczkowie w awionetce. Wiecie coś o nich?

— Zręcznie uniknęli kontroli celnej. Zaraz po starcie pilot zgłosił wieży w Kloten, że został sterroryzowany przez dwóch przestępców i jeśli mu życie miłe, musi lecieć do Rumunii. Krzyczał bardzo przekonująco, toteż dostał zgodę na przelot. A Rumuni obiecali zająć się porywaczami.

— Tyle że pewnie do Rumunii wcale nie dolecieli? — domyśliła się Anna.

— Naturalnie. Nieźli z nich spryciarze. Komitet powitalny oczekiwał ich w Suczawie na Bukowinie, ale awionetka w ostatniej chwili zmieniła kurs i wylądowała po drugiej stronie granicy, w Czerniowcach.

— No to Ukraińcy musieli ich zwinąć?

— Tylko na kwadrans. Potem niespodziewanie samolot dostał zezwolenie na start, podobno wymuszone, i zniknął na dobre.

— Jak to zniknął?! — zirytował się Vitry.

— Zapominasz kolego, że Boillier i Rundel mają walizy pełne waluty, a to w krajach byłego ZSRR jest argumentem najszybciej przemawiającym do wyobraźni. Myślmy raczej, dokąd mogli się udać.

— W Kijowie, w hotelu przy Kreszczatiku zameldował się wczoraj ten Polak, Pawłowski — poinformował Kryszałowy. — Byłoby dziwne, gdyby Szwajcarzy, skoro już i tak znaleźli się na Ukrainie, nie spotkali się z nim.

— Nie pozostaje nam nic innego jak to sprawdzić — podsumował Martigny.

— Jedziemy na Ukrainę, kiedy? — ożywiła się Leśniewska.

— Jeśli ten twój kolega Rafał jest punktualny, to transit od trzech minut powinien czekać pod domem.

Etienne Cotard, znany w określonych kołach jako Szybki Francuzik albo Bezlitosny Stefcio, przyleciał do Vancouver, zanim boeing 737 z Chińczykiem na pokładzie zdążył osiągnąć kontynent amerykański. Jego zobowiązania wobec Charlesa były wystarczająco mocne, aby rzucił inne zlecenia i zajął się właśnie tym. Lee Mingh miał nie przeżyć doby. Resztkę rozterek co do celowości zamachu, jaka mogła się zrodzić w ogolonej na łyso czaszce obywatela Quebecu, rozviała informacja:

— Żółtek ma ze sobą walizeczkę z diamentami, załatwisz gościa, połowa towaru będzie twoja.

— Więc uważaj sprawę za załatwioną — odparł Bezlitosny Stefcio.

Szybko przejechał autobusem Greyhound dystans dzielący kanadyjski Vancouver od amerykańskiego Seattle. Z paru powodów wolał nie poddawać się kontroli bagażowej na lotnisku ani figurować na jakiegokolwiek liście pasażerów.

— Wędkę? — zapytał łatwowierny celnik, wskazując na podłużny futerał.

— Człowiek nigdy nie traci nadziei, że coś złowi — odparł z uśmiechem Etienne. W Seattle wsiadł do samolotu Pacific Airways i znalazł się na lotnisku w Mieście Aniołów na kwadrans przed Lee Minghiem. Nie przewidywał kłopotów.

— To duży cwaniak, ale ma ponad osiemdziesiątkę — scharakteryzował Chińczyka Martigny.

Cotard nie zdążył sporządzić dokładnego planu. Zamierzał zidentyfikować żółtka na lotnisku, pojechać za nim do domu, zlikwidować, zabrać teczkę, a mieszkanie potraktować porządną porcją plastiku.

Ustawił się niedaleko wyjścia i uważnie obserwował wychodzących pasażerów lotu 328. Minęli go kolejno wszyscy z zamykającymi pochod rozszczebiotanymi stewardesami linii Delta. Lee Mingha ani śladu. Czy możliwe, że ukrył się gdzieś w samolocie albo chyłkiem wy dostał na płytę? Wykluczone, obserwował samolot, wszyscy pasażerowie wysiadali „rękawem”. Co się więc mogło stać? Zawodowy zabójca, posiadający znakomitą pamięć, odtworzył w myślach taśmę z wizerunkami wychodzących pasażerów. Czyżby skubany Kitajec się przebrał? Ale za kogo? Za starą Indiankę prowadzącą dziecko, pewnie wnuczka, za siwowłosego kalekę, którego wytoczono w wózku na kółkach? Odczekał jeszcze chwilę, po czym odszukał jedną z długonogich stewardes.

— Jestem reprezentantem Fundacji „Złoty Smok — Dzieciom” przedstawił się. — Wyszedłem na spotkanie pana Lee Mingha. Taki wysoki, bardzo stary mężczyzna.

— Chińczyk? — w oczach dziewczyny pojawiło się zrozumienie.

— My powiedzielibyśmy o nim: Biały inaczej.

— Oczywiście, że go pamiętam. Siedział w dwunastym rzędzie i pił wyłącznie soki owocowe.

— Pamięta pani, jak wysiadał?

— Nie... Wie pan, to ciekawe?

— Dlaczego?

— Bo był taki sympatyczny, w trakcie lotu mówił mi komplementy i pożyczył dużą plastikową torbę... — Żeby ukryć walizeczkę z klejnotami, domyślił się Cotard. — A nawet się nie pożegnał.

— Zadam inne pytanie, które może zabrzmieć dziwnie. Czy nie wysiadał ktoś, kogo nie zapamiętała pani podczas lotu?

— Oczywiście. Wysoki ciemnoskóry pastor. Wyszedł wprost z toalety. Byłam tak zadziwiona jego pojawieniem się, że aż zapytałam Meggi. Też go przedtem w ogóle nie zauważyła.

Cotardowi natychmiast przypomniał się wysoki chudy mężczyzna w koloratce. Miał ze sobą jedynie wypchaną plastikową siatkę.

— Bardzo ci dziękuję, maleństwo — zawołał i pognął w stronę postoju taksówek.

Ale tam po Lee Minghu nie było śladu.

Coraz bardziej wściekły wjechał na najwyższy poziom parkingu samochodowego. Od Martigny'ego wiedział, że powinien stać tam pozostawiony przed dwoma tygodniami wóz Chińczyka.

Bez trudu odnalazł starego, ale dobrze utrzymanego lincolna. Cotard obszedł go ze wszystkich stron, próbując kolejnych drzwiczek. Wszystkie były pozamykane.

— Cwaniak przewidział, że go namierzemy. Nie ruszył wozu...

Bezlitosny Stefcio zamierzał się oddalić, kiedy nagle pod leżącą na tylnym siedzeniu gazetą zobaczył wystający kawałek reklamówki linii powietrznych Delta.

Poczuł gwałtowny zastrzyk adrenaliny. Chińczyk gdzieś tu był! Kucnął za samochodem i wydobył broń. Rozejrzał się. W rozległej hali panowała cisza, gdzieś piętro niżej słyszał manewrujące samochody. Potem uniwersalnym wytrychem otworzył zamek.

Dopiero sięgając do wnętrza, Szybki Francuzik uświadomił sobie, że jeśli Lee Mingh był takim spryciarzem, jak o nim mówiono, nie popełniłby tak prostego błędu, jak pozostawienie torby. Chciał się cofnąć. Za późno...

Grzmot detonacji przetoczył się ponad całym Los Angeles International Airport. Pióropusz dymu widoczny był również z motelu przy Sepulveda Boulevard, przy którym zatrzymało się taxi z czarnoskórym pastorem. Lee Mingh wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Jednego przeciwnika mniej. Teraz musiał się starannie ukryć. Nic nie robić, czekać i za żadne skarby nie dać się zabić. A przy najgorszym obrocie spraw zastosować wariant awaryjny.

13. Wyprawa kijowska

Warszawę opuścili koło dziesiątej w nocy, szosą terespolską kierując się w stronę wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Prowadził Charles. I to nie podlegało dyskusji. Kiedy Złocki zaproponował, że może po przekroczeniu granicy poprowadzi on, a Martigny sobie odpocznie... agent francuskich sił specjalnych popatrzył na niego wzrokiem operatora walca drogowego, któremu na drogę wyszła gąsienica.

Transit posuwał się szybko, rozwijając stałą prędkość około stu czterdziestu kilometrów na godzinę, zwalniając jedynie w miejscach, w których pisk antyradar ostrzegał przed stanowiskami zaczajonych policjantów. Po drodze stanęli na jedno tankowanie i dopiero na granicy zatrzymała ich długa kolejka tirów i obładowanych do niemożliwości aut osobowych. Połyskiwały tu też eleganckie mercedesy, audi i BMW, których właściciele zapewne jeszcze nie zdążyli się zorientować, że już przestali być ich właścicielami.

— Merde! — zaklął Vitry siedzący obok kierowcy. — Postoimy tu ze dwie doby.

Charles, nie gasząc motoru, wyciągnął spomiędzy bagaży piętrzących się z tyłu transita rower składak i popedałował w kierunku świateł zwiastujących punkt graniczny.

— Pojadę z tobą jako tłumaczka — zaofiarowała się Anna.

— Dziękuję — odmówił zwięźle. — Umiejętność posługiwania się językiem rosyjskim należy do moich służbowych obowiązków.

— Akurat coś załatwi — zachichotał Juruś. — Człowiek z Zachodu nie jest w stanie zrozumieć bizantyjskich duszyczek postkomunistycznych urzędasów.

Martigny zjawił się po kwadransie, schował składak, wrzucił lewy kierunkowskaz i bez słowa ruszył pod prąd, ścigany wściekłymi klaksonami mijanych kolejkowiczów. Na granicy podjechał do przejścia służbowego, gdzie celnicy i wopiści obu krajów kłaniali mu się w pas. Zatrzymał się tylko na chwilę w celu zdobycia stempli w paszportach.

— Drogo kosztowało? — spytał Złocki.

— Umiarkowanie.

Tymczasem Leśniewska zauważyła, że w chwili, kiedy, ku oburzeniu czekających, Martigny omijał kolejkę, ruszyło za nimi granatowe volvo i od tej pory utrzymywało równy dystans.

— Wygląda, że jadą za nami — powiedziała. — To mi się nie podoba.

— Ani mnie — dorzucił Jacques.

Zaraz za Brześciem pogrążyli się w krainie tak kompletnego mroku, jakby siedemdziesiąt lat leninowskiej elektryfikacji poszło na marne. Ciemności rozświetlały jedynie reflektory samochodów nadjeżdżających z przeciwka lub, o wiele rzadziej, rachityczne światełko w przydrożnych zabudowaniach.

Anna miała nadzieję, że ich kierowca spróbuje zgubić natrętne volvo, ale kapitanowi widocznie na tym nie zależało. Przeciwnie, po pół godzinie jazdy wypatrzył niewielki leśny parking i zjechał z drogi. Prowadzący volvo zrobił to samo.

— Ej, pan! — rzucił, odkręcając szybę, wąsaty przedstawiciel którejś z kaukaskich mniejszości narodowych. — Jedziecie do Kijowa?

— Mniej więcej — odparł po rosyjsku Martigny.

— A chcecie nie mieć po drodze żadnych kłopotów?

— Oczywiście nie lubimy żadnych kłopotów — odpowiedział Charles wysiadając. — Może zakurzymy i pogadamy na ten temat? — wyciągnął z kieszeni paczkę marlboro. Rekieter ochoczo wyskoczył z wozu.

Pozostali pasażerowie transita mogli tylko biernie obserwować, jak dwa żarzące się punkciki oddalają się w ciemnościach.

Jeszcze chwila i w mroku rozległ się okrzyk bólu. Z volva wyskoczyło dwóch uzbrojonych w kałasznikowy osobników.

— Wsio w poriadkie — dobiegł zduszony głos ich szefa. — Niech odjeżdżają swobodno!

Powrócił Charles, w rękę trzymał pistolet rekietera i jego uzi.

— Coś ty zrobił? Zabiją nas... — jęknęła Anna.

— Żenia pożyczył nam te zabawki po dobroci. Poradziłem mu tylko, żeby zadzwonił do Wańki Sokala w Odessie i zapytał o jego brata, Saszę.

— Jakiego znów Saszę?

— Szefa rosyjskiej mafii w Marsylii, osobiście zgarnąłem go przed rokiem. Siedzi u nas pod Lyonem. A w więzieniu mogą się różne rzeczy zdarzyć... W każdym razie doszliśmy do porozumienia. Na terenie Wspólnoty Niepodległych Państw nic nam nie grozi przynajmniej ze strony świata zorganizowanej przestępczości — po tych słowach zapuścił silnik.

— A to co?! — wykrzyknął Złocki. W zasięgu reflektorów pojawił się blady jak trup rekieter. Jedna ręka zwisała mu bezwładnie pod dziwnym kątem. — Pan mu złamał rękę?

— Ach, to tylko na wszelki wypadek, żeby nie zapomniał zadzwonić ze swego komórkowca do Odessy, gdyż następnym razem zawiążę mu tę rękę na węzełek.

— Jesteś wspaniały, Charles — zawołał Vitry i miał zamiar wrócić na swoje miejsce z przodu. Ale ubiegła go Anna.

— Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, że teraz ja posiedzę obok kierowcy?

Wczesnym popołudniem dwunastego marca znaleźli się w stolicy Ukrainy. Mżył chłodny deszczyk. W hotelu przy Kreszczatiku, położonym o rzut beretem od Majdanu Niezależności, czekała ich smutna wiadomość. Gospodin Pawłowski wyprowadził się parę godzin temu.

— To było do przewidzenia — skomentował Martigny. — Ciągłe mają nad nami przewagę.

— I co teraz zrobimy? — spytał Złocki.

— Rozejrzymy się. Ja odwiedzę nasz konsulat i przez sieć Internetu spróbujemy dowiedzieć się, co porabiają nasze baranki.

— Weźmiesz Tułacza?

— Jacques absolutnie wystarczy mi do pomocy.

— A my? — odezwała się Anna, nie spuszczać wzroku z kapitana.

— Zameldujcie się tym w hotelu. Mamy zarezerwowane cztery pokoje...

— Wystarczyłyby trzy — mruknął Juruś, ale Leśniewska nie podtrzymała tematu.

— Jeśli naprawdę chcecie mi pomóc, to pogadajcie z taksówkarzami. Spytajcie — zajrzał do notatnika — o Hrubego Mykołę.

— Kto to taki?

— Szef miejscowej mafii taksówkowej. Nic nie dzieje się bez jego wiedzy. Proponuję, żeby się zajęła tym Annette — tu wręczył jej kilka studolarówek. — Daj mu na początek dwie setki, a jestem przekonany, że dowiemy się, co porabiał pan Pawłowski przez ostatnie trzy dni.

— A ja, co mam robić? — Złocki poczuł się dziwnie niepotrzebny.

— Rozejrzyj się po hotelu i sprawdź, czy nikogo nie zainteresowało nasze przybycie.

W pokoju obszernym, choć pachnącym ogólną nieświeżością właściwą budowlom z czasów stalinowskich, Jerzy wypakował kwarcówkę i Kryształowego. Starczyło pół godziny naświetlania, a Wieczny Tułacz znowu stał się rozmowny.

— Czy masz jakieś pieniądze? — spytał redaktora.

— Kilkadziesiąt dolarów, chciałem je wymienić na karbowance...

— Będziesz potrzebował ich znacznie więcej.

— Ale skąd mam je wziąć?

— Masz scyzoryk.

— Mam.

— Musisz wyłupać trzeci z moich kryształów, to czystej wody diament...

— Diament, czysty węgiel? I nie spalił się razem z ciałem Krystyniaka?

— Jest dobrze zabezpieczony na taką sytuację. Widzisz, pokrywa go cieniutka żaroodporna warstwa ochronna. Wygląda na niezniszczalną, ale przed pokazaniem jej jubilerowi zmyjesz ją odczynnikiem, którego komponenty są do nabycia w pierwszej lepszej aptece. No, bierz się do dzieła!

Jerzy zawahał się.

— Proponujesz, żebym cię okaleczył?! Przecież sam opowiadałeś, że te kryształy stanowią twoje zmysły.

— Dlatego poświęcam powonienie, a nie na przykład wzrok.

— Diament służy powonieniu?

— Tak, dzięki niemu w rozłożonym widmie barw dostrzegam drobiny materii będące nośnikami woni... No, bierz się do roboty. To nie będzie bolało. A dostaniesz od ręki, co najmniej sto tysięcy dolarów, targuj się o dwieście. Na aukcji w Amsterdamie dostałbyś dziesięć razy tyle.

— Ale kto mi tutaj da choćby tyle?

— Są tacy, co dadzą. Znasz Besarabkę.

— Co to takiego?

— Wielki kijowski bazar przy placu Besarabskim. Centrum tutejszego odradzającego się kapitalizmu... Mój Panie, ostatni raz taki ruch, jaki tam teraz panuje, widziałem w 1913 roku.

— No i co mam zrobić na tej Besarabce?

— Odszukasz stoisko z pamiątkami, prowadzi je niejaki Atamanowicz, na wierzchu wystawione jest standardowe barachło, ale na zapleczu odbywają się naprawdę interesujące transakcje. Pokażesz Atamanowiczowi diament i listę sprawunków, którą ci podyktuję.

— Tak, ale ciągle nie rozumiem...

— I nie usiłuj za wiele rozumieć. Wykonuj moje polecenia i nikomu z grupy ani słowa. Ani słowa!

Wszyscy wywiązali się ze swych zadań.

Późnym popołudniem Anna mogła poinformować pozostałych uczestników ekspedycji o taksówkowych trasach Polaczyszki, jak Hrubi Mykoła nazywał Pawłowskiego.

Początkowo Grzegorz P. zachowywał się jak typowy zamożny turysta, odwiedzał muzea i zaliczał kolejne cerkwie. Wczoraj jednak wszystko uległo zmianie. Z lotniska przyjechało do niego dwóch facetów o rysopisach pasujących do Boilliera i Rundela.

— Wyjeżdżali gdzieś razem z Pawłowskim? — dopytywał się Martigny.

— I owszem, człowiek Mykoły zawoził ich nocą na miejscowy dworzec. Dwa razy. Za dodatkową setkę Hrubi Mykoła dowiedział się od kolejarzy, że zapadnyje biznesmieni wynajęli na lewo cały wagon towarowy i nie szczędząc grosza, załatwili odpowiednie dokumenty. Dziś o piątej rano został doczepiony do składu pociągu jadącego do Rostowa.

— Rostów to kierunek kaukaski! — podchwycił Vitry.

— Podpytywałam dalej. Mykoła wykonał jeszcze parę telefonów i dowiedział się, że trójce cudzoziemców udało się zdobyć miejsca dla siebie w wagonie z drobiem jadącym w tym samym składzie.

— Nie do wiary! Wytworni dżentelmeni ukrywają się w wagonie pełnym na wpół zdechłych kur? — dziwił się Złocki.

— Może nie chcieli tracić z oczu swojego ładunku — podsunął Jacques.

— Dlaczego w takim razie nie jadą razem z ładunkiem w wynajętym wagonie?

— I to jest właśnie zagadkowe — zgodził się Charles. — A propos, Annette, dowiedziałas się, co załadowano do tego wagonu?

— Taksiarz, który przed dworcem czekał na Pawłowskiego i jego kumpli, wspominał o dużym wojskowym furgonie, który, prowadzony osobiście przez Polaczyszkę, wjeżdżał tej nocy na rampę. Do przeładunku używany był ciężki dźwig.

— Ale co przeładowywano, masz jakieś wiadomości od kolejarzy?

— Kolejarzom zapłacono, aby nie byli obecni podczas załadunku. Cudzoziemcy uwinęli się z tym sami.

— No to wszystko pasuje — mruknął Martigny. — Jedziemy na dworzec.

— Ale co spodziewasz się tam znaleźć? — spytał Złocki.

— Na razie chcę się rozejrzeć.

Na miejscu odszukali wspomnianą rampę. Martigny stanął pod suwnicą w miejscu, na którym musiał odbywać się przeładunek, i wyciągnął jakiś miernik. Zaterkotało.

— Co to jest? — spytał Jerzy.

— Czujnik najświeższej generacji, można powiedzieć praprawnuczek Geigera i Millera, rejestruje nawet najślabsze ślady materiałów rozszczepialnych. Mamy niezbity dowód, że kilkanaście godzin temu przeładowano tu towar zawierający wzbogacony materiał radioaktywny.

— To znaczy?

— To, co usłyszałeś. Złocki wreszcie pojął.

— Mój Boże, oni skombinowali od Ukraińców autentyczną bombę atomową... I jadą z nią w stronę Kaukazu i Araratu! Musimy natychmiast tam lecieć.

— Mamy czas — hamował go Martigny. — Vitry sprawdził, co porabiają pozostali z Trzynastki. Wprawdzie generał Iwanow przebywa od wczoraj we Władykaukazie, ale cała reszta: Müller, Spidola i Johanssen siedzą w Moskwie. Mają wprawdzie rezerwacje na lot do Erewanu, ale dopiero za trzy dni. Jestem przekonany, że nic wcześniej się nie zdarzy. Zdążymy.

— A nie powinniśmy najpierw zneutralizować bomby? — spytał Vitry. — Można by zrobić coś z tym pociągiem.

— Obawiam się, że wówczas kupią inną. Nie, nie, optymalna sytuacja to uderzyć na przeciwników, kiedy wszyscy znajdą się w jednym miejscu. Podejrzewam, że wypadnie to gdzieś niedaleko Araratu.

— Podziwiam twój spokój — uśmiechnęła się Anna.

— Bo nie ma się czego bać. Rópropos — tu zwrócił się do Jerzego — jak z obserwacją?

— Interesuje się nami jeden smętny tajniak z recepcji, natomiast innych obserwatorów nie zauważyłem.

— Ja mam inną sprawę — odezwał się Jacques. — Najwyższy już chyba czas załatwić dla nas przelot na Kaukaz.

— Mamy samochód i wystarczająco dużo czasu.

— Nie dotrzemy tam transitem na polskich numerach. To strefa działań wojennych, Czeczenia, Abchazja, Górny Karabach...

— A kto wam powiedział, że pojedziemy na polskich znakach? — tu Charles wyciągnął z teczki komplet tablic rejestracyjnych i potrzebnych dokumentów. — W tym kraju pieniądz po prostu robi cuda.

Kiepski humor Złockiego utrzymywał się przez całe popołudnie. Nie potrafił zrozumieć zmiany, jaka zaszła w Annie. Nie odpowiadała na jego spojrzenia, ignorowała czułe gesty. Kiedy próbował z nią porozmawiać, wykręciła się zmęczeniem.

Zachowuje się, jakby nic między nami nie zaszło, zachodził w głowę redaktor. Czyżbym ją czymś uraził?

Po nocy spędzonej w samochodzie był rozbity, ale jednocześnie zdenerwowanie nie pozwoliło mu iść spać. Co innego Charles. Kapitan Martigny miał naprawdę niespożyte siły. Po południu przespał może godzinę lub dwie, ale ledwie wybiła jedenasta wieczór, pełen zapału i energii ruszył do pokoju Anny i na progu zderzył się ze Złockim, który mniej więcej od pół godziny zastanawiał się: zapukać, nie zapukać? Weszli razem.

— Co byście powiedzieli na mały rekonesansik pod hasłem: Poznajemy nocne życie Kijowa?

Juruś skrzywił się, ale Leśniewska zareagowała z entuzjazmem.

— A Jacques też z nami pójdzie?

— Z tego, co wiem, wziął proszek na sen i prosił, żeby go nie budzić — powiedział Francuz. — Opowiemy mu o naszych wrażeniach jutro.

Rejs po kijowskich lokalach, które w ostatnich czasach utraciły wiele z charakteru socjalistycznej gastronomii (najlepiej ucieleśnianego przez przerwy obiadowe dla personelu), dostarczył całej trójce niezapomnianych wrażeń.

Wszędzie trwał przyspieszony kurs kapitalizmu i mówiło się o dopędzaniu Europy.

Dopędzały ją panienki w takt muzyki disco, gimnastykujące się wokół rury w salonie „Go-Go”. Doganiały ile sił w rękach masażystki w salonie erotycznego masażu nieopodal dawnego Muzeum Ateizmu. Nie chciały pozostawać w tyle nawet zwyczajne *diewuszki do akompaniamenta*, które na każdym kroku ofiarowały swoje usługi. W trakcie nocnej włóczęgi udało im się nawet trafić do „przybytku sztuki”, w którym inscenizowano żywe obrazy. A więc pojawił się tam facet w masce potwora z byczymi rogami na głowie, który za pomocą doprowadzonego do lędźwi *tryzubnowo instrumenta* niewolił dziewczątko odziane jedynie w szarfę z napisem: „Jewropa”... Była też wariacja na temat Konika Garbuska, którego garby, noszące nazwy: „Inflacja”, „Przestępczość” i „Bezrobocie”, okazywały się nagle zgrabnymi naguskami, które w momencie ściemnienia świateł rozbiegały się wśród publiczności.

Charles pił jak smok, zupełnie jakby w ciele potomka Franków drzemała dusza witezia z pułku Igora. Redaktor Złocki usiłował dotrzymać mu kroku, choćby ze względu na narodową reputację. Ale mimo że dwukrotnie zwracał nadmiar pokarmów i napojów, mimo że profilaktycznie wypił

wcześniej czarzkę oliwy — nie dawał rady.

To, co uważał za solidne zahartowanie w wódczanych bojach, okazywało się pełnym amatorstwem. Czas jakiś łudził się, że Francuz prędzej czy później padnie, w końcu europejskie normy śmiertelnej dawki alkoholu nie dotyczą jedynie Rosjan i Polaków — jednak próżne to były nadzieje.

Z każdą chwilą obraz wokół Polaka stawał się coraz bardziej rozmazany, żarty Francuza (improvizowane po rosyjsku) dosadniejsze, a chichot Anny podejrzenie zmysłowy. Gdzieś poczynając od drugiej coraz częściej marudził:

— Może byśmy tak wracali? Jutro czeka nas kolejny ciężki dzień.

— Wracać w połowie zabawy, cóż za pomysł, monsieur redacteur? — oponował Martigny i zwracając się do trzech tubylczych gracji, których jedynym ubiorem były długie czerwone buty, dorzucił: — Skażicie li mojemu drugu, jak nazywajeties, dziewczynki.

— Wiera, Nadieżda i Lubow... — dopowiedziały wesoło, zbiegając się przy Jurusiu niczym stadko bocianów wokół dorodnej ropuchy.

— No to pokażcie, trzy cnotki, panu redaktorowi, jak wygląda u was powstanie Chmielnickiego.

— Tolko gdzie u niego Chmielnickij? — Lubow szarpnęła za zamek błyskawiczny w spodniach Złockiego. Rozglądając się za sposobem ratunku Jurus zatrzymał wzrok na obrazie przedstawiającym jelenia na tle zachodzącego słońca. Jeleń poruszył głową. Złocki mógłby przysiąc, że jego rogi gwałtownie się zmniejszyły, a pysk zmienił w capią twarz Włodzimierza Iljicza Uljanowa.

— Ratunku — wybełkotał redaktor „Najświeższego Wydania”, ale Lenin tylko po szelmowsku puścił do niego oko. I w tym momencie Jurusowi urwał się film.

Świadomość wróciła mu równie nagle, jak go opuściła. Kompletnie nagi leżał na swoim łóżku w hotelowym apartamencie. Łeb mu pękał, w gardle piekło. Na zegarku dochodziła piąta. Uniósł się, by sięgnąć po wodę, targnęły nim nudności.

Kiedy po pięciu minutach wrócił z toalety, czuł się trochę lepiej.

— Jak ja się tu znalazłem, gdzie są moje rzeczy? Ubranie złożone w kostkę leżało na krześle, niczego nie brakowało w portfelu. Kryształowy plażował się pod swoją kwarcówką i nie odzywał się ani słowem. Plecak z zakupami tkwił na dnie przepaścistej szafy... Wszystko w porządku! W tym momencie jednak Złocki pomyślał o Annie i ogarnął go niepokój. Upił się jak świnia i zapomniał o swojej dziewczynie! Czy na pewno dotarła do hotelu? Najpierw, mimo egzotycznej pory, zamierzał do niej zadzwonić, ale po namyśle otworzył na oścież okno.

Chłodne powietrze wtargnęło do apartamentu. Nie przejmował się zimnem. Wyrzwał na zewnątrz. W pokoju Leśniewskiej panowały egipskie ciemności. Palilo się natomiast małe światełko w apartamencie Francuza, a przez uchylone okno sączyła się muzyka.

Złocki poczuł jak rozpacz łapie go za gardło. Naciągnął ubranie. Trochę trwało, zanim trafił nogą we właściwą nogawkę. Potem przewiązał się w pasie linką, zaczepił ją o kaloryfer i wyszedł na gzyms. W głowie kręciło mu się coraz bardziej. Jakoś dotarł jednak pod okno pokoju Martigny'ego.

Najpierw zobaczył włosy. Burzę włosów unoszących się do góry i opadających jak na zwolnionym filmie. Kiedy podciągnął się na parapet, dostrzegł więcej. Nie tylko włosy unosiły się w dziwnym cwale, podskakiwały także dorodne piersi plastyczki. Podobnie zachowywały się jej biodra, unoszące się i opadające we wzrastającym przyspieszeniu.

Zobaczył też dolną połówkę tego centaury-składaka. Martigny, rozwalony na poduszkach z rękami odrzuconymi do tyłu, śledził galop dziewczyny z uśmiechem igrającym na mięsistych wargach. Szybciej, szybciej, szybciej!

Anna zawyła ekstatycznie, a potem wiedziona nagłym impulsem odwróciła głowę ku oknu. I krzyknęła ponownie. Do szyby przykleiła się blada twarz upiora. Przez moment wzrok ich zderzył się jak płomień dwóch palników. Opadła na kudłatą pierś Charlesa, Złocki natomiast puścił parapet, jego nogi straciły kontakt z gzymsiem. Runął w dół. Atoli w owej chwili było mu to całkowicie obojętne.

Nagle w czaszce Jacquesa Vitry'ego rozszalał się terkotliwy budzik. Mały Francuz poderwał się na równe nogi. Otworzył oczy. Gęsta noc. Słaby odbłask neonu pobliskiej restauracji odbijający się na szybie. I cień. Poruszający się na tle zasłony cień wahadła. — Co to, do licha?

Odsunął rolety. Zamurowało go. O metr od szyby, głową do dołu w pozycji wielkanocnego zająca wisiał redaktor Złocki. Pętla linki zsunęła się niżej i zacisnęła na stopach.

— Żorż! Coś ty najlepszego zrobił? — zawołał Jacques. Otworzył okno, a następnie używając parasola jak bosaka przyciągnął bezwładne ciało. Był to bardzo wielki wysiłek dla małego człowieka, ale desperacja zwielokrotniła jego siły.

— Żorż, ty nie żyjesz?

— Wolałbym nie żyć — wycharczał Juruś, ale jednak złapał się parapetu i wsunął do środka. Vitry rozsupłał węzeł.

— Co ci się stało, wybrałeś się na wspinaczkę alpejską?

— Anna jest z Charlesem, oni... — urwał, nie znajdując odpowiedniego wyrazu. — To straszne i niewiarygodne!

— A czego się dziwisz. Gdybyś był konusem jak ja, to byś wiedział, że takie rzeczy należy przyjmować spokojnie. Kiedy byłem młody, też się raz zakochałem. Mariolaine miała metr dziewięćdziesiąt, i mogła używać mnie jako breloczka przy kółku z kluczami, ale ja wierzyłem, że prawdziwa miłość pokona wszystkie przeszkody.

— I...?

— Musiałem się nauczyć odkochiwać.

— Ale jak ona mogła, z tym zawodowym mordercą! Widziałem ich oboje, Boże... Jak ona mogła?!

— Być może widziałeś niewyraźnie.

— Widziałem ich lepiej niż teraz siebie!

— Z pewnością nie zrobiła tego na trzeźwo. I nie z miłości, a z ciekawości. Na pewno nigdy się to nie powtórzy... Bądź wytrwały. — Mógł naturalnie pocieszać Złockiego, że w wypadku Charlesa to tylko chwilowy kaprys. Jak pół roku wcześniej z nim na jachcie w St. Tropez: „Dobrze, mały, rób, co chcesz, tylko się nie udław”. Charles przecież nie miał skonkretyzowanych preferencji erotycznych. Lubił popróbować wszystkiego. Chwalił się, że podczas urlopu z Miss Antyli dla równowagi musiał huknąć autentyczną kozę!

Tymczasem Juruś krążył po pokoju, potykając się o sprzęty.

— Masz jakiś alkohol? Chcę umrzeć! Chcę się zachlać na śmierć!

— Drogi przyjacielu, spróbuj zachować odrobinę dystansu — apelował Vitry. — Jesteś realistą, egoistą i publicystą. Tacy ludzie piszą o samobójstwach, ale nigdy ich nie popełniają. A przy okazji podziękuj Tułaczowi. Gdyby sobie tylko wiadomym sposobem mnie nie obudził, kruszałbyś za oknem do rana.

14. Pułapki, zasadzki, egzekucje

Trzynasty marca.

Brudna ścierka na dnie zlewozmywaka w kijowskiej garkuchni najniższej kategorii mogła tego ranka cieszyć się lepszym samopoczuciem niż redaktor Złocki.

Juruś był bardziej niż zgnębiony. A na dodatek miał gigantycznego kaca. Po raz setny zadawał sobie pytanie — co właściwie robi w tym towarzystwie? Sprawa dawno już przekroczyła zakres percepcyjny czytelników „Najświeższego Wydania”. A uczucia po raz kolejny ulokował pod niewłaściwym adresem... Gorycz klęski splatała się z ryzykiem związanym z przyszłością.

Może powinienem spakować rzeczy i wiać póki czas? Tylko skąd pewność, że Spadkobiercy zechcą o mnie zapomnieć?

Martigny, pogodny i rzeński, jakby właśnie powrócił z parotygodniowego urlopu na Wyspach Bahama, wyprowadził transita na Nabrzeżnoje Szosse, kierując się prawym brzegiem Dniepru na południe. Drogowskazy odliczały kolejne etapy — Dniepropietrowsk, Donieck, Rostów... Od Mineralnych Wod, kurortu na północ od Kaukazu, gdzie miał zamiar się zatrzymać i zanoć, dzielił ich dystans ponad półtora tysiąca kilometrów. I to po nie najlepszych drogach.

Poza Martignym reszcie podróżników humory dopisywały w zdecydowanie mniejszym stopniu. Annette, u której gruba warstwa makijażu nie potrafiła zamaskować śladów wyciśniętych przez trudy minionej nocy, siedziała na miejscu obok kierowcy naburmuszona, jakby miała pretensje do całego świata. Jak na złość Charles poświęcał jej nie więcej uwagi niż figurce Kaczora Donalda merdającej się w pobliżu lusterka. Vitry, przerażony obrotem spraw, bał się odetchnąć, a Kryształowy, ukryty w jakimś węzélku, nie dawał znaku życia. Od wyjazdu z Warszawy zarówno Jacquesa, jak Jerzego dziwiła niezwykła pasywność Wiecznego Tułacza. Znikła dawna gadatliwość, reagował tylko wtedy, gdy musiał. Czyżby wynikało to z rozległych uszkodzeń? Zapytany o powód małomówności, Kryształowy odpowiedział lakonicznie:

— Ekspedycja nie może mieć dwóch dowódców. Niech Martigny pokaże, co potrafi.

Na pierwszym przystanku Złocki zdecydował się podejść do Anny.

— Posłuchaj, kochanie... — zaczął miękko.

— Nie mam zamiaru niczego słuchać — odwróciła się na pięcie, zostawiając Jurusia w skrajnej rozpacz. Ktoś inny na jego miejscu rzeczywiście popełniłby samobójstwo, ale redaktor był już kilkanaście razy w swoim życiu wystawiony do wiatru, parokrotnie zdradzony, a w dodatku porzucony przez żonę, więc do pewnego stopnia przyzwyczajony do tego rodzaju niespodzianek. Co nie znaczy, że je lubił. Najbardziej bolał go styl tej zdrady. Gdyby przegrał po długiej rozgrywce, być może przyszłoby mu łatwiej się z tym pogodzić, ale jedna bezczelna akcyjka pracownika

kontrwywiadu i dziewczyna tak piękna, tak ambitna, tak utalentowana wskoczyła na niego niczym ta rudowłosa bachantka z *Szalu* Podkowińskiego.

Zszedł na bok szosy i przez dłuższą chwilę sikali w dwugłosie z Vitrym.

— Zachowaj spokój, Żorzi — powtarzał Francuzik. — I pamiętaj, Charlesa w zasadzie kobiety nie interesują. Mężczyźni ostatnio zresztą też — zakończył z westchnieniem.

— Co to więc było, omam wzrokowy?

— Żart! Charles uwielbia naigrawać się z ludzi, sycić się ich bólem, lękiem...

— Powinniśmy uprzedzić Annę, co ją może czekać.

— Annette sama spostrzeże to wkrótce i zaręczam, mocniej to ją zaboli niż ciebie.

— Do wozu, panowie — krzyknął Martigny. — Annette, przestań się guzdrać!

Leśniewska z wymuszonym uśmiechem zajęła miejsce po prawicy kapitana, a Złocki zagłębił się we wspomnieniach. Jak sięgnął pamięcią, zawsze robiony był w trąbę — Elka na obozie harcerskim zamiast osładzać mu nocne warty pod pałatką, co noc wślizgiwała się do namiotu oboźnego. Joanna, koleżanka z uniwerku, którą zabrał na festiwal Teatru Otwartego do Lublina, jeszcze przed otwarciem puściła się z technicznym... Wreszcie Tea, jego dziennikarskie odkrycie i jego Golgota... Naraz w jego myśli wciął się zapomniany przez wszystkich Wieczny Tułacz.

— A pomyśl na odmianę o tych wszystkich wykorzystanych przez ciebie i rzuconych, podrywanych dla sportu, dla zaliczenia, o ofiarach kursokonferencji i kluboszkoleń...

Pomyślał i, o dziwo, poczuł się lepiej. Poniewczasie sumienie musiało ruszyć także i Annę. Kilka godzin później, podczas kolejnego postoju sama podeszła do Złockiego.

— Nie wyobrażaj sobie za dużo! I pamiętaj, ja ci niczego nie obiecywałam — powiedziała. — Jesteśmy wolnymi ludźmi. W Warszawie było miło, ale kontraktu przedmałżeńskiego nie spisywaliśmy. Teraz zresztą musimy się zajmować przede wszystkim naszą sprawą.

Tymczasem to sprawa zajęła się nimi wcześniej, niż podejrzewali.

Zapadł zmrok, a drogi przed nimi zostało jeszcze bardzo wiele. Ambitny plan nie uwzględniał rozpaczliwego stanu dróg Republiki Ukraińskiej i Rosyjskiej Federacji. Sądząc po liczbie papierosów wypalanych na godzinę przez Charlesa, można było wnioskować, że i on odczuwa niepokój. Co pewien czas zatrzymywał się, wchodził z lornetką na wzniesienie...

— Spodziewasz się kogoś? — zapytała wreszcie Anna.

— Tak, zasadzki — odparł, nie wypuszczając peta z ust.

Vitry aż podskoczył.

— Zasadzki... i mówisz to tak spokojnie?

— Tak, bo wiem, że jest nieuchronna. Ludzie, z którymi zadarliśmy, nie są idiotami, a przeciwnie, mają parę tysięcy lat doświadczeń. Po akcjach w Paryżu, Zurychu i Los Angeles wiedzą o istnieniu poważnego, dobrze zorientowanego w ich sprawach przeciwnika, czyli mnie. Na pewno spróbują się mnie pozbyć. I was przy okazji.

— To dlaczego nie uczynili tego w Kijowie?

— Mieli za mało czasu, za mało ludzi. Nie sądzę, żeby Lee Mingh podczas swojej bytności w Rosji obudził kogokolwiek oprócz Iwanowa. Na poprzednim popasie dodzwoniłem się do mojego człowieka w Moskwie. Sasza twierdzi, że Müller, Spidola i Johanssen nie opuszczają hotelu Rossija. Wiemy też, że Pawłowski oraz obaj Szwajcarzy jadą pociągiem i pilnują rakiety. Mogli co najwyżej zatrudnić jakichś pośledniejszych najemników...

— Dlaczego uważasz, że pośledniejszych?

— Bo ci lepsi podpisują kontrakty z wielotygodniowym wyprzedzeniem.

— A gdzie może być generał Iwanow?

— Sądzę, że jest bardzo zajęty. Nietrudno odgadnąć, czym może zajmować się w okolicach Władykaukazu.

— Czym?

— Kupuje ruchomą wyrzutnię dla zdobytej rakiety. Przecież na plecach jej na Ararat nie zanoszą.

— I sądzisz, że ktokolwiek mu sprzeda? — wtrącił się Złocki.

— Oczywiście, w związku z wojną w Czeczenii całe Przedkaukazie zawałone jest bronią. Co ważniejsze, ta broń znajduje się w rękach niesforne, niezdyscyplinowanego wojska, spragnionego

wódki, pieniędzy i dziwek. A wracając do kwestii zasadzki, sędzę, że nie zaatakują nas przed północą.

— Dlaczego?

— Za duży ruch na drodze.

Po północy minęli Rostów, a w Batajsku Martigny zrezygnował z drogi na Krasnodar i ruszył, gorszą, mniej uczęszczaną szosą kierując się na Stawropol, rodzinne miasto Michaiła Gorbaczowa. Około drugiej wszyscy prócz kierowcy już dobrze spali, kiedy ocknął ich donośny szept Charlesa:

— Uwaga, zaczyna się!

W ciemności rozbłysły sygnalizacyjne światła latarek. W rowie leżał przewrócony mikrobus, a środek jezdni tarasował radiowóz. Obok kilku ludzi w mundurach policyjnych gestami nakazywało im się zatrzymać.

— To tylko wypadek! — powiedziała Anna. — Powinniśmy stanąć i spytać, czy nie potrzebują pomocy.

— Nie wierzę w nieoczekiwane wypadki na pustej drodze w środku nocy — burknął Martigny i dodał gazu. Transit śmignął poboczem, nieomal ocierając się o radiowóz. Zagrała seria z automatu i parę kul drasnęło forda. Fałszywi policjanci rzucili się do radiowozu, z krzewów wytoczył się ukryty tam mercedes.

— Oto i macie swój wypadek — zaśmiał się Charles maksymalnie zwiększając obroty silnika. — Annette, przysuń się do mnie, tak, teraz nóżka nad drążkiem biegów... Dobrze, siądź półdupkiem na moim siedzeniu i weź kierownicę. Noga na gaz. Za chwilę zwolnisz... Ale potem grzej do przodu.

— Co ty chcesz zrobić?

— Wysiąść na tym przystanku. Jedźcie dalej i jeśli wkrótce was nie dogonię, zatrzymajcie się pod komendą policji w najbliższym większym mieście. Teraz!

Korzystając, że ostry zakręt na moment zasłonił ich przed ścigającymi, Charles otworzył drzwiczki i wyskoczył. Spadł zwinnie na pobocze, przetoczył się przez bark i zniknął w rowie. Jeszcze chwila, a z rykiem starego dieslowskiego silnika minął go mercedes, z tyłu za nim telepała się policyjna suka. Kapitan DST wydobył z kieszeni granat i cisnął pod koła nadjeżdżającej maszyny. Grzmot eksplozji, fontanny piachu!

Kierowca mercedesa nie postąpił mądrze, za to dokładnie tak, jak przewidział as Súreté. Zamiast ścigać transita zwolnił, by zobaczyć, co się stało z radiowozem. To wystarczyło kapitanowi. Wydobył zabrane rakietierom uzi, puścił serię w opony. Merc zatańczył na jezdni, przez chwilę wydawało się, że kierowca zapanuje nad maszyną, ale drzewo stało za blisko. Rozległ się huk uderzenia i zapadła cisza.

Rozglądając się czujnie na boki. Martigny dobiegł do wraka i puścił profilaktyczną serię po

oknach. Zdążył jeszcze rzucić okiem na martwych napastników, po czym padł jak ścięty na ziemię.

I słusznie zrobił, powietrze przecięła seria z automatu. Chwilę później z tyłu nadjechał mężczyzna na motorze ze zgaszonymi światłami, w czarnej skórze i hełmie. Postępował niesłychanie ostrożnie i trzymał się cienia.

— Borys, Aleksy! Co z wami? — nawoływał. I jeszcze raz pociągnął serią po zaroślach.

Schowany pod mercedesem Charles czuł, jak ropa z pękniętych przewodów kapie mu na głowę i na ubranie. Zastanawiał się, czy niewidoczny napastnik też poczuł smród paliwa. Po chwili zawołał po rosyjsku:

— Jestem ranny, chcę się poddać!

— Gdzie jesteś? — zapytał motocyklista, nadal schowany w głębokim cieniu.

— Pod samochodem, pozwól mi wyjść, bo to świństwo gotowe lada moment wybuchnąć.

Za pniem drzewa błysnęła zapalniczka.

— Skrócę twe oczekiwania, idź do diabła! — zawołał napastnik. Nim jednak zdołał podpalić stróżkę wyciekającej benzyny, Martigny wślizgnął się do rowu. Rzucony przez niego granat eksplodował, ułamek sekundy później mercedes również zmienił się w kulę ognia.

Motocyklista, któremu granat urwał obie nogi, żył jeszcze. Przeklinał po chaldejsku swój los! Wybuch zerwał mu hełm i kapitan mógł zobaczyć, co zostało z eleganckiego dyrektora Rundela.

— Wsiadłeś w Rostowie i wynająłeś tych dupków, żeby nas załatwili? — zapytał konającego. Ten przeszedł na francuski.

— Nie macie szans, nie macie szans, żeby nam przeszkodzić. Dzień zwycięstwa nadchodzi... — skowyczał klnąc i plując krwią.

— Zobaczymy — odparł Charles, dobił go jednym strzałem, po czym podniósł hełm swojej ofiary, cofnął się po leżący motor i spokojnie ruszył śladem transita.

General Iwan Iwanowicz Iwanow odznaczał się charakterystyczną urodą amanta z radzieckiego filmu wojennego. Wysoki, jasnowłosy o szerokim uśmiechu Pinokia i zimnych oczach czekisty. Wcielenie spokoju Wielkorusa podbudowane sześcioma tysiącletnimi rodzinnymi doświadczeń. Czternastego marca około południa powitał na lotnisku we Władykaukazie Marcusa Boilliera, który przyleciał z Rostowa. Szwajcar nie taił swego wkurzenia.

— Miejscowi, których mi poleciłeś, sfuszerowali sprawę! Rundel nie żyje. Kretyn chciał załatwić przeszkadzaczy osobiście. Tymczasem francuski oficer dotarł już pewnie do Stawropola.

— Dalej nie dojedzie.

— Jak to załatwisz?

— Mam swoje sposoby. Co z przesyłką?

— Jutro wieczorem znajdzie się w Erewaniu. Pawłowski cały czas jej pilnuje i co godzinę melduje mi szyfrem, że wszystko w porządku.

— Macie radiostację w pociągu?

— Dzięki drobnym łapówkom wykorzystujemy rosyjską łączność kolejową.

— Świetnie. Zatem znajdzie się w Armenii prawie równocześnie z resztą chłopaków.

— A co z twoją wyrzutnią, załatwiłeś?

— Dopiero za pół godziny jestem umówiony na przekazanie forsy, którą przywiozłeś. Ale mają do mnie zaufanie, wyrzutnia rozmontowana i zabezpieczona posuwa się w kontenerze Gruzińską Drogą Wojenną. Z pewnością minęła już przełęcz pod Kazbekiem. Powinna dotrzeć na miejsce najpóźniej za trzydzieści sześć godzin. Zgodnie z harmonogramem. Wtedy zajmie się nią Wilhelm Miiller. Zmontowanie całości zajmie następne pół doby.

— Czyli najbliższa niedziela byłaby optymalnym momentem na odpalenie.

— Miałem inne plany, myślałem o Wielkim Tygodniu, ale teraz pojawiło się za dużo nieprzewidzianych okoliczności. Francuz wprawdzie działa na własną rękę, lecz, kto wie, czy ktoś z jego przełożonych nie zainteresował się tą egzotyczną „wycieczką”. Nie ma na co czekać, przyspieszymy termin. Mówisz, niedziela? Myślę, że byłby to niezły pomysł: zgładzić Pana w Dniu Pańskim.

Kiedy motocyklista w czarnym kasku z dużą prędkością dopędził transita, Anna poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła. Na szczęście po charakterystycznym geście poznała Charlesa. Zatrzymała samochód.

— W porządku — powiedział kapitan Martigny.

— Załatwiłeś ich? Wszystkich... — w głosie Jacquesa brzmiał szczerzy podziw.

— Wszystkich i na dokładkę tego szwajcarskiego bankiera Rundela, po którym odziedziczyłem całkiem zgrabny motorek.

Wciągnęli motor do wnętrza, Martigny przejął kierownicę transita i ruszyli dalej.

Około piątej znaleźli się w pobliżu Stawropolu. Na przydrożnej tablicy błysnęła reklama nowego motelu. Samochód zjechał z drogi.

— Mamy małe opóźnienie — powiedział, ziewając, Martigny. — Ale mimo to proponuję odrobinę się tutaj zdrzemnąć. Za to jutro spróbujemy przeskoczyć od razu do Erewania.

W recepcji, w której po dłuższej chwili dzwonienia pojawiła się rozespana właścicielka, Charles poprosił o cztery jedyńki.

— A może ja bym wzięła apartament — zagadnęła przymilnie Anna.

— Jeśli wspólnie z redaktorem Złockim, bardzo proszę. Ja planów erotycznych na tę noc nie mam — odparł zimno Charles i z satysfakcją obserwował, jak Leśniewska obraca się, aby ukryć łzy. — I proszę nie budzić mnie przed jedenastą — powiedział do recepcjonistki.

Rozeszli się po pokojach. Vitry, ledwo przyłożył głowę do poduszki, już spał. Złocki poszedł w jego ślady. Zapomniał nawet włączyć kwarcówkę Kryształowemu.

Obudziły ich bezceremonialne szarpnięcia.

— Wstawać, wstawać!

Pokój wypełniali uzbrojeni faceci o smutnych twarzach. Przeszukiwali szafy, jeden potrząsał Kryształowym jak skarbonką. Złocki wykonał ruch, jakby chciał schować się pod kocem.

— Czto diełajesz! Wstawat'! Ruki w wierch!

— Ale, panowie, o co tu chodzi? My turyści... Nie wiemy nawet, kim jesteście?

Wszedł oficer w baranim kozuszku narzuconym na mundur.

— KGB Republiki Rosyjskiej, gospodin Złockij — powiedział dźwięcznie.

Juruś zastanawiał się przez chwilę, jak Martigny poradzi sobie z rosyjskimi bezpieczeniakami, ale kiedy wyprowadzili go na podwórze, zobaczył, że dzielny kapitan stoi pod ścianą, w samych kalesonach z rękami pokornie uniesionymi do góry.

— Nu, choroszo — mówił oficer. — Koniec etich szutok. — Potem sypnął litanią zarzutów: fałszywe dokumenty i tablice rejestracyjne. Przywóz dużej kwoty w zagranicznej walucie. Łapówki rozdawane na prawo i lewo. Zabójstwo sześciu obywateli WNP i jednego Szwajcara...

— To jakaś pomyłka, nous sommes touristes... — Charles wyglądał naprawdę jak zdenerwowany mieszczuch.

— Doskonały kamuflaż, ale mnie nie zwiedzie. Wiem, z kim mam do czynienia. Kapitan Martigny z DST, nieprawdaż? Niestety przybył pan do nas na paszporcie prywatnym i bez statusu dyplomatycznego.

— My nie mamy z nim nic wspólnego — do rozmowy włączył się Złocki. — Ja jestem polskim dziennikarzem, ten Francuz tylko przyczepił się do nas.

— Śledztwo wszystko wykaże, winni zostaną ukarani, niewinni zwolnieni. Na razie są państwo aresztowani. Naturalnie broń i pieniądze ulegają konfiskacie. Eto intieresnoje ustrojstwo — wskazał na Tułacza — tożę. Nasz Departament Techniki będzie miał mnóstwo roboty... — Wprowadzić zatrzymanych do wozu.

Kiedy Iwanow odłożył telefon komórkowy, promieniał. — Mają ich! — powiedział do Boilliera i trącił się z nim szklanką pełną ormiańskiego koniaku. — W moteliku pod Stawropolem KGB wygarnęło całą czwórkę jak dzieci z kojca.

— Dziwne, że Martigny nie próbował walczyć. To twardy zawodnik.

— Zaskoczyli go we śnie. Zresztą KGB użyło do operacji aż dwudziestu doborowych ludzi. Zatrzymani przebywają w więzieniu w Stawropolu. Tak więc ten problem mamy z głowy.

— Przyznaj się, Wania. Ty im to nadałeś?

— A kto inny?

— Ale jeśli zaczną gadać? Jeśli opowiedzą wszystko, co wiedzą o naszej akcji? Może przypadkowo znaleźć się ktoś, kto im uwierzy.

— Gadać mogą, tylko do kogo? Operacją kieruje mój dużo młodszy stryjeczny brat, Walentin.

— Obudzony?

— Akurat przebywał na odprawie w Moskwie, kiedy odwiedził mnie Chińczyk. Poprosiłem, aby zajął się również Walentinem. Wystarczyło powiedzieć hasło...

— Ciekawe, że my sami nie możemy nikogo obudzić. Mimo że znamy formułę.

— Zastanawiałem się nad tym. Prawdopodobnie potrzebna jest odpowiednia koncentracja mocy, którą w wystarczającej dawce posiada jedynie Strażnik, a poza tym nie wystarczy powiedzieć: „Itar Tar...” W zdaniu musi być specyficzny akcent, melodyka, której ludzie urodzeni po upadku Sumeru nie są w stanie powtórzyć.

— Chyba że pamiętają.

— Chyba... Wracając do więźniów, Walentin zadba, żeby nikt ich nie przesłuchiwał przez najbliższą dobę. Później jest weekend, a w poniedziałek mogą ich przesłuchiwać do woli, będzie już po akcji. Twoje zdrowie, Marcus!

— Twoje, Iwan!

Wściekłość i rozczarowanie walczyły o pierwszeństwo w duszy Anny. To, że Charles potraktował ją jak zabawkę na jedną noc, uznała za osobistą zniewagę. Dodatkowo Martigny rozczarowywał jako superagent.

Batman dla ubogich!, szydziła w myśli. Dał się złapać jak dziecko. Nawet nie próbował uwolnić ich podczas przewożenia suką, a teraz pewnie sypie. Może trzeba było trzymać się Złockiego, safandula, bo safandula, kochanek też trzecioliigowy, ale przynajmniej naprawdę zakochany.

Mijała godzina za godziną. W celi panował chłód i nieznośnie śmierdziało z kibla. Nikt jej nie przesłuchiwał. Strażniczka przyniosła jedzenie i warknęła coś w nierozpoznawalnym narzeczu. Zwinięta w kłębek dziewczyna usiłowała spać. Ale sen nie przychodził. Denerwowała się coraz bardziej. Z każdą upływającą godziną czas kurczył się, a oni trwali w miejscu. Wieczorem strażniczka widząc dygot Leśniewskiej, ulitowała się i przyniosła parę dodatkowych kocy. Dopiero wtedy Polka usnęła.

Śniła się jej wielka góra przykryta śniegiem pod atramentowym niebem, na którym płonęła tylko jedna gwiazda. A potem odwiedził ją Boguś, ale nie ten warszawski playboy i bajerant, tylko tamten wakacyjny, roześmiany chłopak.

— Zgubiłam się, Bogusiu — powiedziała. — Chciałam przygody, ale nie takiej. Teraz jestem przerażona własną głupotą. Co ze mną będzie?

— Każdy kiedyś się gubi, ale wraca... — odpowiedział jej łagodnie. — Czekam na ciebie, myszko.

— Bardzo się boję, Bogusiu. Złocki jest słaby, a siła Charlesa też jest pozorna. A na dodatek, to zły człowiek.

— Patrzę na ciebie, myszko, cały czas, nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Piętnasty marca.

O świcie wyprowadzono ich z cel na korytarz. Vitry drżał cały, nie próbował nawet zatrzymać kołowrotka natrętnych myśli: „Rozwałą nas, na pewno nas rozwałą”.

Twarz Złockiego wyrażała pełną rezygnację. Anna zachowywała się z godnością. Charles natomiast wyglądał, jakby ciągle drzemał. Może rzeczywiście spał albo znajdował się pod wpływem odurzającego specyfiku.

Nic jednak złego im nie zrobiono. Przeciwnie. Zaprowadzono ich do łaźni z gorącymi prysznicami, dostali z powrotem swoje ubrania i pożywne śniadanie. Porucznik Walentin Iwanow, który zjawił się pod koniec posiłku promieniał uprzejmością.

— Pojediom w Moskwu, doroģije szpiony!

— Żądam powiadomienia mojej ambasady o tym bezprawnym zatrzymaniu — rzucił twardo Martigny.

— Ależ oczywiście, po dotarciu do Moskwy skontaktujemy was z ambasadą, już w poniedziałek, a może we wtorek.

On jest jednym z nich, pomyślał Złocki, obserwując porucznika KGB. Jeszcze jeden Obudzony!

— Chcę rozmawiać z pańskim zwierzchnikiem — powtórzył Charles.

— Czyżby było coś takiego, czego nie mógłby powiedzieć pan mnie? A może ktoś z was mi powie.

Milczeli.

Skuto im ręce na plecach, a kapitanowi DST (prawdopodobnie ze względu na szacunek dla jego profesjonalnych umiejętności) nałożono kajdanki również na nogi, po czym odtransportowano całą czwórkę na lotnisko. Czekala tam niewielka dwusilnikowa maszyna typu MikroMIG. Oprócz kabiny pilotów awionetka składała się z czteroosobowej salonki i niewielkiego pomieszczenia bagażowego. Trzech ludzi z konwoju ulokowało się w kabinie pasażerskiej, aresztowanych i ich rzeczy wepchnięto do luku.

— Madame może usiąść z przodu — Walentin szarmancko zwrócił się do Leśniewskiej.

— Dziękuję, zostanę z kolegami.

— W takim razie chodź ty — wskazał na Złockiego. — I to już. Nie są to jakieś specjalne względy, tylko sprawa wyważenia samolotu. Siądziesz na moim miejscu, a ja dotrzymam towarzystwa naszemu

ładunkowi.

Samolocik sprawnie oderwał się od ziemi i wziął kierunek na północ. Martigny natychmiast zasnął.

Ależ on ma nerwy, pomyślał z podziwem Vitry.

Iwanow chciał pogadać z Leśniewską, ale natrafiając na mur milczenia, zrezygnował. Zresztą po paru minutach do bagażowni wsadził głowę jeden z konwojentów.

— Moskwa do pana, panie poruczniku.

— Przepraszam państwa na chwilę.

Wyszedł i w tym momencie powieki Charlesa odemknęły się jak oczy gada.

— Pocałuj mnie, Annette — rzekł krótko, nachylając się ku Leśniewskiej.

Żachnęła się. I próbowała odsunąć.

— Pocałuj mnie natychmiast, jeśli chcesz, żebyśmy wszyscy uszli z życiem — powtórzył z naciskiem.

Przysunęła usta do jego twarzy, muskając mięsiste wargi.

— Z jęczyzkiem — zakomenderował. — A kiedy już będziesz w środku, spróbujemy razem podważyć dolny mostek po lewej stronie.

Wreszcie pojęła, że nie chodzi mu o pieśczoć. Przez chwilę zmagala się z oporem materiału, pragnąc zapomnieć, że są to usta człowieka, z którym przeżyła najwspanialszą noc swojego życia, a zarazem największe upokorzenie... Proteza odskoczyła. Anna cofnęła się. Między wargami Charlesa błysnął mały, uniwersalny kluczyk.

— Odwróć się do mnie tyłem — zażądał kapitan. Spełniła polecenie. Poczula jak jego usta znalazły się przy jej przegubach. Chwila koncentracji, cichutki szczeł żelaza. Miała wolne ręce.

— Teraz twoja kolej, Annette — szepnął. — To nie jest takie trudne.

— A powiesz mi prawdę, czujesz coś do mnie?

— Rozkuj mnie natychmiast, kretynko!

W trzydzieści sekund później porucznik Iwanow wrócił do bagażowni, czujnym wzrokiem omiół całe pomieszczenie. W rozszerzonych źrenicach Leśniewskiej zobaczył jedynie strach, natomiast Martigny spał dalej z głową zwieszoną na piersi.

Porucznik uśmiechnął się, odłożył broń i sięgnął po papierosa. Nagle z gardła Charlesa dobiegł charkot i ośliniony mostek wypadł mu na piersi. Walentin machinalnie nachylił się, aby zobaczyć, co

to takiego, i w tym momencie kapitan gwałtownie poderwał głowę trafiając Rosjanina w szczękę. Poprawił w szyję ciosem karate. Iwanow padł. Teraz Anna szybko rozkuła Vitry'ego, a Martigny odbezpieczył broń Walentina i wszedł do kabiny. Zaskoczenie było pełne. Konwojenci, młodzi chłopcy z Powołża nie mieli zamiaru walczyć ani tym bardziej umierać.

Złocki pozbierał ich *orużje*. Charles kazał uzbroić się całej trójce, a następnie wszedł do kabiny pilota.

— Zmiana kursu — powiedział wesoło. — Tylko bez żadnych sztuczek! — Kątem oka ujrzał, jak ręka pilota kieruje się ku radiostacji. Machnął automatem i kolba zmiażdżyła palec lotnika. Następnym ciosem rozbił radiostację. — Teraz zejdziesz niżej i nad górami polecisz na południe. Do Armenii. Vitry, chodź tu, będziesz pilnował, żeby panu się kierunki nie pomyliły...

Liliput usiadł na fotelu drugiego pilota, kurczowo ściskając pistolet w drobniutkich dłoniach.

— Byłeś genialny. Jak mogłam zwątpić w ciebie! — Anna promieniała. — Znów jesteśmy wolni i możemy jeszcze zdążyć na czas.

— Spokojnie, zdążymy, zwłaszcza że polecimy z mniejszym obciążeniem — tu otworzył drzwi kabiny i mroźne powietrze wdarło się do wnętrza.

— Wsiadka, młodcy!

Twarze trzech żołnierzy zrobiły się blade jak papier.

— Charles, ty nie możesz tego zrobić — zaprotestowała Anna. — To byłaby zbrodnia!

— Nie mam wyboru. Przeżegnać się i jazda — machnął im bronią przed nosem.

Cofali się lękliwie, spoglądając po sobie, strach odebrał im mowę. Kiedy pierwszy znalazł się przy drzwiach, Martigny strzelił. Krwista róża rozkwitła na piersi żołnierza i już go nie było. Drugi zdobył się na odwagę i zamierzał skoczyć na kapitana z gołymi rękami, ale kolejny strzał rozciągnął go na podłodze. Trzeci nie czekał i z pełnym rozpaczem krzykiem runął w chłodną przestrzeń. Martigny wypchnął na zewnątrz trupa i pomachał za całą trójką.

— Pa, pa, chłopaczki...

I w tym momencie rozległ się ryk szarżującego Walentina. Iwanow odzyskał przytomność i ujrawszy, co się dzieje, całym ciężarem swych dziewięćdziesięciu pięciu kilogramów uderzył w kapitana.

Wylecieli obaj, Anna odruchowo przymknęła oczy. Po chwili zobaczyła, że ręka Charlesa chwyciła wspornik przy skrzydle. Złocki podbiegł do drzwi. Obejmowany przez Iwanowa, Martigny wisiał na zewnątrz kabiny, próbując drugą ręką złapać się czegokolwiek...

Złocki nie wahał się, mimo że ostatni raz strzelał na obozie wojskowym przed blisko dwudziestu laty. Wypalił. Kula musnęła tylko Walentina, ale ten z bólu puścił Charlesa i wymachując rękami,

poleciał w dół ku odległej, zieleniącej się ziemi... Charles, postępując, wczuł się do kabiny.

Anna nadal ścisnęła swój automat w zsiniałych rękach. Martigny spojrzał jej prosto w oczy.

— Chciałabyś mnie zabić, prawda, Annette? Co cię powstrzymuje?

— Jesteś potrzebny do udaremnienia knowań Spadkobierców — odparła.

— Rozumiem. A potem mnie zabijesz? Cóż, trzymam cię za słowo.

15. Zabić ludzi, zabić Boga

We wschodniej części Republiki Armenii na wysokości 1906 metrów nad poziomem morza rozciąga się obszerne jezioro Sewan. Od dłuższego czasu jego stan budzi zaniepokojenie ekologów, zanieczyszczenia przemysłowe przerzedziły arcybogate ongiś hodowle pstrągów, a stały ujemny bilans wodny sprawia, że jezioro umiera. Coraz szersze stają się pasy twardej, zeskorupiałej ziemi, złowroga martwica wokół tafli wód.

Wczesnym popołudniem piętnastego marca nad powierzchnią Sewanu pojawił się niewielki samolocik. Przebył odległą drogę. Poruszając się zwinnie w labiryncie dolin wysokogórskich, nie zatrzymywany przez nikogo przemierzył kilkaset kilometrów dzielących Stawropol od Erewania. Czy naprawdę pozostał nie zauważony? Wypada wątpić. Nie należał do maszyn niewidzialnych. Nikt jednak nie kwapił się zestrzeliwać maszyny z rosyjskim oznakowaniem wojskowym, sama zaś Rosja nie wysyłała nikogo w pogoń za uprowadzonym samolotem, nie chcąc zapewne wystawiać na próbę i tak nie najlepszych stosunków ze swymi dawnymi republikami.

Jeśli nawet wokół incydentu trwały jakieś rozmowy na szczeblu ministerstw obrony lub bezpieczeństwa, nic na ten temat nie przeciekło do prasy, nie wpłynęło również na przebieg lotu.

Samolot zatoczył łuk nad półpustynnym północno — wschodnim brzegiem akwenu.

Martigny wskazał pilotowi brunatny pas wyschniętego wybrzeża:

— Tu wylądujemy.

— Nie dam rady! Rozbiję maszynę!

— Daj spokój, stary, obaj wiemy, że to maleństwo usiądzie nawet na trawie. Albo lądujesz, albo cię wysadzam i przejmuję stery. — Tu zwrócił się do pozostałych uczestników lotu: — No, moi drodzy, zapnijcie pasy i przygotujcie się na twarde lądowanie.

Pilot zmniejszył siłę ciągu, przestawił stateczniki. Ziemia znajdowała się już bardzo blisko, zdawało się, że zbliża się do nich z astronomiczną prędkością. Przelecieli nad linią brzegową i znaleźli się nad skamieniałą skorupą.

— Teraz! — zawołał Martigny. Koła maszyny dotknęły ziemi, mikroMIG podskoczył parę razy jak ptaszek, rzuciło go kilkakrotnie na boki, ale ostro hamując, toczył się wciąż wolniej i wolniej.

— Brawo? — zawołała Anna.

— Powinienem cię teraz zastrzelić — powiedział Charles do pilota — ale cenię fachowców. To był dobry lot. Leć zdrów.

Maszyna zakręciła pod wiatr i dziarsko ruszyła do przodu. Tuż przed lustrem wody pilot poderwał dziób i mikroMIG uniósł się w powietrze, kierując się na północ.

— Tym razem cię zupełnie nie rozumiem, załatwiłeś tamtych Bogu ducha winnych chłopaków, a jemu dałeś spokojnie odlecieć — powiedział Vitry. — Samolot jeszcze by się nam przydał.

— I ściągnął na kark tabun przeciwników.

— Nie przypuszczasz, chyba że ten pilot będzie milczał, że nie opowie, co zrobiłeś z tymi trzema żołnierzami i ich dowódcą.

— Zaręczam, że będzie milczeć jak grób, nie wiem, czy zauważyliście, ale zostawiłem na pokładzie mój chlebaczek. Jest w nim mały upominek z zapalnikiem czasowym. Nastawiłem go tak, by mechanizm zdetonował za kwadrans. Za chwilę więc będzie po wszystkim. Szkoda tylko, że tego nie zobaczymy.

— Ty draniu! — syknęła Anna. — Wszystko przewidzisz. Ale nie sądzisz chyba, że Spadkobiercy uwierzą w naszą śmierć w tej katastrofie.

— Dla Spadkobierców jesteśmy na przesłuchaniach w podziemiach Łubianki. Nie sądzę, żeby w ogóle zaprzątali sobie nami głowy. Walentin Iwanow, jedyny, który mógłby wyprowadzić ich z błędu, nie żyje. Natomiast Rosjanie, zaręczam wam, nie będą się nikomu chwalić utratą tego samolociku. Można powiedzieć, usmażyliśmy parę pieczeni na jednym ogniu.

— Ale jak się stąd wydostaniemy? — zapytał Złocki, rozglądając się nerwowo. — Tylko patrzeć, jak pojawią się miejscowi policjanci.

— I na to mamy sposób!

Martigny ściągnął lewy but, podważył nożem obcas i wydobył niewielkie urządzenie nadawczo-odbiorcze. Wyciągnął antenę.

— Dzika Kaczka — powiedział do mikrofonu. — Dzika Kaczka wzywa Kormorana! Powtarzam.

— Kormoran zgłasza się — zabrzączało w słuchawce.

— Jesteśmy na miejscu. Podaję K-W-175.

— Dobrze, ruszam. LD-7. Wyłączam się.

Martigny wyłączył urządzenie i ponownie schował je w obcasie.

— Z kim rozmawiałeś? — zapytał Jacques. Anna, mimo że z natury bardzo ciekawa, nie zbliżała się do Charlesa.

— Z moim człowiekiem, Heinzem, wczoraj przyleciał z Zurychu do Erewania. Wprawdzie po ostatniej akcji na Bahnhofplatz ma troszkę poturbowane zebra, ale od tego się nie umiera. Z szyfru

wynika, że już wczoraj zorganizował wóz terenowy, i jestem pewien, że za trzy godziny dotrze do miejscowości Vardenis, K–W–75 na naszej siatce współrzędnych. My mamy do niej mniej więcej tyle samo forsownego marszu. Powinniśmy punktualnie stawić się na spotkanie.

— A jeśli natkniemy się na miejscowych?

— Jesteśmy grupą turystów, która zgubiła szlak. Oczywiście, nie widzieliśmy w okolicy żadnego samolotu...

Erewan jest miastem czerwim i brązu — czerwonej wulkanicznej gleby oraz rudych murów wznoszonych z tufu. Przy zachodzie słońca ten efekt jeszcze się potęguje. Można odnieść wrażenie, że całe miasto po prostu płonie.

Heinz znalazł im kwaterę na pięterku domku na południowym przedmieściu. Gospodarze za niewielką opłatą wynieśli się do kuzynów, o nic nie pytając. Równie tanio policzył sobie administrator za niedopełnienie obowiązków meldunkowych.

— Możecie spać spokojnie — powiedział Heinz do Złockiego. — Okolica jest spokojna. Nikt was tu nie będzie szukać.

— Zresztą Spadkobiercy uważają, że wszyscy jesteśmy w Moskwie — zapewnił jeszcze raz Martigny. — A Heinz znakomicie wywiązuje się z obowiązków ochroniarza. Niczego wam przy nim nie zabraknie.

— Dlaczego powiedziałeś: „wam”, czyżbyś zamierzał znaleźć sobie inną kwaterę? — zaniepokoił się Vitry.

— Przystępujemy do bardzo subtelnej etapu operacji. Będę w ciągłym ruchu. Uwierzcie mi, to robota dla zawodowca. Kiedy będzie po wszystkim, dołączycie do mnie.

— Chcielibyśmy jednak przynajmniej obserwować akcję — postawił się Złocki. — W końcu to myśmy wpadli na trop afery.

— A czym chciałby się pan zająć, panie redaktorze? Mokrą robotą? Technika? A może chce pan zestrzelić głowicę z procy? Nie, kochani, tę fazę pozostawcie mnie.

— Powiedz przynajmniej, co zamierzasz? — dopytywał się Vitry.

— Mam powody sądzić, że wkrótce nasi przeciwnicy spotkają się w komplecie i przystąpią do montowania wyrzutni.

— Domyślasz się miejsca tego zgromadzenia?

— Mam parę pomysłów, ale chciałbym zapytać, co ma do powiedzenia nasz Wieczny Tułacz.

Jerzy wypakował Kryształowego z pudła, do którego wsadził go Walentin Iwanow, i umieścił pod kwarcówką. Android, lubo osowiały, ożywił się, słysząc, że ktoś chce skorzystać z jego inteligencji.

— Biorąc pod uwagę parametry i środki dostępne Spadkobiercom, wyrzutnia powinna być umieszczona w promieniu pięćdziesięciu–sześćdziesięciu kilometrów od celu — powiedział, a Martigny rozłożył na stole mapę. — Sądzę, że wybiorą jakiś położony w bezpiecznej odległości

punkt z dobrą widocznością na Ararat, gdyż z pewnością będą chcieli zobaczyć, czy pocisk sięgnął celu. Ze względu na wagę ładunku i wyrzutni nie może to być jakieś bezdroże. Jednocześnie, z przyczyn oczywistych nie wybiorą stanowiska na centralnym placu Erewania. Montowanie wymaga czasu, miejsce musi być ustronne, bezludne, osłonięte przed okiem ciekawskich. Kolejny element, który z pewnością wezmą pod uwagę, instalując wyrzutnię, to konieczność zapewnienia sobie dróg ewakuacji. Wkrótce po wybuchu zacznie się rozprzestrzeniać chmura radioaktywna...

— To zawęży obszar poszukiwań do rejonu dróg A 327 na zachód, A 310 na północ, do Tbilisi i A 325, przez Nachiczewan do Baku — odpowiedział Vitry, który doskonale orientował się na mapach, a za to zupełnie beznadziejnie w terenie.

— Szlak do Tbilisi wykluczyłbym — stwierdził kapitan. — Erewan i jego smog zasłaniają Ararat, tak samo nie brałbym pod uwagę doliny Araksu.

— A to czemu?

— Po wybuchu ogromne masy wód ze stopionych wiecznych śniegów runą w dolinę. Powódź zmyje wszystko, co napotka na drodze.

Anna była wstrząśnięta.

— Mówisz tak spokojnie i zakładasz, że dojdzie do wybuchu. Przecież to zapowiada katastrofę na niebywałą skalę.

— Przybyliśmy tu, aby jej zapobiec. Staram się jednak rozumować kategoriami przeciwnika. Gdyby się im udało, zapewne należałoby się liczyć z kilkoma setkami tysięcy ofiar na początek... Choroba popromienna zgarnęłaby drugie tyle.

— Na co więc czekamy?! — zawołał Jerzy. — Trzeba powiadomić władze, niech przeprowadzą ewakuację ludności, a przede wszystkim poskromią szaleńców.

— Pytanie, czy władze nam uwierzą. A poza tym, czy nie sądzisz, monsieur redacteur, że ci desperaci w obliczu zagrożenia mogą zdetonować ładunek natychmiast. Wtedy ofiary będą nieporównywalnie większe. Zaufajcie mi. Opanuję sytuację, rozbroję tych drani i oczywiście bombę... A wracając do miejsca. Gdzie sądzisz, Wieczny Tułacz. Iwanow ustawi śmiercionośną wyrzutnię.

— Wszystko wskazuje na okolice Eczmiadzyna, religijnego sanktuarium Ormian.

Tuż za miasteczkiem Oktemberian towarowy z Krasnodaru stanął pod semaforem. Było już prawie całkowicie ciemno. Z wagonu pełnego drobiu wyskoczył szczupły mężczyzna, wślizgnął się pod pociąg i zaczął sprawnie manipulować przy złączach. Po paru minutach skład ruszył. Grzegorz Pawłowski, który przeciął przewody hamulców pneumatycznych, policzył do dziesięciu i uwolnił ostatni zaczep... Uwolniony wagon oderwał się od nabierającego prędkości pociągu, toczył się jeszcze siłą rozpędu, stopniowo jednak pozostając w tyle. Szczęknęła zwrotnica. Rzuciło wagonem tak, że Pawłowski omal nie wylądował w zaroślach. Posuwali się już po bocznicy. Tor szedł na tym odcinku lekko pod górkę, wagon zwalniał, wreszcie miękko uderzył w zaporę i stanął. Mężczyźni, którzy wyłonili się z krzaków, rzucili na tor stare podkłady, aby zapobiec cofaniu się wagonu. Na rampę z świeżo ułożonych płyt podjechała wielka ciężarówka z dwoma dźwigami. Pawłowski pozdrowił Iwanowa podniesieniem ręki. Ten rzucił komendę i warknął do najemników:

— Zwijajcie się! Przed świtem musimy być daleko stąd.

Rankiem szesnastego marca Martigny wrócił na chwilę do domku, w którym nocowała reszta uczestników wyprawy. Vitry już wstał, a Złocki golił się w łazience. Anna uśmiechnęła się zalotnie na widok kapitana, ale nie spotykając się z żadną reakcją, nastroszyła się jak wściekła kotka.

— Jest nieźle — powiedział Charles. — Mój człowiek na lotnisku doniósł, że Spidola, Muller i Johanssen już przylecieli z Moskwy. Otrzymałem też cynk, że interesujący nas pociąg dotarł do Erewania bez ostatniego wagonu. Sądzę, że wkrótce zlokalizuję miejsce pobytu Spadkobierców.

— I co wtedy?

— Zlikwiduję ich. Zdobyłem na czarnym rynku doskonały granatnik... Aha, Jacques, powtarzałeś, że chcesz uczestniczyć w akcji. Wiesz, że nie potrafię ci niczego odmówić.

— A oni? — Jacques podniósł się z ociąganiem.

— Heinz przywiezie ich we właściwym czasie. No, ładuj się do samochodu. Na pożegnanie uścisnął rękę Złockiemu i machnął Annie.

— Świetnie się z wami pracowało — rzekł patrząc im prosto w oczy.

Nie wiedzieć czemu Jerzy odniósł wrażenie, że widzi się z Charlesem po raz ostatni.

— A co mamy zrobić w przypadku, gdyby ci się nie udało? — zapytał.

Kapitan popatrzył na dziennikarza, lekko wydymając usta i rzekł dobitnie:

— Nie biorę pod uwagę takiej możliwości, mon ami!

Ruszył do wozu. Po drodze dopędziła go Anna.

— Naprawdę nie masz już mi nic więcej do powiedzenia, Charles?

— Powiedziałem do widzenia.

— Ale myślałam...

— Co?

— Że skoro możemy wszyscy zginąć, to powinniśmy sobie chyba powiedzieć parę cieplejszych słów...

— Jeśli nie zginieemy, będzie masa czasu na opowiadanie, a jeśli zginieemy, to nie ma o czym mówić.

— Przerażasz mnie, Charles.

— Nie jesteś odosobniona w swych odczuciach.

— A czy przynajmniej możesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie, szczerze i krótko, w końcu co ci zależy...

— Co to za pytanie?

— Czy ty nigdy nikogo nie kochałeś?

Chwilę milczał.

— Matkę — powiedział z pewnym ociąganiem — ale zmarła, kiedy miałem dziewięć lat.

— A potem?

— Chyba już tylko swoją pracę.

— Mimo że brudna, podła a często bezsensowna?

— Cokolwiek powiedzieć, daje szansę, aby się sprawdzić i być najlepszym. A przynajmniej lepszym od innych.

— Niech cię Bóg prowadzi!

— W najbliższych godzinach ta raczej on powinien modlić się do mnie.

Opodal Eczmiadzyna — miasta, będącego tym, czym, Zagorsk dla prawosławnych Rosjan, a Mekka dla pobożnych muzułmanów — na łagodnym wzniesieniu znajduje się opuszczone gospodarstwo. Kiedyś była tu duża państwowa ferma, która zbankrutowała, nie mogąc poradzić sobie w warunkach kapitalistycznej konkurencji. Od pewnego czasu dwie zagraniczne firmy rywalizują o zakup tego terenu; ma na nim stanąć hotel Nowy Ararat ze wspaniałym widokiem na Świętą Górę. W tej sprawie popłynęło już sporo pieniędzy i koniaku (też marki Ararat), ale jak na razie do żadnego definitywnego rozstrzygnięcia nie doszło.

Nad ranem szesnastego marca, wieśniak przejeżdżający w pobliżu na rowerze zaobserwował ruch wśród opuszczonych zabudowań. Stały tam dwa ciężkie wojskowe ziły i kręciło się kilkunastu mężczyzn. Wiedziony nawykami wyniesionym z lat bolszewickiej młodości rowerzysta zameldował o swym spostrzeżeniu na posterunku w Mecamor i już koło południa sam komendant przyjechał na motorze sprawdzić, co się dzieje.

Zaskoczyła go kompletna pustka. Owszem ślady ciężkich opon prowadziły aż na dziedziniec dawnej fermy, same pojazdy jednak zniknęły. Dopiero za kolejnymi zabudowaniami zauważył stary gazik. Wyjął broń.

Za plecami usłyszał śmiech.

— Tylko nie strzelajcie, sierżancie, wprowadźcie my ruskie wojsko, ale na podstawie porozumień z waszym rządem mamy prawo do stacjonowania w wyznaczonych punktach i tranzytu do autonomicznej Republiki Nachiczewanskiej. — Mówiący te słowa nosił elegancki mundur generała wojsk rakietowych i miał szczere wejrzenie równego chłopca.

— A te samochody? — komendant wskazał na koleiny.

— Były, ale już pojechały. Zdarzył się mały defekt. Zajechaliśmy tutaj, aby nie tarasować drogi, a moi ludzie skorzystali z okazji, żeby się trochę przespać. A przy okazji, wasza godność?

— Starszy sierżant Wardan Karajan.

— Proszę, proszę, a może kuzyn tego słynnego dyrygenta?

Aluzja do Herberta von Karajana nie zrobiła na sierżancie żadnego wrażenia, nadal rozglądał się nieufnie. Omiótł wzrokiem rozległy barak dawnego magazynu, zastanawiając się, czy nie powinien zajrzeć do środka.

— Pewnie dziwicie się, co ja jeszcze tu robię. Ano czekam na drugą część kolumny, która wieczorem nadjedzie od strony Oktemberianu... Będę ich pilotować aż do Nachiczewania.

Policjant miał na końcu języka pytanie, z jakiego powodu rosyjska kolumna wybrała drogę tak

okreżną i w dodatku kiepskiej jakości, ale uznał to za stratę czasu. Po powrocie do gmachu posterunku postanowił jednak zadzwonić do swojego zwierzchnika w Eczmiadzynie. Dowiedział się, że komendant jest na rybach, a zastępca ma wesele córki, więc dał spokój.

Tymczasem ledwie ścichł warkot motoru, Iwanow wszedł do środka dawnego magazynu.

— Odjechał, do roboty.

Pawłowicz, Johanssen, Muller i Boillier nie potrzebowali zachęty. Perspektywa rychłego sukcesu sprawiała, że elita elit nie wstydziła się pracować jak zwyczajni robotnicy. Spidola chciał się do nich przyłączyć, ale Iwanow kiwnął na niego palcem.

— Mam dla ciebie niewielkie, ale odpowiedzialne zadanie, bardziej odpowiadające twoim niezwykłym kwalifikacjom, Niccolo.

Kilkadziesiąt sekund po odjeździe kapitana Martigny w głowach Anny i Jerzego zabrzmiał cichy głos Kryształowego.

— Chodźcie do mnie, dzieci.

Weszli do pokoju. Już w pierwszej chwili zobaczyli rozbitą kwarcówkę. Złocki natychmiast przesunął Tułacza na parapet skąpany w ożywiającym słońcu południa.

— Dziękuję — padła odpowiedź. Ale mimo słonecznej kąpieli z androidem działo się coś niedobrego. Z pudełka sączyła się fioletowa poświata, nasuwająca skojarzenie z krwawieniem, a głos rozbrzmiewający w ich mózgach wydawał się starczy, przygaszony, pozbawiony normalnej rzeźkości.

— Coś ci się stało, staruszkule? — zapytał Juruś.

— Jest gorzej niż źle.

— To znaczy?

— Pozostaliśmy sami, zdani na siebie. Bezsilni wobec nadchodzącego zła...

— Skąd ten pesymizm, z powodu Charlesa?

— Od początku nie miałem zaufania do tego człowieka.

— Nie przesadzasz? Fakt, jest dość brutalny i ma inklinacje do zabijania, ale bardzo dzielnie służył naszej sprawie — powiedziała Leśniewska.

— A może swojej sprawie? Zresztą możecie posłuchać jego rozmowy z Heinzem za domem, gdy ten gruby Szwajcar wychodził po zakupy. Nie mogli wiedzieć, że mimo uszkodzenia, słyszę na ponad sto metrów.

Włączyło się odtwarzanie, po chwili bezpośrednio w ich mózgach rozległy się głosy kapitana DST i jego agenta:

Heinz: — Niczego się nie domyślają. I jeśli tylko ten kawałek cyborga nie przeszkodzi...

Martigny: — Potrafisz chyba go wyłączyć?

Heinz: — Dynamit?

Martigny: — Wystarczy niby niechcący zniszczyć kwarcówkę, a sam wysiądzie po niedługim czasie.

Heinz: — A oni... kiedy?

Martigny: — W nocy. Już nie są mi potrzebni. Tylko pamiętaj, bez hałasu.

Heinz: — Dziewczyna też?

Martigny: — Czemu pytasz?

Heinz: — Bo ładna.

Martigny: — Dużo jest ładnych, Heinz. A jeszcze więcej głupich. Jeśli ci się podoba, to przedtem ją przeleć. Połącz przyjemne z pożytecznym. I wiew stąd. Wiew jak najszybciej.

Heinz: — A kurdupel? Nie można by go za jednym zamachem...

Martigny: — Wiesz, lubię mieć świadków swoich sukcesów. A poza tym jest nieszkodliwy. Kocha mnie tak bezgranicznie, a jak doskonale robi laskę...

Heinz (ze śmiechem): — Ty to masz dobrze, Charles!

— Jezus Maria — jęknął Złocki. — A więc już po nas.

— Jeszcze nie — Kryształowy przerwał odtwarzanie. — Musicie uciekać. Jediną szansą jest wejście na Ararat. Razem ze mną. Jeśli znajdę się kilkaset metrów od HIBERNY, nawiążę łączność z Panem i dokonam awaryjnego budzenia.

— Ale Heinz nas nie puści. Zabije, zanim oddalimy się dalej niż na sto metrów od tej chałupy — zawołała dziewczyna.

— Masz jednak pewną szansę, Anno — głosik Tułacza na moment zabrzączał bardziej optymistycznie. — Podobasz mu się. I to trzeba wykorzystać.

Tęgi najemnik, maszerujący lekko kołyszącym się krokiem byłego marynarza, wrócił z zakupami mniej więcej po kwadransie.

— Hej, robaczki — zawołał po angielsku, wchodząc po schodach na pięterko. — Jesteście tam?

Odpowiedział mu głos Leśniewskiej.

— Akurat biorę prysznic.

— A gdzie kolega redaktor?

— Poszedł się przejść.

Heinz cicho uchylił drzwi. I zatarł ręce. W perspektywie nie domkniętej łazienki widział stojącą pod prysznicem Annę. Do diabła, była taka zgrabna! Wszystko w nim nabrzmiało.

— Kupiłem koniaczek! — zagaił przymilnie. — Może napijesz się, laleczko, ze starym, grubym Heinzem.

Spodziewał się odmowy. Zamiast tego usłyszał:

— Czemu nie.

Leśniewska odziana jedynie w kusy ręcznik wyszła z łazienki. Zawodowy zabójca cmoknął z zachwytu i dorzucił:

— Zimno ci, że tak drzysz...

— Jesteśmy sami w wielkim, pustym domu — powiedziała wypijając duszkiem zaofiarowany koniak. — To takie... dziwne!

— Nie bój się, Heinz potrafi być bardzo milusi dla tych, co są milusi dla niego. A ty będziesz, prawda? — Zwinnym szarpnięciem zdarł z niej ręcznik. Twarz pokraśniała mu jeszcze bardziej. Dziewczyna cofnęła się dwa kroki, ale za nią stało tylko łóżko, osunęła się więc na poduszki.

— Gdy się spadło na poduszki, trza jak nic rozsunąć nóżki — zarechotał grubas i ściągnął przez głowę swój podkoszulek. Piersi opasywały mu grube bandaże elastyczne, ale zerwał je. Pozbył się też spodni.

— Widziałaś kiedyś taką haubicę? — zawołał, prezentując broń. — Nawet Charles mi jej zazdrości. Ale Charles, jak wiadomo, woli broń ładowaną odtylcowo.

Usiłowała się uśmiechnąć i pociągnęła go na siebie. Jednocześnie wsunęła dłoń pod poduszkę,

gdzie schowała kupiony przez Jurusia na Besarabce nóż komandoski.

— Zdaje się, że czegoś nie może panienska znaleźć? Ha, ha, może tego? — machnął majchrem. — Heinz znalazł zabaweczkę wcześniej. Rutynowa kontrola pod poduszką.

Próbowała zacisnąć nogi, ale kolano Szwajcara znalazło się już między jej udami.

— Ratunku! — krzyknęła wierzgając desperacko.

Ukryty w szafie Juruś nie czekał dłużej, wyskoczył, zamachnął się trzymanym w dłoni czekanem, ale Heinz miał chyba oczy z tyłu. Przeturlał się na bok. Czekan opadł druzgocąc oparcie łóżka. Zawodowiec tymczasem już stanął na nogach, nóż świsnął, muskając pierś Złockiego. Na podkoszulku pojawiła się krwista pręga.

— Nie zabijaj nas! — krzyknęła Anna, usiłując chwycić go za rękę. — Nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi!

Machnął łokciem, aż poleciała na stojące pod ścianą tremo. Ormiańscy gospodarze ze ślubnego zdjęcia nad łóżkiem przyglądali się walce z fotograficzną obojętnością.

Złocki odskoczył i rozejrzał się rozpaczliwie. Nigdzie wyjścia, za plecami zakratowane okno, między drzwiami a nim Heinz, który pozbył się już zrolowanych spodni krępujących mu nogi i rechocząc wywijał nożem. Złocki zasłonił się krzesłem, ale jakże marna to była osłona.

— Co wolisz, jedno pchnięcie czy deseń?

— Dywanik — w mózgu Anny zabrzmiał naraz spokojny głos Kryształowego. — Dywanik...

Machinalnie schyliła się i szarpnęła za chodniczek przykrywający wypastowaną podłogę. Stojący na nim Szwajcar stracił równowagę i runął na kant łóżka. Chrupnęły nadłamane żebra. Heinz usiłował natychmiast się poderwać i poczuł rozdzierający ból. To złamana kość przebiła osierdzie, wdzierając się w głąb komory serca.

— Umieram — wyszeptał zdumiony zawodowiec. — Dlaczego? Niemożliwe, w taki głupi sposób?

Patrzyli, jak drga jego wielkie cielsko, jak oczy zachodzą mu mgłą, jak osuwa się na podłogę... A potem naga Anna rzuciła się w ramiona Jerzego.

— Och, Juruś, Juruś! Jaka ja byłam głupia.

— Nie mów nic — łagodnie pogładził ją po włosach.

— Przysięgam, jeśli mi wybaczysz, nigdy już cię nie opuszczę, Jureczku — wyszeptała.

Obiecanki — cacanki, pomyślał redaktor Złocki, ale skwapliwie wyszedł na spotkanie jej ust.

— Jeśli marzy się wam jakiś szczyt, to, przypominam, czeka was Ararat. Do pokonania ponad cztery tysiące metrów — dość brutalnie przerwał ich karesy Wieczny Tułacz. — Jerzy, bierz plecak ze sprzętem, który kupiłeś w Kijowie, i ruszajcie w drogę.

— Ale ja nie jestem alpinistą — wykrztusił Juruś.

— Zdobywca Mount Everestu, Hillary, też urodził się na nizinie i to w Nowej Zelandii. Człowiek nigdy nie wie, kiedy odkryje swoje właściwe powołanie.

Iwanow wyszedł z magazynu i zapalił papierosa. Czuł się zmęczony. Zarazem jednak rozpałał go płomień wewnętrznego podniecenia. Minęła północ i rozpoczął się siedemnasty marca 1996 roku.

Pierwszy dzień Nowej Ery, pomyślał.

W zasadzie wszystko było przygotowane. Müller z Johanssenem sprawdzili zasilanie, paliwo znalazło się już w zbiorniku, głowica została uzbrojona i wycelowana. Naoliwiono kołowroty, które w odpowiednim momencie uchylą klapę w dachu, otwierając śmiertelnościemu cygaru drogę. Czy ktoś im mógł jeszcze przeszkodzić? Przez chwilę pomyślał o wścibskim policjancie, może niepotrzebnie pozwolił mu odejść? Na jego wspomnienie przymrużył oczy, w ten sam sposób mrużył oczy jego praprzodek, wzbudzając trwogę jako dowódca opryczników. Inna sprawa, że informator z Erewania, który miał ich zaalarmować w przypadku jakichkolwiek posunięć władz, szczęśliwie milczał. A więc nie było powodów do niepokoju.

Mimo że świecił jedynie bardzo wąski sierp księżyca (za trzy dni nów), na tle rozgwieźdzonego nieba widać było białą czapę Araratu. Zachrząściły buty na żwirze. Z budynku wyszli pozostali spiskowcy.

— Właściwie moglibyśmy odpalić nawet teraz — rzekł Pawłowski zacierając ręce i zbliżył się do generała. Ten tylko skrzywił się i spojrzał na Marcusa Boilliera, który przysiadł na okruchu skalnym.

— Czekaliśmy sześć tysięcy lat, poczekamy jeszcze te sześć godzin — powiedział Szwajcar. — Musimy zsynchronizować nasze działanie z akcją Lee Mingha.

— A czy ktoś wie, co on szykuje?

— Nie powiedział, ale zapewnił, że bierze na siebie najtrudniejszą część planu.

— Zastanawiam się nad jednym — Johanssen drapał się po ryżej czuprynie. — Co będzie, jeśli On to jakimś cudem przeżyje?

— Uderzenie atomówki? — prychnął Boillier. — Gdyby miał nawet hermetycznie zbrojony bunkier, to takie uderzenie obudzi wulkan. W garnku pod Araratem cały czas się gotuje. Czego nie załatwi reakcja nuklearna, dokończą potoki lawy. Niebo zamieni się w piekło. Naprawdę nie widzę szansy, żeby ktokolwiek mógł się z tego wykaraskać.

— A poza tym — Iwanow odrzucił niedopałek — skoro ustaliliśmy, że odpalenie przypadnie na wschód słońca, to zafundujemy Kreatorowi i tutejszym Ormiaszkom taki podwójny wschód.

16. Ararat

Dziewięćdziesięcioletni Aram Naranian z Sikhlaru, wioszczyzny położonej tuż przy granicy z Turcją, zapytany o zawód, mógłby zupełnie śmiało powiedzieć — emerytowany przemytnik. Zaczynał jako mały szkrab, który razem z matką ledwie uszedł Turkom z wielkiej rzezi Ormian w 1915 roku, pozostawiając po drugiej stronie Araksu rodzinne gospodarstwo, groby przodków i nie ostygłe ciała ojca i braci. Mimo tragicznych doświadczeń coś ciągnęło go na drugą stronę rzeki do Araliku, gdzie żyła jego ciotka, żona tureckiego kowala. Toteż już w następnym roku po raz pierwszy przeszedł z towarem na drugą stronę. Plecak był większy od niego. Wrócił z ludźmi. Legenda głosi, że jednym z osobników przeprowadzonych wówczas przez zieloną granicę był słynny bolszewik Karno, jeszcze inni wspominali o Sergo Ordżonikidze, a nawet o samym Stalinie. To ostatnie jest mniej prawdopodobne. Znając osobliwą pamięć Josifa Wissarionowicza do ludzi, którzy wyświadczyli mu jakąkolwiek przysługę, Aram nie miałby prawa żyć tak długo. I stosunkowo tak spokojnie. Bo wprawdzie czasy się zmieniały, ale on jak uprawiał kontrabandę, tak uprawiał.

W roku 1917, gdy powstała niezależna Armenia, przemycał. Nastąpiła władza sowiecka, przemycał dalej. Szczególnie dobrze szło mu w okresie NEP-u. Za zyski z kontrabandy kupił sobie dom w Erewaniu, córkę wydał za sekretarza rajkomu. Niestety, za Stalina koniunktura się pogorszyła — donos, więzienie, kara śmierci, łapówka, łagier, łapówka, wojna... Po wojnie wrócił do przemytu. Szło jednak ciężiej. Trzeba było dzielić się z pogranicznikami. Bywały czasy, że przez uszczelnioną granicę i mysz nie mogła się prześlizgnąć. Po raz pierwszy poważnie zaczął myśleć o zwinięciu interesu.

Szczęściem za Breżniewa nadeszły wreszcie lepsze czasy, a za pieriestrojki — prawdziwe Eldorado. Wszędzie pękały okowy, bariery i hamulce. Jednak Aram uznał, że jest już za stary na kontynuowanie prywatnego handlu zagranicznego. Ustąpił pola młodszemu, sam przesiadywał głównie na przyzbie swojej chałupki, paląc fajeczkę i snując opowieści śmieszne i straszne zarazem.

Nie stracił jednak dawnej bystrości i od razu zwrócił uwagę na dwójkę Europejczyków, którzy tego popołudnia zjechali do Sikhlaru.

— Pan Naranian? — zapytała wysoka, zgrabna dziewczyna w dzinsach. Skinął głową. W chytrenkich oczkach pojawiła się czujność. I wahanie: nawiązać dialog czy udawać zniedołęźniałego starca?

— Chcielibyśmy porozmawiać... — kontynuowała.

— Pewnie o naszych legendach i podaniach ludowych — zachrypiał przemytnik.

— Nie, o drugim brzegu — wypalił łysiejący blondyn towarzyszący dziewczynie. — Musimy się tam dostać!

Starzec tylko pokręcił głową.

— Nie ponimaju — wybełkotał bezzębnyimi wargami.

— Dobrze zapłacimy — brnął dalej Złocki.

— Nie ponimaju... Ja starik, u mienia umnaja bolieżń — Naranian kuszykając cofał się w głąb domu.

— A mienia ponimajesz? — gdzieś w głębi czaszki przemytnika zabrzmiał po ormiańsku głos, jakby z dna studni się dobywający.

Nogi ugięły się pod Aramem.

To już śmierć!, pomyślał. Kostucha przyszła bez ostrzeżenia.

— Powtarzam, pamiętasz mnie, Aramie?

Jakże mógł nie pamiętać? Rok 1922, lato, przeprowadzał grupę Białych uciekających przed czerwoną dżumą. Piękna wdowa po generale, bezręki oficer, dziewczynka o rysach zdumiewająco przypominających zamordowaną w Jekatierynburgu carewnę... I ten stary Żyd, mruk z tobołkiem, trzymający się na uboczu. Że też wtedy nie zginęli? Przecież nad Araksem czatowali na nich czekałsi.

Doskonała zasadzka. Iluż ich było? Pluton? Mieli nawet karabin maszynowy.

— Zatrzymać się, jesteście otoczeni — zabrzmiało wraz z ostrzegawczą serią z maxima.

Żadnych szans, pomyślał Aram i zaczął się modlić. A wtedy Żyd ów, jak jego praojciec Mojżesz, odwrócił się i uniósł ręce w górę.

Okrzyki: „Ruki w wierch” zamilkły. Zerkając nieśmiało do tyłu, Naranian zobaczył, że czekałsi zamarli. Ich dowódca zastygł z nogą uniesioną do góry wbrew zasadom dynamiki. Nieruchomi jak posągi nie reagowali, nawet wówczas gdy uciekinierzy dopadli łodzi i przeprawiali się na drugą stronę spienionej rzeki. Kiedy wreszcie otrzeźwieli, a dowódca, podcięty przywróconą z nagłą siłą ciężenia, runął pyskiem w wodę, zachowywali się, jakby zupełnie nie pamiętali, co się wydarzyło nad rzeką. Odeszli. Obyło się bez najmniejszych nawet konsekwencji. Przez parę tygodni żaden patrol nie zapukał do domu Naraniana, nie rozstrzelano go wraz z całą rodziną, ba, nie wzięto nawet haraczu... Po prostu cud!

— A więc pamiętasz? — zadźwięczało pod czaszką.

— Jestem twym sługą, panie — powiedział Aram, zastanawiając się, w którą stronę ma przyklęknąć.

— Ci ludzie muszą się przeprawić jeszcze dzisiaj wieczora i potrzebują przewodnika, który doprowadzi ich do Korankalesi.

— Ale o tej porze roku nie zwiedza się tych ruin. Trudno byłoby nawet do nich dotrzeć.

— Pomóż im, proszę, a będzie to dobry uczynek. Jak na dobrego człowieka przystało.

— Mogę spróbować. Ale powiedz, czy przysyła cię On, czy...

— Pokój z tobą, Aramie.

Łza zakręciła się w oku starca. Szybko otarł ją rękawem i obrócił się do czekających.

— Mówiliście coś o drugim brzegu, akurat mój prawnuczek Konstantin wpadł do domu na przepustkę, to wam pomoże.

Konstantin Naranian mimo młodego wieku znakomicie znał się na rodzinnym interesie. Tyle że przemytniczą tratwę zastąpił nowoczesnym wojskowym pontonem, wyposażonym w potężny silnik, radiostację i noktowizyjną lornetę. Znając doskonale godziny i trasy patroli, wykorzystał kwadrans, kiedy sierp księżyca przysłoniła chmurka. Już o dziewiątej wieczór wraz ze swymi podopiecznymi znalazł się po tureckiej stronie. Konną furką, która podstawiona usłużną, acz niewidzialną ręką czekała w zaroślach, dotarli w godzinę do Araliku. Tam grzał już silnik odrapany mikrobus należący do kuzyna Konstantina, Turguta, który przez Yukarii zawiózł ich do wioski Tarlabasi. Ściana Araratu z każdym kilometrem stawała się wyraźniejsza, a zarazem jeszcze bardziej wysoka.

Złocki, który nigdy nie zwiedzał gór nocą, był zdumiony ich ogromem. Ale nie bał się. Ufał, że Wieczny Tułacz jest przygotowany na każdą niespodziankę. Mimo futer, w które ich zaopatrzyli kolejni przewodnicy, czuł ciepło ciała Anny, która przytulała się do niego. Tak jak w warszawskim mieszkanku parę dni i epok temu.

W miarę posuwania się w górę, wokoło pojawiało się coraz więcej śniegu, wreszcie za Tarlabasi szlak stał się w ogóle nieprzejezdny. Nie można było znaleźć nawet śladu ścieżki.

— Przedwczoraj przeszła tu śnieżycą, a od północnej strony śnieg słabo topnieje. Musicie poczekać na dzień — tłumaczył koślawą ruszczyzną Turgut. — Dalsza droga jest bardzo niebezpieczna.

— Nie boimy się niebezpieczeństw — odparł Jerzy.

— Ale po prostu niczym teraz nie przejedziemy.

— W takim razie załatwcie nam narty — podjęła desperacką decyzję Leśniewska i sięgnęła do torebki. — Tu są pieniądze. Dolary!

Narty znalazły się bardzo szybko. Juruś, który po raz ostatni miał deski na nogach przed dziesięcioma laty, obawiał się, że nie da rady. Na szczęście ruiny bizantyjskiego monasteru wznosiły się zaledwie o dwa kilometry od wioski. O pierwszej w nocy dostrzegli je. Czerniały jak zęby zdechłego smoka wyłaniające się z niepokalanej bieli. Za klasztorem stosunkowo łagodny stok Araratu raptownie przemieniał się w porażającą stromiznę.

— I co teraz, mamy w środku nocy rozpoczynać wspinaczkę? — zawahał się Złocki.

— Podejdźcie do tamtej ruiny. Odgrzebcie śnieg — komenderował Kryszałowy. — Tylko szybko... Bardziej w lewo. Właśnie!

— Jak mamy kopać, rękami? — irytował się redaktor.

— Możecie użyć nart jako szpadli.

— Tu są rzeczywiście jakieś spróchniałe deski — powiedziała po kilkunastu minutach Anna. — Chyba jakieś okienko zabite na głucho.

— Podważcie je nożem.

— Ale po co to wszystko?

— Mówię wam, podważcie. Nie mogę bawić się w za długie eksplikacje, słabnę!

Wykonali polecenie. Deski odpadły z trzaskiem. Anna zaświeciła latarką. Oczom ich ukazała się niewielka kamienna komórka, a wewnątrz niej wspaniałe skuter śnieżny. Obok stała baryłka z paliwem.

— Skąd się to tutaj wzięło? — wykrzyknął Jerzy.

— Przezorny zawsze ubezpieczony — pochwalił się Tułacz. — Będąc tu przed paroma laty przygotowałem się na sytuację taką jak dzisiaj. Choć myślałem, że sam będę prowadził maszynę.

W środku nocy sierżanta Karajana obudził telefon. Walcząc z chęcią przewrócenia się na drugi bok, niechętnie podniósł słuchawkę. Dzwonił jego przyjaciel, leśniczy.

— Co się stało?

— Powinieneś wpaść do starego kamieniołomu, Wardan! Zdarzył się okropny wypadek.

— Jaki znowu wypadek, kumie?

— Jaki dokładnie nie wiem, ale na pewno spłonęły dwa wojskowe ziły. Spalili się ich kierowcy. I kilkunastu pasażerów. Straszny smród spalonych zwłok.

— Na pewno jesteś trzeźwy? Kiedy to się mogło stać?

— Nie mam pojęcia. Teraz pogorzelnisko jest zimne, ale sąsiad, od którego telefonuję, mówił, że widział dym jeszcze wczoraj o świcie, tyle że nie miał czasu pójść w tamtym kierunku. Przyjedziecie?

— Postaram się. Ale lepiej zadzwońcie również na komendę do Eczmiadzynu, ja mam jeszcze coś do załatwienia po drodze.

Waradan widział tylko kilka filmów o amerykańskich gliniarzach, ale zawsze pragnął być taki jak oni. Colombo i Kojak na pewno przed powiadomieniem zwierzchników pofatygowaliby się do opuszczonego gospodarstwa na wzgórzu, aby dokonać wizji lokalnej.

Zbliżał się brzask. Iwanow przewracał się na zaimprovizowanej pryczy. Przez całą noc nie zmrużył oka. Po raz pierwszy od paru tygodni odczuwał brzemie wynikające z ogromu odblokowanej pamięci. W ciągu poprzednich dni, w natłoku bieżących zadań i problemów do natychmiastowego rozwiązania nie miał nawet czasu myśleć, pogрузić się w tym mrocznym labiryncie sześciu tysięcy lat czy, jeśli ktoś woli, dwóch milionów dwustu dziewiętnastu tysięcy dni lub ponad pięćdziesięciu dwóch i pół miliona godzin...

Ile jeszcze z tego pozostało do finiszu? Mgnienie ledwo. I naraz poczuł się stary, starością tych wszystkich bezsensownych śmierci, szybkich miłości, życiowych kompromisów, straconych nadziei, cudów narodzenia i ułudy przebudzenia. Znów był małym chłopcem bawiącym się łukiem koło jurty Czyngis–chana i jednym z oprawców ścinającym czaszki ku chwale Kulawego Timura. Przypominał sobie dziki galop scytyjskiego jeźdźca przechodzący w kłus kozaka szarżującego na tłum w petersburską Krwawą Niedzielę... A przez wszystkie te obrazy powracał cień postaci Kreatora.

Postaci? Tak naprawdę nigdy go nie widział. W Cieplarni jedynie czuł jego obecność, jego zapach, czasem jego dotyk... Kim naprawdę był, dlaczego ich stworzył? Czy rzeczywiście jest Wszechmocny? A może ich walka nie ma sensu? Jest jedynie śmiesznym zamachem świętokradcy, niezdolnego zaszkodzić Odwiecznemu?

— Dosyć! Przekonamy się już wkrótce! Poderwał się na nogi przerażony możliwością własnego zwątpienia. Popatrzył na śpiących współników, przez chwilę zastanawiał się, jakie oni mogą mieć sny i jak dają sobie z nimi radę, po czym poszedł obejść posterunki wystawione przez najemników z Górnego Karabachu.

Niebo od wschodu przybierało odcień szarości. Ale jeszcze nie zapaliły się czerwone zorze świtu. Popatrzył na zegarek. Jeszcze dwie godziny. Trwała głęboka cisza. Tylko wiatr poruszał gałęziami i monotonnie szemrał strumyk. Nagle uszy Iwanowa złowiły dźwięk męcący tę harmonię półciszy. Motor!

Natychmiast przypomniał sobie o ciekawskim policjancie z sąsiedztwa. Nasłuchiwał, czy za motorem nie odezwie się ciężarówka, ale nie... Na wszelki wypadek pociągnął nosem. Wiatr przynosił oprócz zapachu pojedynczego spoconego człowieka w obłoku spalin, jedynie woń traw i cyprysów, jakiejś leśnej zgnilizny oraz chemikaliów z pobliskiej fabryki. Swym wyczulonym powonieniem Iwanow wychwycił nawet odległy zapach spalenizny, mimo że kamieniołom oddalony był od nich o ponad trzy kilometry.

Wardan zostawił motor sto metrów przed zabudowaniami i dalej ruszył pieszo. Zdjął nawet buty, żeby nie wywoływać hałasu. Postanowił, jak wytrawny tropiciel śladów okrążyć gospodarstwo i znaleźć się w miejscu, w którym widział ostatnio sfatygowany gazik. Wóz stał jak poprzednio. A zatem Rosjanin nigdzie nie odjechał... Z wnętrza baraku dobiegło chrapnięcie. Karajan zrobił krok do przodu i w tym momencie otrzymał cios w tył głowy. Osunął się z jękiem.

Zadowolony z siebie Iwanow sięgnął po sztylet, aby zakończyć sprawę. Ale w tym momencie coś świsnęło w powietrzu. Nóż?

Zdołał jeszcze zrozumieć, że klinga wbiła mu się w gardło aż po nasadę, przecinając krtań, przełyk i tętnicę główną. Natomiast pytanie, na które nie zdążył znaleźć odpowiedzi brzmiało: Dlaczego zabójca pachnie chemikaliami, a nie potem?

— Kto nożem wojuje, ten od noża ginie — powiedział sentencjonalnie Martigny i była to jedyna modlitwa nad konającym generałem Armii ongiś Czerwonej, jak jego własna krew.

Szaleństwo jazdy we dwójkę skuterem po ośnieżonym stoku tureckiego pięcioletniego można porównać jedynie z wariackimi ewolucjami Jamesa Bonda. Tylko że na ekranie działo się to według scenariusza sensacyjnej komedii, a tu Złocki i jego pasażerka przeżywali gonitwę naprawdę. Inna sprawa, że gonił ich nie jakiś żelaznozęby potwór czy komando terrorystów, a jedynie czas. Mieli ze sobą wspinały radar — Kryształowy prowadził ich z precyzją komputera, ostrzegał przed rozpadlinami, nawisami śnieżnymi, zbyt dużą stromizną, sugerował w odpowiednim momencie skręt, zakos, zmianę kierunku lub zwolnienie tempa.

— Lewa... prawa, ciasniej prawa, ostrożnie pomiędzy skałami, teraz lewo, wyprostuj, gaz, dobrze! — niestety głos Kryształowego pilota brzmiał coraz słabiej.

Czy wystarczy mu sił, aby doprowadzić nas na miejsce, a potem jeszcze podnieść alarm? — zastanawiała się Leśniewska.

— Jeśli tylko dotrzemy do właściwego punktu lodowca, porozumiem się — uspokajał Tułacz, odgadując jej myśli. — Dysponuję jeszcze ostateczną rezerwą.

— Co znaczy ostateczną?

— Po jej wykorzystaniu następuje nieodwołalny zanik funkcji myślowych. Po prostu koniec.

— To straszne!

— Wiem, po co zostałem stworzony. I nie musisz, mówiąc do mnie, przekrzykiwać wiatru. Słyszę wasz najcichszy szept.

Im wyżej się wznosili, tym robiło się jaśniej. Może sprawiał to śnieg. Może sierp księżyca. Może wreszcie brzask, tu w górze nadchodzący dużo wcześniej niż w głębokiej dolinie.

Parowy, zleby, kotły nabierały wielowymiarowych kształtów, a równocześnie wydawały się coraz groźniejsze. Złocki dziękował opatrności, że prowadził ich Wieczny Tułacz, bez tak doskonałego pilota zginęliby od razu.

— Teraz w prawo. Musisz przejść górą, ponad nawisem. Istnieje duże zagrożenie lawinowe... Ale spokojnie! Zaraz znajdziemy się ponad kotłem. Możecie się zatrzymać. Dalej niestety będziecie musieli zejść po ścianie w dół. Ale po to macie liny i haki.

— Nie rozumiem, dlaczego nie poczekamy, aż się zrobi jasno — gderał Juruś, zsiadając ze skutera.

— Bo oni już są gotowi. I jeśli nikt im nie przeszkodzi, uderzą o świcie.

— Skąd wiesz?

— Tak mi wypada z kalkulacji. Poza tym... czuję.

Atak nastąpił błyskawicznie. Wartownik, który słysząc łoskot padającego Iwanowa, odbezpieczył broń, nie mógł zrozumieć, w jaki sposób nagle ze wszystkich stron wyroili się uzbrojeni, sterylnie bezwonni mężczyźni.

Najemnicy zginęli w parędziesiąt sekund po Iwanowie. Nie mieli najmniejszych szans. Zaskoczenie i siła ognia przeciwnika rozstrzygnęły sprawę. Spadkobiercy wewnątrz budynków też spóźnili się z obroną. Z czterech stron granaty wywaliły drzwi i okna i komandosi wtargnęli do wnętrza. Boillier, który obudził się na moment przed atakiem i próbował otworzyć ogień, został pocięty seriami z automatów jak kapusta w szatkownicy. Johanssen turlając się zwinnie po ziemi, zabił wprawdzie kilku napastników i dopadł wyrzutni, ale celny strzał snajpera sprawił, że jego głowa rozprysnęła jak melon trafiony z haubicy. Müllera, który wczołgał się między pakunki, wykurzył stamtąd granat dymny, a potem, kiedy rzucił się z gołymi rękami na kapitana DST, powalił jeden celny strzał w plecy.

Vitry oglądał widowisko osłupiały, jakby naraz otoczył go wielowymiarowy film akcji. Nie miał pojęcia, że Martigny dysponuje tak silnym wsparciem zawodowców. Myślał, że będzie to operacja solowa.

Charles zostawił swój samochód dwa kilometry przed fermą. Spryskał siebie i małego Francuza cuchnącym świństwem, wydał krótkie polecenie przez radiotelefon, a potem pobiegł bezszelestnie w stronę zabudowań. Vitry trzymał się z tyłu, ale doskonale widział śmierć Iwanowa i wszystko, co nastąpiło później.

— Charlie, ty naprawdę jesteś wspaniały — wołał, daremnie próbując dogonić przyjaciela.

Martigny nie słuchał komplementów, miał inny problem: wśród martwych przeciwników nie zauważył Grzegorza Pawłowskiego. Czujnie rozglądał się po całym terenie, szukając zwłok Polaka. Naraz dojrzał go, jak doczołguje się do pozostawionego na uboczu gazika, zapala i rusza z kopyta, taranując dwóch komandosów, zanim ci zdążyli wystrzelić,... Do najbliższego zakrętu, oznaczającego życiową szansę, pozostawało zaledwie kilkadziesiąt metrów. Charles energicznym gestem wskazał snajperowi cel — bak samochodu. Huknął pocisk zapalający i w sekundę zmienił pojazd wraz z kierowcą w ognistą kulę.

— Dobra robota, chłopcy — powiedział Martigny do gromadzących się wokół niego komandosów. Uścisnął dłoń szpakowatego mężczyzny o wyglądzie weterana z Afganistanu. — Tę fazę mamy załatwioną, Sasza.

Z ziemi powoli, jak na wpół rozdeptany chrabaszcz zbierał się sierżant Karajan.

— Co, co to wszystko było? — wybełkotał.

— Sprawnie przeprowadzona akcja, ojczulku — odparł Charles. — Zlikwidowaliśmy bandę

niebezpiecznych terrorystów.

— Ale, kim wy jesteście, duchami gór?

— Bynajmniej, samodzielna jednostka KGB do działań specjalnych, podpułkownik Woronin — przedstawił się szef komandosów.

Na pobojuwisko dobiegł wreszcie na swych krótkich nóżkach Jacques Vitry.

— Ach, Charles, Charles, tak się o ciebie bałem. A jednak wygraliśmy.

— Tak, wygrałem — odparł kapitan i popatrzył ku wschodowi, gdzie niebo przybierało coraz piękniejszą łososiową barwę.

Zejscie skalnym urwiskiem okazało się trudniejsze, niż przypuszczali. Mimo ocieplanych kombinezonów dokuczał im chłód; po wyczerpującym dniu i szalonej gonitwie na skuterze czuli niehumanne zmęczenie, silniejsze chyba niż strach. Sceneria była niesamowita. Ciągłe niewidoczny jezior lodowca znajdował się gdzieś pod nimi w mroku, opodal spiętrzył się gigantyczny nawis śnieżny, a ponad szczytem pojawiła się świetlista aureola.

— Jeszcze najwyżej sto metrów i będziemy w domu — zagrzewał Wieczny Tułacz.

— Jeśli odpalą raketę, cóż to zmieni?

— Zachowajcie ufność.

Nagle zrobiło się jasno, światło dotarło do dna kotła, oświetliło spękany grzbiet lodowca. I wyłowiło czarny krzyż pośrodku zamrażonej przestrzeni.

— Co to jest, helikopter? — Anna zatrzymała się w połowie zejścia na linie. — Jurek, tutaj ktoś jest.

— Buongiorno, signorina — zawołał mężczyzna stojący na skalnej półce zaledwie kilkanaście metrów od nich. — A więc jakimś cudem udało się wam dotrzeć aż tak daleko.

— Pan Spidola — wybełkotała Anna.

— Tak, bambino! Miał rację Iwanow wysyłając mnie tutaj. Malutko, a by się wam udało. Gdzie jest ten cholerny Żyd?

— Kto? — Anna, chociaż targana wiatrem na linie, usiłowała dosięgnąć pistoletu ukrytego w kieszeni kombinezonu.

— Wasz cyborg czy cokolwiek z niego zostało. Jest pewnie w tym chlebachku redaktorka. Oddajcie mi go natychmiast, a przyrzekam, że zabiorę was do helikoptera i odlecimy stąd szybko, zanim nasza rakietka zamieni was w obłoczek pary.

— Wypchaj się! — odkrzyknęła.

— Panie Złocki, pan wygląda w tym stadle na rozsądniejszą połówkę, grzecznie proszę o wydanie Żyda, gdyż inaczej będę musiał przestębnować powabne ciało pańskiej towarzyszk.

— Nie przejmuj się mną i nie oddawaj — krzyknęła Anna. — Cokolwiek byśmy uczynili, i tak nas zabije.

— Kocham cię Anno i muszę...

— Ja też cię kocham, ale nie oddawaj.

Gruchnął strzał i kula Włocha trafiła Leśniewską w nogę. Złocki puścił się liny i pospiesznie zaczął ściągać chlebak z ramienia.

— Grzeczny chłopak! — pochwalił Włoch. Przedwcześnie. Walcząc z paskiem chlebaka, Juruś zachwiał się. Nogi mimo raków na butach straciły przyczepność. Krawędź skały była tuż-tuż, a pod nogami rozwierała się przepaść. Obok wisiała wprawdzie lina, ale żeby ją chwycić, musiałby puścić chlebak.

— Lina! — krzyknęła Leśniewską.

— Łap — zabrzączał cichutko Kryszałowy.

Usiłował pogodzić obie rzeczy, złapać linę, nie puszczając chlebaka. Tylko na moment rozluźnił chwyt. Niestety, zahaczywszy się o nierówność, wypuścił z rąk bezcenny pakunek.

— Boże, zatrzymaj się, Kryszałowy, zrób coś! — krzyknęła Anna. Niestety chlebaczek dotarł ślizgiem do krawędzi. Przeleciał nad nią, a potem długo, bardzo długo szybował w powietrzu... Wreszcie grzmotnął o lód i znikł w śniegu. Obojgu wydało się, że słyszą wewnątrz mózgu brzęk rozsypujących się kryształków.

— Na jedno wyszło! Zatem adio, przyjaciele — zaśmiał się Spidola i puścił serię w stronę Złockiego. Kule zaświstały redaktorowi koło uszu. Nie miał gdzie się schronić, mógł najwyżej spaść — przyłgnał do skał Araratu jak do ciała matki i czekał. Strzały jednak ucichły.

— Porca Madonna — zaklął Spidola. — Ten automat nie miał prawa się zaciąć.

W tym momencie zabrzmiał pojedynczy strzał. Spidola skurczył się, zwinął jak pędrak, po czym runął twarzą w dół.

— Trafiłam go, kochanie — zawołała Anna.

Ale właśnie w tym momencie, echo poprzednich wystrzałów poczęło wracać do nich, odbijać się tysięcznym pogłosem od skał piargów i turni... A potem oboje usłyszeli ni to szmer, ni głucho stęknięcie. Hałas był zrazu odległy, słaby, potem z każdą sekundą narastający, zwielokrotniany, potężniejszy jak morskie bałwany spiętrzające się na płyciźnie.

— Do skały twarzą, do skały, Aniu — ryknął Jerzy wtulając się w wąską szczelinę.

Kątem oka widział nadciągającą żlebem śmierć. Patrzył, jak lawina początkowo sunąca płasko, niczym ściągane nogą prześcieradło, rośnie na kształt białego potwora, jak powstaje, jak nachyla się nad nimi, jak zdmuchuje Annę z liny, jak spada na niego zimną kipiela, która ryczy, szarpie, kotłuje się, pogrąża... Stracił przytomność.

Musimy szybko zawiadomić Annette i Żorża! — entuzjazmuje się Vitry. — Będą niesamowicie szczęśliwi, że wszystko skończone.

— Jeszcze nie wszystko jest skończone — odpowiada Martigny i mówi to takim tonem, że śmiertelny chłód przewierca serce Jacquesa. — Pułkowniku, przygotujcie raketę do odpalenia.

— Tak jest — odpowiada Woronin. Przy wyrzutni robi się ruch.

— Wy zamierzacie to wystrzelić? Dokąd? — bąka Vitry.

— Cel został wyznaczony precyzyjnie — Francuz wskazuje ręką na południe.

— Ararat? — pyta ze ściśniętym gardłem Jacques.

— Ararat!

— Boże, to kim ty właściwie jesteś, Charles? Jeszcze jednym Spadkobiercą... Jeśli tak, to dlaczego zabijałeś swych braci?

— Nie jestem żadnym Spadkobiercą ani nawet Obudzonym! To długa historia, Jacques. Ale mogę ci opowiedzieć, bo mamy chwilę czasu do wschodu słońca. Dwadzieścia parę lat temu był sobie radziecki chłopiec. Sierota. Wychowanek Domu dla Wybitnie Uzdolnionych. O szczególnych talentach językowych i jeszcze większej smykałce do zabijania. Dostał więc szansę od kierownictwa KGB. W wieku osiemnastu lat zamieniono go z innym chłopcem bardzo doń podobnym i jak on sierotą, tyle że z Marsylii. W swojej nowej skórce służył we francuskim wojsku, wybił się tam, przeszedł do Police Mobile. Tam jeszcze lepiej poznano się na jego predyspozycjach. Doceniono specyficzne zainteresowania. Chłopiec skończył studia, stał się mężczyzną. Służył Francji. I zabijał. Służył NATO... i zabijał. Ale nigdy nie zapomniał o swojej prawdziwej ojczyźnie. A propos, mon cher. Zauważyłeś, że KGB nie miało nigdy żadnej poważniejszej wpadki we Francji?

— O, merde!

— Gdybym był Francuzem, pewnie bym nie tylko kłął, pewnie próbowałbym zabić wrogiego agenta. Ale, widzisz, ja jestem Rosjaninem. Rosjaninem, Vitry. Przedstawicielem naszego wielkiego, niedocenianego narodu, uważanego przez najbliższych sąsiadów za prymitywną społeczność ograniczonych muzyków, a przez Zachód za szlachetnych, lecz tępych olbrzymów. Narodu, który ze swym potencjałem demograficznym i terytorialnym stanowi ostatnią zaporę białej rasy przed wojowniczym islamem czy żółtym smokiem, który, jak sam wiesz, coraz mocniej staje na tylnych łapach.

— Było wiele narodów wybranych i jak skończyły, Charles?

— Ma foi czy, jak wolisz, job twoju mat'! Narody te przegrały, bo nie rozeznały właściwie sił i środków. Żydzi byli za mało liczni. Niemcy za późno się zjednoczyły, więc rozpoczęły walkę o Lebensraum, kiedy świat był już podzielony. A Amerykanie? Tym zawsze brakowało cynizmu. Uwierzyli bezmyślnie w fetysz demokracji, która prędzej czy później ich zniszczy. O Francuzach nie ma co mówić, u szczytu swej potęgi zafundowali sobie najgłupszą z rewolucji i wykrwawili się idąc za Napoleonem. Natomiast Słowianie... To szczep młody. Przyszłościowy.

— Czyżbyś miał na myśli nie tylko Rosjan?

— Wielka Rosja to jedynie jądro, to Ruś jednoczycielka podobnie jak za Aleksandra Newskiego czy Iwana Kality.

— I Iwana Groźnego?

— I Piotra I. To matuszka Rusi Białej i Ukrainy, Serbów i Bułgarów...

— A co z Polakami, Czechami, Słowakami? Sądzisz, że dadzą się złapać na twój panslawizm?

— Oczywiście. Nie mają wyjścia. Przepaść między braćmi Słowianami wykopał Rzym. Zaczadził część z nich zachodnią wiarą, wolnością, zgubnym indywidualizmem. Szczególnie tych Poliaczków! — tu krew napłynęła Charlesowi do twarzy. — Sobacze syny! Od wieków psuli wszystkie nasze zamierzenia. Trzymali poza Europą jak niedźwiedzia w klatce. Swołocz! Oni jedyni kazali bić naszym carom czołem przed swoimi królikami, podnosili rękę na Kreml i Armię Czerwoną.

— Czemu więc kierujesz swą raketę na Ararat, a nie na Warszawę?

— Bo tam jest serce Polaków, Arabów czy innych Czeczenów. Tam kryje się On, niezależnie jak go nazwiesz: El, Allah czy Jahwe. Superkosmita czy Kreator. Jedyne prawdziwe przeciwnik. Niestety Bat'ka Andropow okazał się durniem. Chciał zabić Papieża, a trzeba było zniszczyć Tego, który bliżej.

— A wasza cerkiew?

— Zawiesi obok carskich wrót nowe ikony. Moje!

— Wszystko gotowe, Olegu Zachariewiczu — melduje pułkownik Woronin. — Diesiąt' minut do wostoka słońca.

— Powiedz jeszcze — pyta Jacques — kto to wszystko wymyślił. Kreml?

— Jaki Kreml, dwór tego ochlapusa? Skorumpowana generalicja? Nie, mówiąc prawdę, ty to wymyśliłeś, mój mały przyjacielu. Ty zaprosiłeś mnie do tej gry, nie znając stawki. Ale dlatego pozwolę ci żyć, abyś zobaczył swoje dzieło do końca.

— A Moskwa? Jaka jest jej rola?

— Moskwa otrzyma ode mnie królewski prezent. Niedługo wybory. Wiesz, kto wygra? Moje idee.

I nie przeszkodzi temu nikt. Żaden nieoczekiwany koniec świata, żadni Spadkobiercy, żadni Polacy...
Zaczynamy odliczanie.

Najpierw poraziła go dzwoniąca cisza, potem chłód. Ból. Czuł się tak, jakby stratował go tabun pędzących bizonów. Ostrożnie podniósł głowę, poruszył nogami. Był cały. Lawina zerwała plecak, pozbawiła go butów i całego sprzętu. Żył jednak. Śniegowy walec przetoczył się gdzieś ku dolinie. Grzbiet lodowca ponownie lśnił w słońcu. Tylko śmigłowiec zniknął zabrany przez żywioł.

— Anno, Anno! — zawołał bez większych nadziei. Odpowiadało mu echo. Ukochana dziewczyna znajdowała się w dole pod tysiącami metrów sześciennych śniegu, lodu i kamieni. Na skale zachowało się, o dziwo, parę kropli krwi z jej przestrzelonej nogi. Przypadł do tych czerwonych plamek i całował je, płacząc.

Tymczasem słońce powoli wschodziło coraz wyżej. Krawędź cienia uciekała na zachód, kolejno odsłaniając wsie, lasy, winnice, przedmieścia Erewania, wreszcie całe to piękne i dumne miasto. I był to widok, za który można oddać życie. Jeśli się jeszcze mogło nim dysponować.

— Nie rób tego, błagam! — krzyczał Vitry. — To szaleństwo! — Usiłował całować kapitana po rękach, przypadł mu do nóg.

— Zadzierasz z Bogiem — świadek ich rozmowy, czy raczej gestykulacji, sierżant Karajan, popatrzył Charlesowi prosto w oczy. — Popełniasz wielki błąd.

— A wiesz, że postanowiłem również ciebie oszczędzić, sierżancie — powiedział z uśmiechem Martigny. — Za kwadrans będziesz mógł odszczekać swoje klerykalne głupoty. — Zaczynaj odliczanie, Sasza.

Zawarczały kołowroty unoszące klapę w dachu.

— Dziesięć.

— Dziewięć.

— Osiem.

— Siedem.

— Sześć.

— Pięć.

— Cztery.

— Trzy.

— Dwa.

— Jeden.

— Zero... Już.

Vitry, stary ateista, modlił się żarliwie. Żebrał cudu. Cud się jednak nie zdarzył. Nie eksplodowała zmontowana pospiesznie wyrzutnia. Nie rozerwały się zbiorniki z paliwem. Z grzmotem i ognistym ogonem srebrzysty pocisk wystrzelił ponad doliną i pomknął w stronę Araratu.

— Transportery już podjechały, są gotowe do odjazdu — zameldował Woronin, rozdając wszystkim ciemne okulary.

Vitry śledził smugę zjonizowanego powietrza, aż punkcik pocisku stał się kompletnie niewidoczny. Martigny spoglądał na zegarek. Czekał.

Front słońca minął Erewan, dotarł w rejon Eczmiadzynia. Złocki nie mógł, rzecz jasna, widzieć startu rakiety. A jednak w końcu zobaczył ją. Jak drapieżny rekin sunęła ponad śnieżnym płatem ku sercu lodowca.

Ciekawe, czy zostanie mój cień na tej ścianie?, pomyślał, patrząc jak urzeczony.

Ponad lodowcem rakieta zwolniła. Wyglądało, jakby stanęła w miejscu. Jakby jej komputerowy umysł przeżywał nie znane dotąd obwodom scalonym rozterki moralne.

— Śnię po prostu, śnię — wyszeptał Jerzy. — To złudzenie optyczne.

Nie był to jednak koniec zaskoczeń. Rakieta nagle zatoczyła szeroki łuk, minęła o kilkanaście metrów skalną półkę Jurusia, tak że mógł dojrzeć czerwoną gwiazdę na jej cielsku. A potem oddaliła się ku dolinie nabierając impetu. Posuwała się coraz szybciej.

*

Czas minął. Eksplozja nie następowała. Vitry zobaczył, jak jego przyjaciel po raz pierwszy ociera pot z czoła.

— To nie mógł być niewypał, wszystko sprawdziliśmy — zawołał Woronin, widząc zdenerwowanie współnika.

— Więc co to znaczy!?

Nagle rozległ się krzyk kilku żołnierzy równocześnie.

— Na miłyj Boh! Ona wraca! Wraca!

— Kto wraca? — Vitry zobaczył na nieustraszonej twarzy kapitana Martigny'ego lęk, przerażający, zwierzęcy strach szatana złapanego za ogon i skazanego na wieczyste potępienie. Pocisk nadlatywał. Charles padł na ziemię, zakrył głowę rękami i zamarł w geście embrionalnym. Jacques był zbyt zdumiony, aby odczuć trwogę.

A starszy sierżant Wardan Karajan tylko się uśmiechał szyderczo.

Złocki też czekał na eksplozję. Był otepiały. Nic nie rozumiał. Tak, chwilowo zachował życie. Ale co z paroma milionami mieszkańców Armenii, tego sympatycznego, małego kraju, jak chyba żaden inny nękanego trzęsieniami ziemi, grabieżami, rzeziami.

— Jak możesz im to zrobić, Kreatorze, nawet w samoobronie? Jak możesz? — szeptał.

Wypatrywał błysku. Do eksplozji jednak nie dochodziło. A może rakieta przyjęła kurs na cel położony poza republiką i poleciała ku morzu lub na północ w stronę Centrali dawnego Imperium Zła?

Nagle daleko w dole, w szczelinie lodowca połyskującego w słońcu całą gamą delikatnych barw, zobaczył rękę. Rękę i mankiet kolorowego kombinezonu, który parę dni temu zakupił na Besarabce.

— Ania! — nie przejmował się przepaściami. Po lawinie zostało mnóstwo śniegu, toteż mógł zjeżdżać zlebem na pupie, jak dziecko.

— Anno, żyjesz? Naprawdę żyjesz! — Nic się nie liczyło, zdarzenia przeszłości, niedawna zdrada...

Dziewczyna wypełzła na lód, zrobiła kilka z każdą chwilą pewniejszych kroków. Nie miała czapki, a włosy tworzyły wokół jej twarzy uroczą aureolę.

— Żyję, mój ukochany — odpowiedziała i padła mu w ramiona.

— Jak to możliwe, że udało ci się przeżyć... Co się z tobą działo?

— Nic nie pamiętam. Patrz tam!

To było jeszcze bardziej zdumiewające. Za skalnym nawisem, częściowo tylko przysypany śniegiem stał helikopter Spidoli. Wydawał się zupełnie nietknięty. I rzeczywiście. W kabinie znaleźli nawet termos z gorącą kawą.

Urywanymi zdaniem opowiedział jej o rakiecie, która zakręciła i prawdopodobnie nie wybuchła.

— Chyba uda nam się wezwać pomoc przez radio.

— Pomoc nie jest potrzebna. Potrafię pilotować śmigłowiec — odparła.

Opadła mu szczeka.

— Jak to, potrafisz?

— Zanim opuściłam moje miasteczko, trenowałam w pobliskim aeroklubie, mój ojciec był

pilotem.

— To wszystko mi zakrawa na jeden wielki cud, powiedz, kochana, czy to był cud?

— Może po prostu zbieg okoliczności.

Bez przeszkód wrócili do Armenii. Oczywiście odszukali opuszczoną fermę koło Eczmiadzynia. Zastali tam policję, gapiów i dziennikarzy. Wszyscy mówili o terrorystach. O porachunkach gangsterskich, o zbuntowanej jednostce specjalnej. Niezbyt liczni przedstawiciele sił porządkowych najwyraźniej nie panowali nad sytuacją. Na lądujący śmigłowiec nikt nie zwrócił uwagi. Jerzy i Anna ruszyli w stronę miejsca, gdzie opodal pozbawionego dachu budynku tłum wydawał się najgęstszy.

— Zabiło ich wszystkich, zabiło wszystkich z wyjątkiem nas dwóch. — Do Złockiego doleciał naraz znajomy, pełen ekscytacji głos. Jacques?

Rozgarnął cizbę dziennikarzy. W środku falującego kręgu zobaczył malutkiego Francuza i starszego wiekiem, sumiastowatego Ormianina w wypłowiałym policyjnym mundurze.

Vitry dostrzegł ich natychmiast i puścił oko do Anny.

— Czy można powiedzieć, że tylko niebywałe szczęście uchroniło nas wszystkich przed katastrofą nuklearną? — zapytała dziewczyna z miejscowego radia.

— Pocisk nie wybuchł — tłumaczył Wardan Karajan — bo widocznie miał defekt fabryczny; złe, amatorskie zaprogramowanie, które wywołało efekt bumerangu.

— Jak jednak wytłumaczyć to, że na skutek upadku na miejscowe zabudowania zginęli wszyscy terroryści, a pan i ten francuski turysta ocaleli? — zapytał ktoś inny.

— Proszę wybaczyć, sam nie potrafię tego zrozumieć. Sądzę jednak, że wszystko z pewnością wyjaśni powołana w tym celu komisja. Ja osobiście zaświecę świeczkę w kościele. Teraz wolno to już robić nawet funkcjonariuszom państwowym.

— Nie ustalono jeszcze, kim dokładnie byli terroryści — mówi prowadzący na żywo transmisję reporter z ormiańskiej telewizji. — Wiele wskazuje, że jest to działający na własną rękę zbuntowany oddział dawnej KGB. Zidentyfikowany przez sierżanta Karajana podpułkownik Woronin już trzy lata temu został przeniesiony do rezerwy. Czy jednak może pan domniemywać, sierżancie, co było przypuszczalnym celem rakiety? Świadkowie twierdzą, że wystrzelono ją w kierunku terytorium tureckiego, czy mogło chodzić o sprowokowanie konfliktu międzynarodowego?

— Bóg raczy wiedzieć — odpowiada Karajan.

— I pewnie wie — szepce redaktor Złocki, przyciskając mocniej wiotką kibić panny Leśniewskiej.

Epilog I

Ryza papieru i pracowitość Kraszewskiego nie wystarczyłyby, aby spisać wszystkie perturbacje związane ze śledztwem w Armenii i powrotem do Polski. Cała trójka konsekwentnie udawała idiotów, odmawiając wyjaśnień. Złocki drżał, że dojdzie do pytań na temat losu załogi rosyjskiego mikroMIGa, na szczęście to Ormian nie interesowało. Wreszcie, po interwencji ambasad Francji i Polski, cała trójka wylądowała w Warszawie. Ważne, że Wielkanoc obchodzili razem. Juruś, Anna i Jacques.

Vitry często przebąkiwał o możliwości przeniesienia się do Polski. We Francji musiałby odpowiedzieć na wiele pytań swoim kolegom psychotronikom. Bał się rozmów ze zwierzchnikami kapitana Martigny'ego i Baronem Księżycem. W Warszawie natomiast całkowicie przypadkowo zetknął się z uroczą karliczką szukającą pracy po upadłości jednego z wielkich cyrków. Uczucie przyszło tak nagle i poraziło go tak mocno, że on, od wielu lat „kochający inaczej”, postanowił przed ołtarzem związać się heteroseksualnym węzłem małżeńskim. Nie wiadomo, czy na zmianę orientacji Vitry'ego wpłynęły dramatyczne wydarzenia w cieniu Araratu, czy może długie nocne rozmowy z Anną. Przy okazji postanowił zerwać z badaniami nad parapsychologią i poświęcić się studiom seksuologicznym. Pobrali się też Złocki z Leśniewską. Ślub odbył się w kościele św. Krzysztofa w Podkowie Leśnej, mimo że było to w życiu Złockiego trzecie małżeństwo. Poprzednie cywilne i bezdzietne, udzielane wyłącznie przez urzędników stanu cywilnego nie miały wiążącej mocy. Jednocześnie na wizytówkach Jurusia tytuł „red.” ustąpił bardziej wiarygodnemu „mgr”. Zaraz po powrocie Złocki zrezygnował bowiem z pracy w „Najświeższym Wydaniu”.

Nic nie sprawiło mu większej przyjemności niż rzucenie na odchodnym w oczy Pierwszemu Sekretarzowi, że on i jego pismo przedstawiają niezwykle zaiste jedność formy i treści. Krótko mówiąc: jedno i drugie — szmata.

Po tym stwierdzeniu opuścił redakcję raz na zawsze, ścigany wściekłym piskiem eks-cenzora:

— Ty... ty, antysemito!

Na czyn taki Złocki mógł sobie oczywiście pozwolić. Okazało się, że tragicznie zmarły Krystyniak pozostawił testament, w którym Juruś należał do czołowych beneficjentów. Mieszkanie Docenta wynajął Vitry, płacąc od razu za pięć lat z góry. Tak więc Juruś bez przeszkód mógł zająć się wreszcie tym, o czym marzył od dziecka, to znaczy pisaniem książek. Póki co na bieżące wydatki zarabiała Anna, która wróciła do dekorowania. Oczywiście oboje są przekonani, że jest to sytuacja przejściowa. Jedno jest znamienne, dekorując rozmaite witryny, pani Złocka zdecydowanie unika ulicy Marszałkowskiej.

Do tematu zakaukaskiej wyprawy wracają niechętnie. Nie udzielają na ten temat wywiadów. A manuskrypt z notatkami Złockiego powędrował do notarialnego sejfu z adnotacją: „Ujawnić po roku 2001”.

Czy Juruś się zmienił? Bezsprzecznie jest mniej nerwowy i zabiegany niż dawniej, a regularne współżycie z Annette dało mu niespotykaną dotąd pewność siebie. Znajomi oceniają, że stał się lepszy dla innych. W okresie rekonwalescencji majora Huby parokrotnie odwiedził go w szpitalu. Nic jednak nie zapowiada renesansu dawnej przyjaźni.

Jest jeden szczegół, który nie daje spokoju Jacquesowi Vitry'emu. Nie zauważa go jakoś Złocki. I może na własne szczęście. Na pozorny drobiazg Francuz zwrócił uwagę, kiedy po raz pierwszy wysłuchiwał relacji o dramatycznych wypadkach na zboczu Araratu.

Tuż przed upadkiem lawiny Spidola postrzelił Leśniewską w nogę. Jerzy opowiadał, jak całował ślady jej krwi. Ale później, kiedy wyłoniła się ze szczeliny w lodowcu, nie widział już jakiegokolwiek rany.

Męczyło to karzełka bardzo, zwłaszcza od chwili, gdy właścicielka solarium, do którego uczęszcza Anna, za sowitą opłatą dokonała oględzin i stwierdziła brak na ciele pani Złockiej najmniejszej blizny. Wreszcie pewnego dnia, bodajże po procesji Bożego Ciała, kiedy zmęczony Juruś nakrył się gazetą i przysnął, Vitry nie wytrzymał i zagadnął Annę po aramejsku:

— Przynajmniej mnie mogłabyś powiedzieć prawdę.

— Tobie tak — zabrzmiał w głowie Jacquesa srebrzysty głosik. — Tylko mam nadzieję, że jemu nie powtórzysz.

— Ależ skąd! Zasłużył sobie chłop na odrobinę szczęścia. Jak się okazało, tajemnica ciążyła również Annie. Rozgadała się na dobre. Oczywiście bez otwierania ust.

— Powiem ci, Jacques, w ciągu paru tysięcy lat nie zdarzyło mi się jeszcze być kobietą. I dlatego muszę ci się zwierzyć, jest to bardzo interesujące doświadczenie. A jeszcze kiedy będziemy mieli dziecko...

— Jesteś w ciąży?

— A czemu nie. I wiesz jaki jestem szczęśliwy... szczęśliwa!

Jacquesa ogarnęło podniecenie, miał tysiące pytań. Co zdarzyło się wtedy pod lodowcem, jak udało się nawiązać kontakt z Kreatorem, czy doszło do jakiejś reperacji Wiecznego Tułacza umożliwiającej ponowne wcielenia? A przede wszystkim, w jaki sposób Kreator zawrócił raketę? Niestety Jacques nie otrzymał odpowiedzi.

— Obowiązuje mnie tajemnica służbowa, przyjacielu.

— Ale skoro On się obudził, czy to znaczy, że zszedł znów między ludzi?

— No comments!

— To powiedz przynajmniej, co będzie z końcem świata, czy rok 2000 to termin Dnia Sądu?

Anna uśmiecha się czarująco, drugi miesiąc ciąży dodaje jej dyskretnego uroku dojrzałej kobiety.

— Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam — szepcze.

Epilog II

Największe widowisko czasów nowożytnych! — tak amerykańskie massmedia ochrzciły inaugurację olimpiady w Atlancie, zanim ta się jeszcze zaczęła.

Anonimowy telefon o bombie na lotnisku w Miami, w parę dni po tragicznej katastrofie samolotu TWA, sprawił, że samolot z Wielkiego Kajmanu wylądował z trzygodzinnym opóźnieniem. Grupa pasażerów, którzy po wakacjach na Karaibach zamierzali uczestniczyć w rozpoczęciu olimpiady, nie zdążyła na samolot relacji Miami–Atlanta. Następny odleciał dopiero po czterech godzinach. Za późno. Na płytę stadionu olimpijskiego wysypywały się już kolejne gromady kolorowych postaci, jakby rodem z baśni chińskich, kiedy kilkunastu spóźnionych fanatyków sportu daremnie usiłowało dostać się do środka. Wszystkie bramy stadionu były zamknięte. Ochroniarze tylko rozkładali ręce, wzmożone środki bezpieczeństwa nie zezwalały na żadne wyjątki.

— Ale ja mam karnet i to honorowy. Wygrałem — powtarzał opalony blondyn w sportowej koszulce.

— Zapraszamy jutro na wszechstronny konkurs konia wierzchowego — padała odpowiedź. — Dzisiejszą transmisję może pan obejrzeć w hotelu albo na najbliższym telebimie!

— Kurczę blade, człowiek przemierza tysiące mil, wydaje masę pieniędzy...

— No, akurat ciebie nic to nie kosztowało, Juruś — uspokajała pechowca piękna małżonka.

A w ogóle było tak. Porządkując papiery po nieodżałowanym docencie Krystyniak, Jerzy Złocki, jego główny spadkobierca, natrafił na mnóstwo interesujących wzorów wypełniających wydruki komputerowe. Mimo że od czasów szkoły podstawowej odczuwał wstręt do matematyki porównywalny jedynie z awersją do szpinaku, oglądał je z rosnącym zainteresowaniem.

Obok recepty, jak przechytrzyć jednorękiego bandytę, znalazł interesujący, choć skomplikowany wzór zakupu butelek pozwalający tanim kosztem wygrać w numeromanię czy jakąś inną duohisterię.

Złocki postanowił uczcić pamięć przyjaciela i postąpił dokładnie wedle jego zaleceń. Ku swemu osłupieniu, po zainwestowaniu w zaledwie sto butelek znalazł dwa identyczne kapsle i w ten prosty sposób stał się posiadaczem dwuosobowego zaproszenia do Atlanty z zagwarantowanym hotelem (Ramada Inn), biletami na dowolnie wybrane konkurencje i dwoma miejscami w biznesklasie na trasie Warszawa–Londyn–Atlanta. Nie koniec na tym: w dwa dni później w skrzynce na listy znalazło się zaadresowane do Krystyniaka zawiadomienie z Klubu British Airways o wygraniu dwutygodniowego pobytu na Kajmanach, wyspach znanych Jirusiowi wyłącznie ze znaczków pocztowych, które namiętnie zbierał w dzieciństwie. Po telefonie do przedstawicielstwa brytyjskich linii dowiedział się, że voucher przechodzi na własność spadkobiercy.

— To niesamowite! Czy wiesz, że pierwszy raz w życiu coś wygrałem? — chwalił się Jacquesowi.

— Nie ty, tylko docent Krystyniak! — sprostował Vitry. Anna przyjęła wiadomość z zachwytem. Przez dwa tygodnie poprzedzające olimpiadę, plażowali wśród palm na Rum Point, odpoczywali w cieniu kwitnących hibisku—sów na skraju basenu w kształcie serca, nurkowali wśród ogromnych płaszczyk w Lagunie Kapitana Morgana (co przypomniało Jurusiowi ukochane książki o piratach). Ale przede wszystkim kochali się w klimatyzowanym wnętrzu hotelu, gdzie całą dobę towarzyszył im chłodny przyjazny mrok.

A na koniec spóźnili się na Olimpiadę.

— Musi być jakieś wyjście — wściekał się Juruś, krążąc wokół stadionu. Niestety cerberzy trwali na swoich miejscach wspomagani przez kamery, fotokomórki i psy. Po kwadransie wylądowali przed ekranem telewizora w pobliskim hoteliku. Anna była dziwnie niespokojna.

— A ty czemu się denerwujesz? — zauważył w pewnym momencie Złocki, na którego wzburzenie innych działało jak kubek zimnej wody.

— Nie wiem, mam złe przeczucia.

Żeby się uspokoić, Jerzy strzelił piwo i dla zabawy filmował z tarasu okolicę. Naraz drgnął...

— O, cholera!

— Co się stało?

— Widziałem go.

— Kogo?

— Starego Chińczyka...

— Gdzie?

— Przed wejściem służbowym, ale już zniknął. Chyba go nakręciłem.

Anna nie zlekceważyła słów męża, cofnęła taśmę.

— Rzeczywiście, to może być on!

Lee Mingh! Wieczny Tułacz poczuł, jak jego ludzka, damska powłoka pokrywa się potem. Wiedział i przedtem, że rozgrywka nie jest skończona. Przez te miesiące, kiedy był żoną Złockiego, nie przestawał o tym myśleć. Poszukiwał Spadkobiercy za pośrednictwem sieci komputerowej. Na próżno.

Dlaczego zdecydował się na Atlantę i pomógł losowi, tak by Złocki wygrał pobyt na Olimpiadzie? Intuicja, wielowiekowe doświadczenie, a może parę uwag przekazanych przez Kreatora...

Kryształowy domyślał się, co może zrobić wróg; z grubsza wiedział też, kiedy. Nie miał pojęcia, jak?

— Musimy kogoś zawiadomić — gorączkował się Juruś. — Anno, Anno, gdzie jesteś.

Dziewczyna zjawiała się po chwili z dwoma identyfikatorami pracowników technicznych.

— Skąd to masz? — zdziwił się Złocki.

— Ukradłam parce napranych elektryków — wyjaśniła.

Dzięki plakietkom udało się im pokonać bramę i przedostać na parking wewnętrzny pełen dziesiątek ekip telewizyjnych, wozów transmisyjnych i bagażowych. Nadal było stąd dość daleko do stadionu, gdzie ceremonia wkraczała w fazę kulminacyjną, ale właśnie gdzieś tutaj zniknął Stary Chińczyk.

— Nie mogliby obsłużyć tego jedną ekipą? — zastanawiała się Anna.

— Z tego, co wiem, istnieje jedna sieć unilateralna — poinformował ją eks-redaktor. — Natomiast ekipy narodowe dodają komentarze, kreują swoich bohaterów, obsługują mniej ważne pojedynki własnych drużyn. Komentują na bieżąco.

— A dzisiejsza transmisja?

— Idzie na żywo na cały świat, fachowcy obliczają, że w tej chwili ogląda ją trzy i pół miliarda ludzi.

— Minus nas dwoje! — westchnęła dziewczyna. Jej receptory postawione w stan najwyższej gotowości wytrwale szukały przeciwnika.

Lee Mingh czuł się, jakby ubył mu pięćdziesiąt lat. Albo i pięćset. Od trzech dni przebywał w Atlancie i wszystko miał zapięte na ostatni guzik. Wszedł do wozu regionalnej stacji z Florydy. Jej obsługa nie żyła już od paru godzin, a on dokonał paru istotnych modyfikacji. Podniósł klapę w podłodze. Znajdował się wprost nad studzienką energetyczną. Zagłębił się w nią, zatraskując za sobą drzwiczki. Samoczynnie włączyła się zainstalowana przez Lee Mingha aparatura alarmowa. Ktokolwiek chciałby pójść w jego ślady, spowodowałby wybuch, nie szkodząc jednak Staremu Chińczykowi ani kablom głównego zasilania idącym dużo głębiej.

— Nawet sam Kreator nie mógłby mi nic zrobić — uśmiechnął się pod nosem. Zresztą nie obawiał się śmierci. Miał następców, jego zmultiplikowane nasienie znajdowało się w trzynastu bankach spermy. — Choćbym zginął, będę miał Spadkobierców. Jak Umiłowany.

Stary Chińczyk był zadowolony z siebie. Nikt w Atlancie nie zwrócił na niego uwagi. Przecież zachowywał niebywałą ostrożność. Od paru miesięcy nie wychylił nawet nosa z bardzo dawno przygotowanej kryjówki w indiańskim rezerwacie w Arizonie. Do Georgii dotarł autobusami i wystrzegając się czeków oraz kart kredytowych, wszędzie płacił gotówką. Jeśli nawet Żyd żył, nie miał możliwości go namierzyć.

Nie lekcewał przeciwnika. Wiedział, że akcja na Ararat nie wypaliła. Z opóźnieniem, ale dotarła do niego wiadomość o zawróconej rakiecie. Dlatego tym razem zabezpieczył się. I był pewien sukcesu.

Kolejny korytarz przegradzały stalowe drzwi, otworzył je, aby po pokonaniu paru schodów i kolejnej zapory znaleźć się w niewielkim pomieszczeniu zaadaptowanym na stanowisko komputerowe. Znajdował się tu monitor i klawiatura.

— Żeby po sześciu tysiącach lat parania się najróżniejszymi zajęciami robić na starość specjalizację elektronika! — mruknął do siebie. Siadł przed konsoleką. Włączył ekran, odnalazł kanał głównej transmisji, potem przeszedł na obraz z kamery nr 1, wycelowanej w trybunę honorową. W miarę jak zbliżał się moment kulminacyjny, przebitki z tej kamery coraz częściej wychodziły do przekazu idącego w świat.

— W porządku — mruknął po sumeryjsku, podłączył własną kamerę, zapłonęły reflektory, następnie rozwiesił na ścianie błękitne tło i postawił krzesło. Z plecaka wydobył garnitur, a następnie coś, co wyglądało jak ochłap skóry... — A teraz przymierzmy.

— Zniknął, jakby się ziemia pod nim rozstąpiła — powiedział Złocki. Oboje z Anną znajdowali się przed ogromnym ekranem wśród kilkunastu gapiów z różnych ekip.

Akurat pojawiła się przebitka trybuny honorowej. Silne zbliżenie. Roześmiany Clinton, lekko skwaszona Hillary, niezbyt dorodna córeczka.

— Co on może kombinować? — zachodził w głowę Jerzy. Anna domyślała się. Lee Mingh, Strażnik przegranego spisku, ostatni Spadkobierca miał jeszcze jedną szansę odwrócenia losów historii. Przynajmniej ona tak by postąpiła. Przecież gdyby udało mu się, korzystając z trzy i półmiliardowego audytorium (wśród którego, nie wiedząc o tym, znajdowały się setki tysięcy potomków Trzynastki HS 1) rzucić im, i to na żywo, swój kod przebudzenia, powstałaby nowa jakość. Spisek wyszedłby na powierzchnię... I trudno byłoby go stłumić bez globalnego starcia. Oględnie zasygnalizowała taką możliwość Jerzemu.

— Ależ ty jesteś bystra — cmoknął z podziwem. — Tylko jak mógłbym to przeprowadzić? Owszem, kamery pokazują tysiące ludzi, ale żaden nie ma praktycznej możliwości wypowiedzenia hasła.

— Żaden? — pani Złocka wskazała na ogromny ekran i kolejne zbliżenie łoży.

Przyczesał włosy, obejrzał się w lusterku. Stał przed kamerą, komputer automatycznie wyrównał poziom światła. Teraz wyglądali identycznie, on na neutralnym tle i tamten na trybunie. Poruszył ustami. Doskonale dopasowana maska wyglądała dokładnie jak twarz tamtego. Zrobił charakterystyczny głupawy uśmiech i wytrzeszczył oczy, czyli — ściślej mówiąc — koloryzujące szkła kontaktowe.

— Próba głosu — powiedział cicho i zacytował z pamięci zdanie z ostatniej konferencji prasowej. Po tysiącach lat mówienie dowolnym timbrem i akcentem nie sprawiało mu najmniejszej trudności. Zresztą to nieważne — miał przecież przemawiać w swoim języku i ze swoją akcentacją.

Złocki prawie krzyczał:

— Musimy coś zrobić, przestrzec organizatorów!

— Kogo? Kto nam uwierzy? Poza tym nie mamy już tyle czasu.

— Uważasz, że wdrze się na trybunę. Nie ma szans. Nie mógł też znaleźć się tam wcześniej, skoro już po otwarciu widzieliśmy go na zewnątrz.

— A elektronika? — spytała Anna. — Przecież jeśli się odpowiednio przygotował, może dostać się do łącz i podłożyć przemawiającemu własny tekst i intonację.

— To co robić? Gdybym miał bombę, wysadziłbym przekaźniki.

Rozglądając się zobaczyli pusty wóz transmisyjny stacji z Florydy. Weszli do środka i Złocki zaczął zmagać się z klawiaturą.

— To nic nie da, nie mamy kodów dostępu. A jeśli nawet byśmy je mieli, nie uda się nam z prowincjonalnego wozu zakłócić globalnej transmisji.

— Próbujmy — powiedziała Anna, stając za plecami Jurusia. Z jej rękawa jak tresowany wąż wysunął się cielisty kabel i włączył do jednego z gniazdek.

— Rety, system otworzył się! Czego mam szukać.

— Zacznij od zespołów operacyjnych stadionu...

Nadeszła pora, udzielono głosu prezydentowi USA. Lee Mingh przycisnął pilota. Impuls z jego komputera w mgnieniu oka wdarł się do centralnego mózgu sterującego transmisją. Na jedną tysięczną sekundy drgnął obraz na miliardzie odbiorników. Żaden z telewidzów nie zauważył, że w miejsce twarzy Clintona wmontowana została maska Spadkobiercy.

Drgnęły usta.

Lee Mingh przed swoją kamerą nachylił się ku mikrofonowi. Oczami wyobraźni zobaczył równocześnie wszystkich swoich przodków patrzących na niego w tej chwili ze studni dziejów i tę część ludzkości, która zgromadziła się przed telewizorami. Jego jutrzejszych poddanych.

— Itar Tar, Tar Itar — rzucił majestatycznie.

Ale dla miliardów ludzi był to jedynie ruch wargami. Sens dotarł zaledwie do kilku uśpionych głuchoniemych, ale szok zabił ich bez wyjątku.

Stadion zamarł w osłupieniu. Przed telewizorami miliony ludzi białych, czarnych, żółtych i kakaowych równocześnie wyciągnęło ręce, aby poprawić głośność.

— Itar Tar, Tar Itar!

Ale w tym momencie rozległ się głos prezydenta USA idący zgoła asynchronicznie do jego ruchu warg:

— XXVI Igrzyska ery nowożytnej uważam za otwarte.

— Itar Tar, Tar Itar — wrzasnął Lee Mingh po raz trzeci, a potem przycisnął ręce do piersi, ze świstem wciągnął powietrze i osunął się martwy ze stołka.

— Jak, jak mi się udało wprowadzić ten dźwięk do głównej emisji. Ja w ogóle nie wiem, co zrobiłem — wyjąkał Juruś, patrząc na swoje ręce i przelatujące przez monitor dziesiątki komend i haseł, o których nie miał pojęcia. — To Opatrzność.

— Raczej nieprawdopodobny, choć szczęśliwy zbieg okoliczności — powiedziała Anna. — W końcu całkiem niedawno w Warszawie mała wygrała na giełdzie. Dlaczego to nie miałyby udać się tobie. Ale lepiej wiejmy stąd, Jurusiu, nim ktokolwiek zacznie dociekać, co tu się stało?

Tylko w łoży światowych osobistości jeden z dygnitarzy, na którego słuchawkach z tłumaczeniem niewiadomym zrzędzeniem losu poleciał tekst Lee Mingha, siedział jak wryty, porażony własnym przebudzeniem i myślał ze zgrozą o fekaliach w nogawkach. Byłby jeszcze bardziej przerażony, wiedząc, że jest ostatnim Przebudzonym w tym tysiącleciu.

Nikt nie powiązał usterek fonii i wizji na stadionie w Atlancie z zaginięciem paru dziennikarzy z Florydy. Nie znamy też raportu FBI na temat martwego Azjaty w masce Clintona, którego wkrótce po otwarciu olimpiady znaleziono w podziemiach stadionu naprzeciw włączonej kamery.

Jerzy Złocki mógł (nareszcie świadom, że dokonał czegoś wielkiego) pozbyć się przynajmniej części kompleksów i uwierzyć w siebie. Przez najbliższe dni miał beztrąsko entuzjasmować się przebiegiem festiwalu światowego sportu. Znakomitego humoru Anny nie zmącił nawet wybuch bomby w parku olimpijskim. Powiedziała Jerzemu, że spodziewa się dziecka. Jeśli miała jeszcze pewne obawy dotyczące przyszłości, to streszczały się one w jednym pytaniu:

Jakie to będzie dzieciątko, które winno urodzić się gdzieś w trzeciej dekadzie grudnia roku 1996?

Tak czy owak, byłby to już naprawdę koniec naszej historii.

Albo i nie.

Styczeń–lipiec 1996